

Manekin trzciniowy



ANATOLE FRANCE

Manekin trzcinowy

TŁUM. JAN STEN

I

Przy ostrych, przenikliwych dźwiękach fortepianu, na którym za ścianą jego córki wykonywały trudne ćwiczenia, pan Bergeret, profesor nadzwyczajny na wydziale humanistycznym, w gabinecie swym przygotowywał wykład o ósmej księdze *Eneidy*. Gabinet pana Bergeret miał tylko jedno okno, ale tak wielkie, że zajmowało całą ścianę pokoju. Dawało ono więcej powietrza niż światła; nie domykało się bowiem, a na wprost, z bliska wznosił się wysoki mur. Na przysunięte do samego okna biurko pana Bergeret padało brudne i mętne światło. Prawdę mówiąc, pracownia ta, w której profesor wyglądał swoje subtelne idee humanisty, była bezkształtnym zakątkiem, komórką za główną klatką schodową; jej to niedyskretna krągłość wysuwała się aż ku oknu i pozostawiała na prawo i lewo dwa kąty bezsensowne i niehumanitarne. Przytłoczony tą olbrzymią, brzuchatą ścianą, wylepioną zielonym obiciem, pan Bergeret w pokoju tym, który był zaprzeczeniem geometrii i rozumnej elegancji, z trudem znalazł małą wolną przestrzeń, by ułożyć swe książki na sosnowych półkach, gdzie długi szereg żółtych wydań Teubnera tonął w wiecznym cieniu. Pan Bergeret, wcisnięty w okno, pisał swe wykłady stylem lodowatym wskutek podmuchów chłodu; szczęśliwy był, jeśli rękopisów jego nie porozrzucano i nie poobdzierano lub nie połamano mu stałówek. Były to zwykłe ślady przejścia pani lub panien Bergeret przez pracownię profesora, tu bowiem zapisywały bieliznę oddawaną do prania oraz wydatki gospodarcze. Pani Bergeret zostawiała tu również trzcinowy manekin, na którym upinała przykrawane własnoręcznie suknie. Ten manekin trzcinowy — obraz życia małżeńskiego — stał oparty o uczone edycje Katullusa i Petroniusza.

Pan Bergeret przygotowywał wykład o ósmej księdze „*Eneidy*” i mógłby znaleźć w pracy tej jeśli nie radość, to ukojenie umysłu i nieoceniony spokój ducha. Niestety, porzucił osobliwości lingwistyki i metryki, którymi winien był się zajmować, by raczej badać kształt starożytnego świata, którego teksty studiował, by raczej gorąco pożądać widoku tych wybrzeży złocistych, tego morza błękitnego, tych gór różowych, tych łąk przepysznych, po których poeta prowadzi swych bohaterów, by gorzko żałować, że, jak np. Gastonowi Boissier¹, Gastonowi Deschamps², nie dane mu było zwiedzić wybrzeża, gdzie wznosiła się ongi Troja, podziwiać krajobrazów Wergilego, oddychać powietrzem Grecji, Italii i świętej Azji. Od myśli tych pracownia wydała mu się smutna i wielkie obrzydzenie napęliło jego serce. Stał się nieszczęśliwy z własnej winy. Bo wszystkie prawdziwe niedole nasze są wewnętrzne i przez nas samych wywołane. Mylnie sądzą, że przychodzą one z zewnątrz: my sami je stwarzamy i wypełniamy własną treścią.

Pan Bergeret, zamknięty tynkowanym cylindrem muru w swym pokoju, sam stwarzał smutki swe i zniechęcenie, bo rozmyślał nad tym, że żywot jego jest ciasny, pustelniczny, pozbawiony wszelkiej radości, że żona jego ma duszę pospolitą i że już nie jest piękna, że córki go nie kochają i że walki Eneasza z Turnusem nie mają sensu. Z tych myśli wyrwało

Bohaterstwo, Ojczyzna,
Żołnierz, Klęska

¹Gaston Boissier (1823–1908) — literat, krytyk i archeolog, pozostawił m.in. wiele studiów z zakresu literatury i kultury starożytnej. [przypis redakcyjny]

²Gaston Deschamps (1861–1931) — pisarz, krytyk, dziennikarz i polityk, odbył podróż do Azji Mniejszej, należał do redakcji „Journal des Debats”, a w r. 1893 objął po Anatolu France dział krytyki literackiej w „Le Temps”. [przypis redakcyjny]

go przybycie pana Roux, jego ucznia. Odbывał on właśnie jednoroczną służbę wojskową i przyszedł przedstawić się swemu mistrzowi w czerwonych spodniach i niebieskiej kurtce.

— He, he! — rzekł pan Bergeret — widzę, że przebrano mego najlepszego łacinnika za bohatera!

I gdy pan Roux bronił się przed nazwą bohatera, profesor dodał:

— Wiem, co mówię. Nazywam po prostu bohaterem tego, kto nosi pałasz. Gdyby pan miał futrzany kołpak, nazwałbym pana wielkim bohaterem. Ludziom, których wysła się na śmierć, trzeba przynajmniej pochlebiać. Nie można chyba mniejszym kosztem obarczać ich podobnymi zadaniami. Ale bodajbyś, mój przyjacielu, nigdy nie unieśmiertelił się żadnym czynem bohaterskim i jedynie znajomością metryki łacińskiej zasłużył na cześć i hołdy ludzkie! Miłość ojczyzny dyktuje mi to szczere życzenie. Przekonałem się, studiując historię, że bohaterstwo istnieje tylko u zwyciężonych i po porażce. Rzymianie, naród mniej pochopny do wojny, niżby się zdawało, i nieraz bity, mieli Decjuszów tylko w ciężkich chwilach. Pod Maratonem bohaterstwo Cynegirasa objawia się właśnie w chwili najgorszej dla Ateńczyków, którzy wstrzymali wprowadzić armię barbarzyńców, ale nie mogli przeszkodzić, by odpłynęła swobodnie wraz z wypoczętą konnicą perską. Persowie, jak się zdaje, nie bardzo zresztą wysilali się w tej bitwie.

Pan Roux postawił swój pałasz w kącie pokoju i usiadł na podanym mu krześle.

— Już cztery miesiące — rzekł — nie słyszałem rozumnego słowa. Ja sam przez ten czas wyęzłem wszystkie władze umysłu, żeby umiarkowanymi podarkami zjednać sobie jakie takie względy mego kaprała i sierżanta. Jedyny to dział sztuki wojennej, który udało mi się osiąść w zupełności. Jest to też dział najważniejszy. Ale straciłem za to całą zdolność pojmowania idei ogólnych i subtelnych myśli. A pan mówi mi, kochany panie profesorze, że Greków zwyciężono pod Maratonem i że Rzymianie nie byli narodem wojowniczym. Głowę tracę!

Pan Bergeret odrzekł spokojnie:

— Powiedziałem tylko, że zastępy barbarzyńców nie zostały zniszczone przez Milcjadesa. Co zaś do Rzymian, nie byli oni ściśle wojownikami, skoro dokonali korzystnych i trwałych podbojów, podczas gdy prawdziwi wojownicy, na odwrót, biorą wszystko, a nic nie zachowują. Tacy są np. Francuzi. I to jeszcze zauważyć należy, że w Rzymie, za królów, cudzoziemcy nie byli dopuszczani do służby w szeregach. Ale za czasów dobrego króla Serwiusza Tulliusza obywatele nie ponosili już sami trudów i niebezpieczeństw — nie strzegli już tak zazdrośnie tego zaszczytu — i powołali pod broń również cudzoziemców zamieszkałych w mieście. Bywają bohaterowie, nie ma narodu bohaterów, nie ma armii bohaterów. Żołnierze szli naprzód zawsze tylko pod groźbą kary śmierci. Służba wojskowa była wstrętna nawet dla tych pasterzy z Lacjum, którzy dla Rzymu zdobyli panowanie nad światem i z Romy uczynili boginię.

Nosić rynsztunek było im tak ciężko, że nazwa rynsztunku, *aerumna*, wyrażała później znużenie, zmęczenie ciała i umysłu, nędzę, nieszczęście, klęskę. Dobrze kierowani, wytworzyli nie bohaterów, lecz dobrych żołnierzy i dobrych robotników ziemnych; po trochu zdobywali świat i pokrywali go siecią dróg i gościńców. Rzymianie nigdy nie szukali sławy; nie mieli wyobraźni. Wojny prowadzili tylko dla interesu, z najniezbędniejszej potrzeby. Triumf ich to triumf cierpliwości i rozsądku.

Ludzie kierują się zawsze najsilniejszymi uczuciami. U żołnierzy, jak w każdym tłumie, najsilniejszy jest strach. Idą na nieprzyjaciela jako na niebezpieczeństwo najmniejsze. Wojska w szyku bojowym stawia się z jednej i z drugiej strony tak, by nie mogły uciekać. Oto cały kunszt wojenny. Wojska Pierwszej Republiki były zwycięskie, bo z niezmierną surowością przechowywano w nich obyczaje dawnego porządku, podczas gdy rozluźniły się one w obozie sprzymierzonych. Nasi generałowie z roku II byli sierżantami La Ramée: kazali rozstrzeliwać codziennie pół tuzina rekrutów, by, jak mówi Wolter, dodać ducha pozostałym i ożywić ich tchnieniem patriotyzmu.

— To bardzo możliwe — rzekł pan Roux. — Ale jest jeszcze rzecz inna. Jest to wrodzona rozkosz strzelania. Wie pan przecie, kochany panie profesorze, że nie jestem istotą niszczycielską. Nie mam zamiłowania do militarizmu. Mam bardzo postępowe idee³ humanitarne i wierzę, że bohaterstwo ludów będzie dziełem zwycięskiego socjalizmu.

³Mam (...) postępowe idee — dziś raczej: mam postępowe poglądy. [przypis edytorski]

Wreszcie, kocham ludzkość. Ale niech mi tylko wetkną karabin do ręki, mam ochotę strzelać do wszystkich. To jest już we krwi...

Pan Roux był pięknym, silnym chłopcem, który bardzo prędko poradził sobie w pułku. Forsowny wysilek fizyczny odpowiadał jego krewkiemu temperamentowi. A że ponadto był nadzwyczaj przebiegły, potrafił jeśli nie polubić ten zawód, to jednak znośnym sobie uczynić życie w koszarach, zachować zdrowie i dobry humor.

— Zna pan profesor — dodał — siłę sugestii. Dość jest zatknąć człowiekowi bagniet na karabin, by wepchnął go w brzuch pierwszemu lepszemu i stał się, jak pan mówi, bohaterem.

Głos pana Roux, o południowym akcencie, nie przebrzmiał jeszcze, gdy pani Bergeret weszła do gabinetu, dokąd zazwyczaj nie pociągała jej obecność męża. Pan Bergeret zauważył, że miała na sobie swój piękny, różowo-biały szlafrok.

Udała zdziwioną, zastawszy tam pana Roux; przyszła tylko prosić pana Bergeret o tom poezji dla rozrywki.

Profesor zauważył jeszcze, nie interesując się tym zresztą, że nagle stała się prawie ładna i miła.

Pan Roux zdjął *Słownik* Freunda ze starego ceratowego fotela i podsunął fotel pani Bergeret. Pan Bergeret spoglądał kolejno to na *in-folio* oparte teraz o ścianę, to na panią Bergeret, która zajęła jego miejsce na fotelu, i rozmyślał, że te dwie masy substancji, tak odmienne w chwili obecnej, tak różne co do wyglądu, natury i użytku, były niegdyś przed wiekami zasadniczo podobne; było to wówczas, gdy oboje, słownik i niewiasta, unosili się w stanie lotnym w pierwotnej mgławicy.

„Boć ostatecznie — myślał — pani Bergeret unosiła się w nieskończoności wieków bez kształtu, bez świadomości, rozpierzchła w lekkich błyskach tlenu i węgla. Atomy, z których kiedyś powstać miał ten leksykon łaciński, krążyły w tym samym czasie poprzez wieki, w tej samej mgławicy, z której w końcu wyłonić się miały potwory, owady i nieco myśli. Wieczności trzeba było, by stworzyć mój słownik i moją żonę, tych świadków mego ciężkiego życia, te formy wadliwe, niekiedy natrętne. Słownik jest pełen błędów, Amelia w ciele pospolitym nosi duszę opryskliwą. Toteż nie można się spodziewać, aby nowa wieczność stworzyła wreszcie wiedzę i piękno. Żyjemy chwilę, ale nic byśmy nie zyskali, żyjąc zawsze. Nie zbywało przyrodzie ani na czasie, ani na przestrzeni i oto widzimy jej dzieło”.

Pan Bergeret niespokojnie snuł dalej wątek swych myśli.

„Lecz czyż czas nie jest tylko ruchem przyrody i czyż mogę powiedzieć, że ruchy te są długie lub krótkie? Przyroda jest okrutna i banalna. Lecz skądże wiem o tym? I jak znaleźć się poza nią, by ją poznać i ocenić? Może bym więcej cenił świat, gdybym w nim inne zajmował miejsce”.

I pan Bergeret, ocknąwszy się z marzenia, pochylił się, by lepiej oprzeć o ścianę chwiejące się księgi.

— Opalił się pan, panie Roux — rzekła pani Bergeret — zdaje mi się też, że schudł pan trochę. Ale dobrze panu z tym.

— Pierwsze miesiące są męczące — odrzekł pan Roux. — Oczywiście musztra o szóstej z rana na podwórzu koszarowym podczas mrozu jest przykra, poza tym nie od razu przezwycięża się wstręt do wspólnej izby. Ale zmęczenie jest lekiem znakomitym, a ogłupienie cenną pomocą. Żyje się w odrętwieniu, jakby w warstwach waty. Ponieważ śpi się w nocy snem co chwila przerywanym, więc w dzień nie jest się nigdy zupełnie rozbudzonym. I ten ciągły stan letargicznego automatyzmu sprzyja dyscyplinie: jest zgodny z duchem wojskowym, ułatwia fizyczny i moralny rygor u żołnierzy.

W ogóle jednak pan Roux nie miał powodu się skarżyć. Ale miał przyjaciela, niejakięgo Deval, ucznia Instytutu Języków Wschodnich na oddziale malajskim; ten był istotnie nieszczęśliwy i przygnębiony. Deval, inteligentny, wykształcony, mężny, ale sztywny cielesnie i duchowo, niezręczny, niezgrabny, miał ściśle poczucie sprawiedliwości, dokładnie rozumiał swe prawa i obowiązki. Cierpiał wskutek tego jasnowidzenia. Deval był dopiero od dwudziestu czterech godzin w koszarach, gdy sierżant Lebrech zapytał go w słowach, które trzeba było złagodzić dla uszu pani Bergeret, jaka to niegodna osoba mogła wydać na świat takie cielę jak źle równający numer 5. Sporo czasu upłynęło, zanim Deval upewnił się, że on sam jest tym cielcem numer 5. Dopiero wyrok skazujący go na areszt

Żołnierz

Żołnierz, Syn, Matka,
Obyczaje

rozwiął jego wątpliwości. I wtedy jeszcze nie pojął, jak można obrażać cześć pani Deval, jego matki, dlatego że on źle równał w szeregu. Niespodziewana odpowiedzialność jego matki za tę okoliczność sprzeciwiała się jego ideom sprawiedliwości. Po czterech miesiącach wciąż jeszcze zachowuje z tego powodu bolesne zdumienie.

— Przyjacieli pański, pan Deval — odrzekł pan Bergeret — na opak zrozumiał rycerską przemowę. Taka właśnie mowa, jak sądzę, zdolna jest podnieść ducha żołnierzy, pobudzić ich do współzawodnictwa o wyższe rangi, aby sami też, gdy na nich przyjdzie kolej, mogli z podobną przemową występować. Mowa taka, oczywiście, wyraża wyższość mówcy nad tym, do którego się zwraca. Należy pilnie baczyć, aby w armii nie umniejszać przywilejów zwierzchników, jak to w świeżym okólniku niebacznie uczynił pewien cywilny minister wojny, człowiek ugrzecznony i uprzejmy. Przejęty szacunkiem dla godności obywatela-żołnierza, oficerom i podoficerom zakazał tykać⁴⁴ szeregowców; nie spostrzegł, że pogarda dla podwładnych wyrabia ducha współzawodnictwa i jest podstawą hierarchii. Sierżant Lebrec przemawiał jak bohater kształtujący bohaterów. Potrafiłem odbudować sobie jego przemowę w formie oryginalnej, gdyż jestem filologiem. I nie waham się twierdzić, że sierżant Lebrec był wzniosły, gdyż utożsamiał cześć rodziny z postawą rekruta w szeregach, z postawą, od której zależy los bitew. Rekrut numer 5 u samego źródła istnienia swego zespolił się więc z pułkiem i sztandarem...

Powie mi pan może, że popełniając błąd wspólny wszystkim komentatorom, przypisuję memu autorowi zamiary, których nie miał wcale. Zgodzę się z panem, że było dość nieświadomości w pamiętnej przemowie sierżanta Lebrec. Ale to właśnie jest cechą geniuszu; geniusz wybucha, nie mierząc swej siły.

Pan Roux odrzekł z uśmiechem, że również i jego zdaniem natchnienie sierżanta Lebrec było bezwiedne.

Lecz pani Bergeret rzekła sucho do męża:

— Nie rozumiem cię, Lucjanie. Śmiesz się z tego, co wcale śmieszne nie jest, i nie wiadomo nigdy, czy żartujesz, czy mówisz poważnie. Nie można z tobą rozmawiać.

— Moja żona tak myśli jak mój dziekan — rzekł pan Bergeret. — Trzeba im obojgu przyznać rację.

— Ach — zawołała pani Bergeret — nie radzę ci mówić o dziekanie! Dokładałeś wszelkich starań, aby mu się nie podobać, a teraz żałujesz swej nieostrożności. Znalazłeś też sposób, by poróżnić się z rektorem. Spotkałam go w niedzielę na bulwarach, gdy byłam na spacerze z córkami: zaledwie mi się uklonił.

Odwróciła się ku młodemu żołnierzowi.

— Panie Roux, wiem, że mój mąż bardzo panu sprzyja. Jest pan jego ulubionym uczniem. Wróży panu świetną przyszłość.

Pan Roux, ogorzały, kędzierzawy, z błyszczącymi zębami, uśmiechnął się bez fałszywej skromności.

— Panie Roux, niech pan namówi mego męża, by oszczędzał ludzi, którzy mogą mu być użyteczni. Pustka robi się dokoła nas.

— Co za myśl, łaskawa pani! — szepnął pan Roux. I zwrócił rozmowę na inny temat.

— Chłopi z trudnością znoszą te trzy lata. Cierpią. Ale nikt o tym nie wie, bo wszystkie uczucia wyrażają jednakowo. Oderwani od ziemi, którą kochają miłością zwierząt, wloką swój smutek ponury, milczący i głęboki. W wygnaniu i niewoli mają za rozrywkę strach przed władzą i trudy zawodu. Wszystko jest dla nich trudne i obce. W mojej kompanii jest dwóch Bretończyków, którzy po sześciu tygodniach nauki nie potrafili zapamiętać nazwiska pułkownika. Co rano stojąc w szeregu przed sierżantem uczymy się tego nazwiska razem z nimi, nauka wojskowa bowiem jest jednakowa dla wszystkich. Pułkownik nasz nazywa się Dupont. I tak jest ze wszystkimi ćwiczeniami. Żołnierze inteligentni i zręczni czekają bez końca na tępych.

Pan Bergeret zapytał, czy oficerowie, podobnie jak sierżant Lebrec, uprawiają wymowę rycerską.

— Mam — odrzekł pan Roux — młodziutkiego kapitana, który, przeciwnie, przestrzega najbardziej wyszukanej grzeczności. Ten esteta i mistyk maluje blade dziewczę i anioły w różowych i zielonawych niebiosach. Ja dorabiam objaśnienia do jego obrazów.

⁴⁴tykać — tu: mówić na „ty”. [przypis edytorski]

Podczas gdy Deval pełni służbę na podwórzu koszarowym, ja jestem na służbie u mego kapitana, który zamawia u mnie wiersze. Jest to czarujący człowiek. Nazywa się Marceli de Lagere, a wystawia swoje obrazy pod pseudonimem Cyne.

— Czy jest on także bohaterem? — zapytał pan Bergeret.

— To istny święty Jerzy! Wyrobił sobie mistyczne pojęcie o zawodzie żołnierskim. Powiada, że jest to stan idealny. Nie patrząc, człowiek idzie ku nieznanemu celowi, kroczy pobożnie, w czystości i powadze ku tajemniczym i koniecznym poświęceniom. Zachwyca mnie istotnie. Uczę go białego wiersza i prozy rytmicznej. Zaczyna już tworzyć poematy o armii. Jest szczęśliwy, spokojny, łagodny. Jedna rzecz go martwi, to nasza chorągiew. Jest bowiem zdania, że jej barwy: niebieska, biała i czerwona, są źle dobrane i gryzą się ze sobą. Pragnąłby chorągwi różowej lub fiołkowej. Marzą mu się niebiańskie proporce. „Gdyby jeszcze — mówi ze smutkiem — te trzy pasma wychodziły z drzewca jak trzy płomienne języki proporca, byłoby to może znośne. Ale umieszczone są pionowo i zupełnie bezsensownie przecinają powiewające zwoje chorągwi”. Cierpi nad tym. Ale jest cierpliwy i mężny. Powtarzam panu: to święty Jerzy.

— Z portretu, który pan mi kreśli — rzekła pani Bergeret — mam dlań żywą sympatię.

To rzekłszy surowo spojrzała na pana Bergeret.

— Czy nie zdumiewa on innych oficerów? — zapytał pan Bergeret.

— Bynajmniej — odrzekł pan Roux. — W klubie i na zebraniach nic nie mówi. Wygląda jak inni oficerowie.

— A co myślą o nim żołnierze?

— W koszarach żołnierze nigdy nie widują swoich oficerów.

— Zostanie pan u nas na obiedzie, panie Roux — rzekła pani Bergeret. — Sprawi pan nam prawdziwą przyjemność.

Te słowa przywiodły na myśl panu Bergeret przede wszystkim obraz pieroga. Ilekroć pani Bergeret niespodzianie zapraszała kogoś na obiad, zawsze u cukiernika Magloire zamawiała ciasto, najczęściej pierog postny, jako rzecz wykwinniejszą. Bez pożądania, jako przedmiot czystej wyobraźni, pan Bergeret widział więc pierog z jajami lub rybą, dymiący na półmisku w błękitne żyłki, na adamaszkowym obrusie. Widzenie prorocze i pospolite zarazem. Potem pomyślał, że pani Bergeret widocznie wyróżnia osobliwie pana Roux, skoro zaprasza go na obiad. Pani Amelia Bergeret rzadko komuś obcemu czyniła honory swego skromnego domu. Słusznie obawiała się wydatków i zachodu. W dniu, w które wydawała obiady prośzone, z brzękiem tłukły się talerze; Eufemia, służąca, krzyczała z przestrachu lub płakała z oburzenia; ostry dym nappełniał mieszkanie, a zapachy kuchenne przenikały aż do pracowni i tu trapiły pana Bergeret wśród cieniów Eneasza, Turnusa i nieśmiałej Lawinii. Jednakże profesor ucieszył się, że jego uczeń, pan Roux, wieczorem spożyje obiad przy jego stole. Lubił obcować z ludźmi i rad był długim rozmowom.

Pani Bergeret dodała:

— Obiad bez ceremonii, panie Roux, na los szczęścia.

I wyszła, by wydać rozkazy młodocianej Eufemii.

— Drogi przyjacielu — rzekł pan Bergeret do swego ucznia — czy zawsze jeszcze głosisz doskonałość wiersza białego? Co do mnie, wiem, że formy poetyckie zmieniają się zarówno w czasie, jak i przestrzeni. Wiem, że wiersz francuski z biegiem wieków bezustannie się zmieniał. Ukryty za mymi zeszytami metryki, uśmiecham się dyskretnie z religijnego przesądu poetów, którzy nie chcą, by tykano instrumentu uświęconego ich geniuszem. Dostrzegam, że poeci nie uzasadniają reguł, których się trzymają, i sądzę, że przyczyn nie należy szukać w wierszu samym, lecz raczej w śpiewie, który towarzyszył mu pierwotnie. Wreszcie, chętnie pojmuję nowatorstwa, gdyż kieruje mną duch nauki, z istoty swej mniej zachowawczy niż duch sztuki. Jednakże nie pojmuję dobrze wiersza białego; nie wiem nawet, jak go określić, nie wiadomo, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy; to niepokoi mnie, a zarazem...

W tej chwili wszedł do gabinetu profesora mężczyzna młody jeszcze, zręczny, o ostrych, posagowych rysach. Był to komandor Aspertini z Neapolu, filolog, agronom i poseł do parlamentu włoskiego. Od dziesięciu lat, na wzór wielkich humanistów Odrodzenia i XVII wieku, prowadził z panem Bergeret uczoną korespondencję. Ilekroć podróżował po Francji, zawsze odwiedzał swego korespondenta. Carlo Aspertini był bardzo ceniony

w nauce za to, że z na wpół zwęglonego rękopisu pompejańskiego odczytał cały traktat Epikura. Obecnie zajmował się rolnictwem, polityką i interesami; przy tym namiętnie lubił numizmatykę, a wytworne jego ręce czuły wprost potrzebę przebierania w medalach. Toteż do*** przybywał nie tylko po to, by odwiedzić pana Bergeret, lecz również, by z rozkoszą podziwiać niezrównany zbiór starych monet, zapisanych bibliotece miejskiej przez Boucher de La Salle. Przyjeżdżał też dla sprawdzenia tekstu listów Muratoriego⁵, które również znajdowały się w tutejszej bibliotece.

Ci dwaj ludzie, których wiedza uczyniła rodakami, zarzucili się nawzajem grzecznościami. Po chwili, gdy neapolitańczyk zauważył obecność wojskowego, pan Bergeret wyjaśnił mu, że ten galijski żołnierz jest młodym filologiem, pełnym zapału dla studiów łacińskich.

— W tym roku — dodał pan Bergeret — na podwórze koszarowym uczę się on stawiać jedną nogę przed drugą. I widzi pan w nim to, co nasz świetny dowódca dywizji, generał Cartier de Chalmot, nazywa elementarną jednostką taktyki, a co pospolicie zwie się żołnierzem. Tak, pan Roux, mój uczeń, jest żołnierzem. Odczuwa on to jako zaszczyt, ma bowiem duszę szlachetną. Prawdę mówiąc jest to zaszczyt, który w chwili obecnej dzieli ze wszystkimi młodzieńcami dumnej Europy. I na waszych neapolitańczyków spada ten zaszczyt, odkąd należą do wielkiego narodu.

— Mimo całej lojalności dla domu sabaudzkiego muszę przyznać, że służba wojskowa i podatki tak dalece dają się we znaki ludowi neapolitańskiemu, iż nieraz zdarza mu się żałować dobrych czasów króla Bomby⁶, gdy wesoło żył bez chwały pod rządem lekkomyślnym. Nasz lud nie lubi ani płacić podatków, ani służyć w wojsku. Prawodawca lepiej może rozumie konieczności życia narodowego. Ale pan wie, że co do mnie, to zawsze zwalczałem politykę megalomanów i że ubolewam nad wielkimi zbrojeniami powstrzymującymi wszelki postęp umysłowy, moralny i materialny w Europie. Jest to wielkie a rujnujące szaleństwo, które skończy się śmiesznością.

— Nie przewiduję końca tego szaleństwa — odrzekł pan Bergeret. — Nikt go nie pragnie prócz kilku mędrców bez siły i bez wpływu. Ci, którzy rządzą państwami, nie mogą życzyć sobie rozbrojenia, gdyż to utrudniłoby ich czynności i pozbawiło doskonałego narzędzia panowania. Bo narody zbrojne dają się prowadzić potulnie. Dyscyplina wojskowa zaprawia je do uległości; u takich ludów nie trzeba obawiać się ani buntów, ani rozruchów i zamieszek. Gdy służba wojskowa obowiązuje wszystkich, gdy wszyscy obywatele są lub byli żołnierzami, wszystkie siły społeczne układają się tak, by bronić władzy lub nawet braku władzy, jak to widzimy we Francji.

Właśnie w chwili gdy pan Bergeret wygłaszał te uwagi polityczne, z pobliskiej kuchni zaleciał syk tłuszczu rozlanego na ogień; profesor wyniosł stąd, że młoda Eufemia, stosownie do zwyczaju obowiązującego w dniu uroczyste, wylała do ognia pełną patelnię tłuszczu, nieostrożnie ustawioną nad stołem żarzących się węgli. Zauważył, że fakty takie zdarzają się z niewzruszoną ścisłością praw rządzących światem. Nieznośny swąd spalonego tłuszczu przeniknął do pracowni, a pan Bergeret w tych słowach snuł dalej swe myśli:

— Gdyby Europa nie była w koszarach, widziano by, jak niegdyś, wybuchy rewolucji we Francji, w Niemczech lub we Włoszech. Ciemne siły, chwilami burzące się na bruku ulic, dziś znajdują regularne ujście w musztrze, w kulbaceniu koni i w uczuciach patriotycznych. Ranga kaprała daje należyty upust energii młodych bohaterów, którzy bez przymusu wojskowego stawialiby może barykady, ot, dla rozprostowania ramion. Dowiaduję się właśnie, że pewien sierżant nazwiskiem Lebrech wygłasza wzniosłe przemowy. W biurze bohater ten wdychałby do wolności. W mundurze pragnie tyranii i przez to zapewnia panowanie porządku. Łatwo jest utrzymać pokój wewnętrzny w narodach uzbrojonych. Proszę zauważyć, że w przeciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat Paryż tylko jeden raz burzył się trochę i właśnie ten jedyny ruch był wywołany przez ministra wojny⁷. Generał mógł zrobić to, czego trybun nie mógłby dokazać. I gdy generała tego odsunęto od armii, odsunęto go tym samym od narodu: od razu utracił swą

⁵Lodovico Antonio Muratori (1672–1750) — archeolog włoski, opublikował wiele tekstów pisarzy starożytnych. [przypis redakcyjny]

⁶Król Bomba — przydomek nadany przez lud Ferdynandowi II, królowi Obojga Sycylii (1830–1859), który, tłumiąc w r. 1848 ruchy wolnościowe na Sycylii, kazał okrutnie zbombardować Mesynę. [przypis redakcyjny]

⁷ten jedyny ruch był wywołany przez ministra wojny — mowa o generale Boulanger. [przypis redakcyjny]

siłę. W królestwach, cesarstwach i republikach obowiązkowa służba wojskowa jednako-
wemu sprzyja urokowi rządzących; pozwala to kierować armią zamiast rządzić narodem.
Rozbrojenie, którego rządzący sobie nie życzą, nie jest też upragnione przez ludy. Lu-
dy chętnie znoszą służbę wojskową, która, choć nierozkoszna zgola, odpowiada jednak
gwałtownym, naiwnym instynktom większości ludzi. Jest ona dla nich najprostszym,
najsilniejszym wyrazem obowiązku, olśniewa ich wspaniałością i blaskiem parad, obfito-
ścią metalu zużywanego przez armię, wreszcie porywa ich obrazami siły, wielkości i sławy
takiej, jaką tylko są zdolni sobie wyobrazić. Ludzie rzucają się do służby wojskowej śpie-
wając; jeśli jest inaczej, ciągnie się ich siłą. Toteż nie widzę końca tego szacownego stanu,
który uboży i oglupia Europę.

— Dwa mogą być wyjścia — odrzekł komandor Aspertini — wojna i bankructwo.

— Wojna! — odparł pan Bergeret. — Łatwo dostrzec, że wielkie zbrojenia po-
wstrzymują wojnę, czyniąc ją samą zbyt straszną, a powodzenie zbyt niepewnym dla obu
przeciwników. Co zaś do bankructwa, to pewnego dnia na ławce w ogrodzie przepowia-
dałem je księdzu Lantaigne, rektorowi naszego seminarium. Ale co do tego nie trzeba mi
wierzyć. Szczegółowo badał pan, kochany panie Aspertini, dzieje cesarstwa wschodnie-
go, więc musiał pan dostrzec, że ludy posiadają tajemnicze zasoby finansowe, których nie
mogą zrozumieć najzdolniejsi ekonomiści. Naród zrujnowany może żyć pięćset lat z uci-
sku i grabieży. Któż zliczyć może, ile naród wielki w całej swej nędzy dostarczy obrońcom
swoim armat, karabinów, złego chleba, kiepskiego obuwia, słomy i owsa?

— Ma pan słuszość pozornie — odrzekł komandor Aspertini. — Jednak zdaje mi
się, że powszechny pokój świtać już poczyna.

Neapolitańczyk śpiewnym głosem wypowiadać począł swe nadzieje i marzenia. Sło-
wom jego towarzyszył odgłos głuchych uderzeń tasaka, którym za ścianą, na stole ku-
chennym, młoda Eufemia siekała mięso na paszteciki dla pana Roux.

— Czy pamięta pan, panie Bergeret — mówił Aspertini — ten ustęp z *Don Kiszota*,
gdzie Sanczo uskarża się na srogie a ciągle niepowodzenia? Przemyślny rycerz odpowiada
mu, że długa ta niedola jest znakiem bliskiego szczęścia: „Bo — mówi — fortuna zmienna
jest, a cierpienia nasze zbyt długo już trwają, więc teraz ustąpią miejsca powodzeniom”.
Samo prawo zmienności...

Ciąg dalszy tej radosnej przemowy zginał w wybuchu kociołka wrzącej wody i w nie-
ludzkich krzykach wydawanych przez Eufemię, w strachu uciekającą od komina.

Wtedy pan Bergeret, zasmucony swym niewytwornym, skąpym życiem domowym,
zamarzył o jakiejś willi, gdzie na białym tarasie, nad brzegiem błękitnego jeziora, wśród
woni mirtów, w cichej godzinie, gdy księżyc rozmarzony płynie po niebie czystym jak
spojrzenie dobrych bogów i łagodnym jak oddech bogiń, mógłby wieść spokojne roz-
mowy z komandorem Aspertinim i panem Roux.

Ale prędko otrząsnąwszy się z tego marzenia, wziął znów udział w rozpoczętej roz-
mowie.

— Wojna pociąga za sobą niekończące się skutki. Z listu mego serdecznego przy-
jaciela, Williama Harrisona, dowiaduję się, że od 1871 roku pomiatają w Anglii wiedzą
francuską. Uniwersytety w Oxfordzie, w Cambridge lub w Dublinie ostentacyjnie pomi-
niają podręcznik archeologii Maurycygo Raynouard, który wszakże oddać może studentom
większe usługi niż jakakolwiek inna praca tego rodzaju. Ale nikt nie chce kształcić się
w szkole ludów zwyciężonych. Aby profesor wykładający o sztuce na Eginie albo o po-
wstaniu i rozwoju ceramiki greckiej zasługiwał na wiarę, trzeba koniecznie, by należał do
narodu celującego w odlewaniu armat. Dlatego że marszałka Mac-Mahona w 1870 roku
pobito pod Sedanem i że generał Chanzy tegoż roku stracił swoją armię w Maine, kolega
mój, Maurycy Raynouard, nie ma wstępu do Oxfordu w roku 1897. Takie są oto uboczne
i powolne, lecz pewne skutki niższości wojennej. I aż zanadto jest prawdą, że od dryblasa
noszącego szablę zawisł los Muz.

— Kochany panie — rzekł komandor Aspertini — odpowiem panu ze szczerością
dozwoloną przyjacielowi. Zaznaczmy naprzód, że myśl francuska tak jak dawniej bierze
udział w ruchu umysłowym świata. Podręcznik archeologii pańskiego uczonego roda-
ka, Maurycygo Raynouard, nie znalazł się na półkach wszechnic angielskich, ale wasze
dramaty i komedie są grywane na wszystkich scenach świata; powieści Alfonsa Daudet
i Emila Zoli tłumaczy się na wszystkie języki; płótna waszych mistrzów zdobią galerie

Wojna, Klęska, Nauka

obu półkul świata; prace waszych uczonych rzucają blask wszechświatowy. I jeśli duch wasz nie wstrząsa już duchem narodów, głos wasz nie przyspiesza bicia serc ludzkości, dzieje się tak dlatego, że nie chcecie już być apostołami sprawiedliwości i braterstwa, nie wymawiacie teraz tych świętych słów, co koją i pokrzepiają. Francja nie jest już przyjaciółką rodzaju ludzkiego, współobywatelką ludów, nie wyciąga już ręk, by rozsiewać ziarna wolności, które niegdyś rzucała z taką obfitością, z tak królewskim gestem, iż przez długi czas każda wzniosła myśl ludzka zdała się być myślą francuską. Francja nie jest już Francją filozofów i rewolucji; na poddaszach w sąsiedztwie Panteonu i Luksemburgu nie ma już tych młodych mistrzów, co po nocach, na nieociosanych stołach pisali owe natchnione słowa, od których dreszcz wstrząsał ludami i bledli tyrani. Nie uskarżajcie się zatem, że straciliście sławę, której przezorność wasza się obawia.

Nade wszystko nie mówcie, że wasze nieszczęścia wynikają z waszych porażek. Pamiętajcie, że pochodzą z waszej winy. Naród od bitwy przegranej nie cierpi więcej niż człowiek silny od zadrażnienia szpadą w pojedynku. Cios taki powoduje zaledwie przejściowe zaburzenie w gospodarce i osłabienie łatwe do usunięcia. Aby temu zaradzić, wystarczy trochę sprytu, zręczności i zmysłu politycznego. Pierwszą rzeczą, najpotrzebniejszą i zaiste najłatwiejszą, jest wyciągnąć z porażki całą chwałę wojenną, jaką ona dać może. Gdy dobrze rzecz rozważyć, sława zwyciężonych równa się sławie zwycięzców, a zarazem bardziej wzrusza. Ażeby porażkę uczynić piękną, należy wielbić generała i armię, którzy ją ponieśli, i rozgłaszać te piękne epizody, które nadają nieszczęściu wyższość moralną. W takie zdarzenia obfituje nawet najspiesznější odwrót. Zwyciężeni winni przede wszystkim zdobić, upiększać, ozłacać swą klęskę i wyciskać na niej wybitne znamiona wielkości i piękna. U Tytusa Liwiusza widzimy, że nie omieszkali czynić tego Rzymianie, że zawieszali zieleń i wieńce na mieczach złamanych nad Trebią, Trazymenem i pod Kannami. Nawet oplakaną bezczynność Fabiusza wysławili tak, że po dwudziestu dwóch wiekach podziwia się dziś jeszcze mądrość Kunktatora, który był tylko starym głupcem. Jest to najcenniejsza umiejętność zwyciężonych.

— Umiejętność ta nie poszła w niepamięć — rzekł pan Bergeret — Italia uprawiała ją za naszych czasów po Novarze⁸, Lissie⁹, Adui¹⁰.

— Kochany panie — odrzekł komandor Aspertini — kiedy armia włoska kapitułuje, uważamy słusznie, że kapitulacja taka jest pełna chwały. Rząd, który przedstawi porażkę w szatach estetycznych, zjednywa sobie w kraju własnym opinię patriotów i staje się interesującym w oczach zagranicy. Zysk to dość znaczny. W roku 1870 zależało tylko od was, Francuzów, by go osiągnąć. Gdyby na wieść o klęsce pod Sedanem senat i izba deputowanych wraz ze wszystkimi władzami państwowymi jednogłośnie, uroczyście podziękowały Napoleonowi III i marszałkowi Mac-Mahon za to, że wydając bitwę nie zwątpił o ocaleniu ojczyzny, czy nie sądzi pan, że naród francuski z niepowodzenia swego oręża wyniosłby znakomitą chwałę i silnie wyraziłby niewzruszoną wolę zwycięstwa? Daleki jestem od zuchwalstwa, by pańskim ziomkom, kochany panie Bergeret, udzielać lekcji patriotyzmu. Ukazałbym się w złym świetle. Podaję panu tylko kilka uwag, które po śmierci mojej znajdziecie skreślone na marginesach Liwiusza.

— Nie pierwszy to raz — rzekł pan Bergeret — komentarze *Dekad*¹¹ warte są więcej od tekstu. Lecz proszę mówić dalej.

Komandor Aspertini uśmiechnął się i podjął swą przemowę:

— Ojczyzna czyni rozumnie, spiąc pełnymi garściami lilie na rany zadane przez wojnę. Potem dyskretnie, milcząco, szybkim rzutem oka bada ranę. Jeśli cios był ciężki, jeśli siły kraju są poważnie naruszone, rozpoczyna natychmiast układy. Dla układów ze zwycięzcą najkorzystniejsza jest chwila najbliższa. Przeciwnik w pierwszym oszołomieniu triumfu podejmuje z radością układy, które jego pierwsze powodzenie mają zamienić na trwałe już szczęście. Nie miał on jeszcze czasu wzbudzić się w pychę trwałością sukcesów ani

⁸Novara — pod Novarą Włosi ponieśli w r. 1849 klęskę od Austriaków pod wodzą marszałka Radetzkiego. [przypis redakcyjny]

⁹Lissa — koło Lissy (wyspa na Adriatyku) rozgromiła flotę włoską w r. 1866 flota austriacka dowodzona przez admirała Tegetthoffa. [przypis redakcyjny]

¹⁰Adua — pod Aduą (stolica prowincji Tigre w północnej Abisynii) pokonali ich [Włochów; red. WL] w r. 1896 Abisyńczycy. [przypis redakcyjny]

¹¹Dekady — tym tytułem oznaczano historię Liwiusza, której powszechnie przyjęty tytuł jest: *Ab urbe condita libri CXXXVII*. [przypis redakcyjny]

rozdrażnić się zbyt długim oporem. Nie może wymagać wygórowanego odszkodowania za straty jeszcze niewielkie. Jego rodzące się pretensje jeszcze nie urosły. Być może, że i wtedy nie przyjmie pokoju na łatwych warunkach. Ale można być pewnym, że gdy zwyciężony zwleka z żądaniem pokoju, później będzie musiał opłacić go drożej. Mądrość polega na tym, żeby układać się, nie okazawszy całej swej słabości. Otrzymuje się wtedy warunki łżejsze, a interwencja państw neutralnych jeszcze je łagodzi. Co zaś do tego, by szukać rozpaczliwie ratunku i pokój zawierać dopiero po zwycięstwie, są to zapewne piękne zasady, ale trudne do zastosowania w czasach obecnych, kiedy z jednej strony handlowe i przemysłowe wymagania życia współczesnego, z drugiej zaś — ogrom armii, którą odziać i żywić trzeba, nie pozwalają przeciągać walki w nieskończoność, a zatem słabszemu nie dają czasu, by poprawił swą sytuację. W roku 1870 Francja kierowała się najszlachetniejszymi uczuciami. Ale rozsądnie rzecz biorąc, powinna była przystąpić do układów po pierwszych, chlubnych zresztą niepowodzeniach. Miała ona rząd, który mógł i powinien był podjąć się tego zadania i który byłby przeprowadził je na warunkach najkorzystniejszych, na jakie odtąd w ogóle liczyć było można. Rozsądek nakazywał przed pozbyciem się tego rządu wyciągnąć zeń tę ostatnią korzyść. Postąpiono odwrotnie. Francja powzięła nierozważną myśl, aby rząd, który znosiła przez lat dwadzieścia, obalić w chwili, kiedy zaczynał jej być potrzebny. Zamieniła go na rząd inny: ten, nie solidaryzując się z poprzednim, musiał ponownie podjąć wojnę, nie wnosząc do niej nowych sił. Później jeszcze trzeci rząd usiłował utwierdzić swą władzę.

Gdyby mu się było udało, zaczęto by wojnę po raz trzeci na tej zasadzie, że dwie pierwsze próby nieudane nie wchodzi w rachubę. Powiecie, że potrzebne to było dla ocalenia honoru narodowego. Ale krwią waszą ocaliliście dwa honory: honor Cesarstwa i honor Republiki i gotowicie byli ratować trzeci honor, honor Komuny. A przecież jasne, że naród, choćby najdumniejszy, tylko jeden honor ocalić powinien. Ten zbytek szlachetności doprowadził was do ostatecznej niemocy, z której na szczęście dźwigać się zaczynacie...

— Tak — rzekł pan Bergeret — gdyby Włochy zostały pobite pod Wissemburgiem i Reichshoffen¹², porażki te przyniosłyby im Belgię. Ale my jesteśmy narodem bohaterów i myślimy zawsze, że jesteśmy zdradzani. Oto cała historia. I zauważy pan, że jesteśmy demokracją; to stan najmniej odpowiedni do układów. Nie daje się zaprzeczyć, że stawialiśmy opór długo i mężnie. Nadto mają nas za ludzi sympatycznych — sędzę, że słusznie. Zresztą wielkie czyny ludzkości były zawsze tylko posępnym błazeństwem, a historycy odnajdujący jakiś ład w dziejach — pustymi krasomówcami. Bossuet...

W chwili gdy pan Bergeret wymawiał to nazwisko, drzwi do gabinetu otworzyły się z takim trzaskiem, że trzcinowy manekin zachwiał się i potoczył pod nogi zdumionego komandora Aspertini. Wpadła dziewczyna rudawa, zezowata, o niskim czole; potężna jej brzydota jaśniała młodością i siłą; okrągłe policzki i gołe ręce miały barwę triumfalnej czerwieni. Stała przed panem Bergeret i potrząsając łopatką do węgła zawołała:

— Odchodzę!

Była to młoda służąca Eufemia, która po kłótni z panią Bergeret wymawiała służbę. Powtórzyła jeszcze raz:

— Wracam do domu!

Pan Bergeret odrzekł:

— Dobrze. Idź sobie, ale cicho i spokojnie.

Powtórzyła kilkakrotnie:

— Idę sobie, idę sobie! Skołowaciłabym tu z panią!

I opuszczając łopatkę, dodała spokojnie:

— A w dodatku dzieją się tu rzeczy, których wolę nie widzieć.

Pan Bergeret, nie siłując się na wyjaśnienie tych tajemniczych słów, zwrócił uwagę służącej, że jej nie zatrzymuje i że może odejść.

— To niech mi pan da moje pieniądze.

— Odejdź — odrzekł pan Bergeret — czyż nie widzisz, że mam co innego do czynienia teraz niż rachować się z tobą? Zaczekaj z tym!

¹²pod Wissemburgiem i Reichshoffen — pod Wissemburgiem i Reichshoffen w Alzacji zadali Prusacy klęskę Francuzom w r. 1870. [przypis redakcyjny]

Ale Eufemia, znów podnosząc czarną i ciężką łopatkę, wrzasnęła:
— Niech mi pan odda moje pieniądze! Proszę mi wypłacić moje zasługi!

II

O szóstej wieczorem ksiądz Guitrel wysiadł z pociągu w Paryżu, zawołał na placu przed dworcem fiakra i pod ulewnym deszczem, w gęstym cieniu usianym światełkami latarni, kazał się zawieźć na ulicę des Boulangers pod numer 5. Tam, przy tej wąskiej, nierównej, wspinającej się pod górę uliczce, nad bednarzami i handlarzami korków, w zapachu kuf i beczek, mieszkał dawny jego przyjaciel, ksiądz Le Genil, kapelan Sióstr Siedmiu Ran i kaznodzieja w jednej z najarystokratyczniejszych parafii Paryża, gdzie wygłaszał kazania wielkopostne, ściągające wielu słuchaczy. Tam zawsze stawał ksiądz Guitrel, ilekroć przyjeżdżał do Paryża, aby popracować nad postępami swej powolnej kariery. Dzień cały obcasy jego trzewików drobnym kroczeniem, dyskretnie dzwoniły po bruku miejskim, po stopniach schodów, po posadzce najrozmaitszych domów. Wieczorem spożywał wieczerzę z księdzem Le Genil. Dwaj dawni koledzy z seminarium opowiadali sobie zabawne historyjki, informowali się o cenach mszy i kazań i grali partyjkę manilli. O dziesiątej służąca Nastusia stawiała w jadalni żelazne łóżko dla księdza Guitrel, który też pamiętał zawsze, by na wyjeźdnym dać jej nowiuteńką pięciofrankówkę.

Tym razem, jak zwykle, wysoki, barczysty ksiądz Le Genil opuścił szeroką rękę na ramię księdza Guitrel, który aż ugiął się pod nią, i powitał go głosem huczącym jak organy. Natychmiast zapytał wedle swego starego, jowialnego zwyczaju:

— Czy przywozisz mi przynajmniej tuzin tuzinów mszy do odprawienia po dukacie każda, czy też zawsze dla siebie tylko zachowywać będziesz złoto, które strugami ci płynie od twoich prowincjonalnych dewotek, ty stary sknero? — Mówił tak wesoło, bo był biedny i wiedział, że Guitrel jest równie biedny jak on. Guitrel, który znał się na żartach, choć sam nie żartował nigdy z braku wrodzonej wesołości, odpowiedział, że musiał przyjechać do Paryża po różne powierzone mu sprawunki, głównie zaś po książki. Prosił przyjaciela, by go przyjął na dwa, trzy dni, nie na dłużej.

— Powiedz prawdę raz w życiu — odrzekł ksiądz Le Genil — przyjeżdżasz po mitrę, stary lisie! Jutro rano ze słodką minką przedstawiś się nuncjuszowi. Będziesz biskupem, Guitrel!

I kapelan Sióstr Siedmiu Ran, kaznodzieja kościoła Świętej Ludwiki, z ironiczną czcią, w której była może przymieszka instynktownego szacunku, skłonił się nisko przed przyszłym biskupem. Po czym twarz jego znów przybrała ten wyraz rubaszny, w którym widniała dusza nowego Oliviera Maillard¹³.

— Wejdz, proszę! Może chcesz się czymś pokrzepić?

Ksiądz Guitrel był człowiekiem skrytym. Jego ściągnięte usta zdradzały niezadowolenie, że odgadnięto jego cele. Istotnie, przybywał on, by kandydaturze swej zapewnić wpływowe poparcie. Nie miał najmniejszej ochoty opisywać wykrętnych starań temu przyjacielowi, z natury szczeremu, u którego szczerłość była nie tylko cnotą, ale i polityką zarazem.

Szeptał więc:

— Nie sądz tak... mylisz się tym więcej, że...

Ksiądz Le Genil wzruszył ramionami:

— Stary obłudniku!

Wprowadziwszy przyjaciela do sypialni, usiadł pod lampą naftową i zabrał się do przerwanej pracy, mianowicie do reperowania spodni. Ksiądz Le Genil, ceniony kaznodzieja w diecezjach Paryża i Wersalu, reperował swą garderobę, by oszczędzić trudu starej służki. Prócz tego istotnie lubił szyć, do czego przywykł w ciężkich czasach swej młodości kapłańskiej. Tak więc ten kolos o spiżowych płucach, z kazalnicy gromiący niedowiarków, siedział teraz na wyplatany krzeselku i czerwonymi, grubymi palcami powoli wyciągał igłę. Unosząc głowę znad roboty i zwracając na księdza Guitrel groźne spojrzenie swych wielkich, pocziwych oczu, rzucił:

— Zagramy wieczorkiem naszą partyjkę, stary szachraju!

¹³Olivier Maillard (1430–1502) — głośny i popularny kaznodzieja, który wpłatał do swych kazań ustępy wesołe i rubaszne. [przypis redakcyjny]

Ale Guitrel nieśmiało i z uporem bąkał, że musi wyjść po kolacji. Guitrel miał swój plan. Prosił, by pośpieszono z podaniem wieczerzy, zjadł bardzo szybko ku wielkiemu niezadowoleniu księdza Le Genil, który lubił jeść dobrze i gadać dużo za stołem. Wstał prędko, nie czekając na deser, przeszedł do drugiego pokoju, zamknął się tam i włożył ubranie świeckie, przywiezione w walizce. Po chwili ukazał się przyjacielowi w długim, czarnym, poważnym surducie, śmiesznym jak przebranie. W nieco wyrudziałym, niezwykle wysokim cylindrze na głowie szybko wypił kawę, zmówił modlitwę i wymknął się z domu.

Ksiądz Le Genil wybiegł za nim na schody.

— Nie dzwoń wracając, obudziłbyś Nastusię! Znajdziesz klucz pod słomianką. Jeszcze słówko, Guitrel; wiem, dokąd idziesz. Idziesz na lekcję deklamacji, stary Kwintylianie!

Ksiądz Guitrel w wilgotnych ciemnościach szedł w górę nadrzecznych bulwarów; wśród obojętnych przechodniów, zaledwie spoglądających na jego niezmiernej wysokości kapelusz, przeszedł most des Saints-Pères i plac du Carrousel i zatrzymał się u tokańskiego perystylu Komedii Francuskiej. Tu odczytał afisz, by się przekonać, czy widowisko niezmienione i czy rzeczywiście grają *Andromachę* i *Chorego z urojenia*. Potem u drugiego okienka zażądał biletu na parter.

Zasiadł na wąskiej ławeczce prawie już zapelnionej widzami, za pustymi jeszcze fotelami, wyjął z kieszeni gazetę, nie dlatego, żeby ją czytać, ale by mniej zwracać na siebie uwagę przy podsłuchiwaniu toczących się dokoła niego rozmów. Miał słuch ostry, patrzył uchem, podobnie jak pan Worms-Clavelin słuchał ustami. Sąsiadami jego byli subiektci, handlowcy, rękodzielnicy, zawdzięczający bezpłatne bilety znajomości z jakimś maszynistą czy kostiumerką; ludzie skromni, prości, chciwi widowisk, zadowoleni z siebie, zajęci totalizatorem i wyścigami cyklistów, młodzież spokojna, nieco nasiąkła duchem koszar, bezwiednie demokratyczna i republikańska, ale konserwatywna nawet w żartach z prezydenta Republiki. Ksiądz Guitrel chwycił w lot zasłyszane tu i ówdzie słowa zdradzające ten stan umysłów i myślał o księdzu Lantaigne, który w głębi swej samotni marzył o powrocie tego ludu do monarchii teokratycznej. I śmiał się ukryty za swą gazetą.

„Ci paryżanie — myślał — są najzgodniejszymi ludźmi na świecie. Żle sądzą ich u nas na prowincji. Dałby Bóg, żeby republikanie i wolnomysłownicy w biskupstwie Tourcoing skrojeni byli na tę modłę! Ale duch Francuzów północy gorzki jest jak chmiel ich pół. Znajdę się w mojej diecezji między fanatycznymi socjalistami i żarliwymi katolikami”.

Wiedział, jakie kłopoty czekają go na tronie błogosławionego Lupusa, ale nie lękał się ich, przeciwnie, wzywał je na swoją głowę z tak ciężkim wzdychaniem, iż sąsiad spojrział nań, myśląc, że mu słabo. Tak to ksiądz Guitrel snuł w swej głowie myśli biskupie przy wtórze lekkomyślnych rozmów, skrzypiących drzwi i ciągłego ruchu bileterek.

Ale gdy za trzykrotnym uderzeniem kurtyna z wolna się podniosła, całą uwagę skupił na przedstawieniu. Zajmowały go tylko dykcja i gesty aktorów. Wymowę, chód, grę twarzy badał z zawodową ciekawością starego kaznodziei, pragnącego podpatrzeć tajemnicę szlachetnych ruchów i patetycznych akcentów. Kiedy następowały długie przemowy, podwajał uwagę, żalując tylko, że nie słucha Corneille’a, bogatszego w tyradę, płodniejszego w efekty krasomówcze i lepiej zaznaczającego rozmaite części oracji. W chwili gdy aktor grający Orestesa wypowiedział rzeczywiście klasyczny ustęp: „Zanim wszyscy Grecy...”, profesor retoryki kościelnej zaczął notować w umyśle wszystkie pozy i wszystkie modulacje głosu. Ksiądz Le Genil dobrze znał swego przyjaciela; wiedział, że subtelny profesor wymowy kościelnej chodzi do teatru na lekcje deklamacji!

Ksiądz Guitrel na aktorki mniej zwracał uwagi. Kobiętę miał w pogardzie. Nie znał to, żeby zawsze był czysty myślą. W kapłaństwie swym poznał i on niepokoje ciała. Jak ominął, odwrócił lub przekroczył szóste przykazanie, wiedział tylko Bóg! I jakiego rodzaju istoty mogły również wiedzieć o tym, tego doszukiwać się nie trzeba. *Si iniquitates observaveris, Domine, Domine, quis sustinebit*¹⁴? Ale był księdzem i wstrętne mu było łono Ewy, nienawistny mu był zapach warkoczy kobiecych. Swemu sąsiadowi z ławki, subiektowi, wychwalającemu sławne i piękne ramiona aktorki, odpowiedział wyrazami lekceważenia, które bynajmniej nie było obłudą.

Ksiądz, Kobieta

¹⁴*Si iniquitates (...) sustinebit* (łac.) — Panie, Panie, będzieszli nieprawości upatrywał, któż się ostoi (z Psalmu 130). [przypis redakcyjny]

Zainteresowanie jego dotrwało do końca tragedii. Obiecywał sobie, że zapalczywość Orestesa, tak jak ją odtwarzał znakomity aktor, przeniesie do kazania o mękach niedowiarków i nędznym końcu grzeszników. I podczas przerwy starał się w myśli według tego, co usłyszał, poprawiać pewien akcent prowincjonalny, który dotąd kaził jego wymowę. „Głos biskupa z Tourcoing — myślał sobie — nie powinien trącić kwasem jak wina z naszych wzgórz w Owernii”.

Komedia Moliera, zamykająca przedstawienie, zabawiła go ogromnie. Nie umiał sam wyszukiwać śmieszności, więc rad był, gdy mu je ukazywano. Cieszył się zwłaszcza, gdy uchwycił jakieś szczegóły wesołe upokarzające ciało; śmiał się też z całego serca z ustępów nieprzyzwoitych.

W połowie ostatniego aktu wyjął z kieszeni bułeczkę i zjadł ją drobnymi kąskami, zasłaniając ręką usta. Spieszył się, by w tym posiłku nie zaskoczyła go północ, nazajutrz rano bowiem miał odprawić mszę w kaplicy Sióstr Siedmiu Ran.

Po przedstawieniu drobnym swym kroczeniem wracał na kwaterę przez opustoszałe bulwary nadrzeczne. W ciszy rzeka szemrała głuchą skargą swych wód. Ksiądz Guitrel kroczył w rudej mgle, która powiększała wszystkie kształty i jego kapeluszowi nadawała w nocy niesamowitą wysokość. Gdy posuwał się wzdłuż lepkich murów starego szpitala, brzydka ulicznica, już niemłoda, ogromna, z gołą głową, z piersią źle obciągniętą białym kaftanikiem, kulejąc, podeszła do niego i ciągnąc go za połę surduta, zaczęła mu się narzucać. Potem, nagle, zanim nawet pomyślał, by uwolnić się od niej, uciekła, wołając:

— Ksiądz! Co za pech! — i biegnąc w stronę parkanu otaczającego jakiś dom w odbudowie, jęczała: — Jakież jeszcze nieszczęście mnie spotka? Bodaj to...

Ksiądz Guitrel wiedział o głupim przesądzie babskim, że spotkanie księdza ma być złą wróżbą, i o zwyczaju pukania w suche drzewo dla zażegnania uroku, ale zdziwił się, że ta dziewczyna uliczna od razu poznała jego zawód mimo świeckiego ubrania.

„Oto kara, co dosięga nas za zrzucenie sutanny — pomyślał. — Księdza, który w nas jest, utaić nie podobna. *Tu es sacerdos in aeternum*¹⁵, Guitrel”.

III

Gnany wiatrem północnym, pędzącym opadłe liście po białym i twardym bruku, pan Bergeret przeszedł plac zabaw wśród ogołoconych wiązów i wstępował na wzgórze Duroc. Stąpał twardo po nierównym bruku. Minął po prawej stronie kuźnię i mleczarnię, na której wymalowane były dwie czerwone krowy, po lewej — długi, niski mur okalający ogrody warzywne i zmierzał ku niskiemu, zamglonemu niebu, które fioletową pręgą zamykał widnokrąg.

Z rana przygotował swój dziesiąty i ostatni wykład o ósmej księdze *Eneidy* i machinalnie powtarzał w myśli osobiowości metryczne i gramatyczne, które zajęły jego uwagę. Rytm swej myśli nastrajając do rytmu swych kroków, powtarzał w różnych odstępach miarowe słowa: *Patrio vocat agmina sistro*¹⁶. Ale niekiedy jego ciekawy i różnostronny umysł puszczał się na niezwykle śmiałe spostrzeżenia krytyczne. Wojenna retoryka tej ósmej księgi zabijała go. Wydawało mu się śmieszne, że Eneasz otrzymał od Wenery tarczę z płaskorzeźbami wyobrażającymi sceny z historii rzymskiej aż do bitwy pod Akcjum i ucieczki Kleopatry. *Patrio vocat agmina sistro*. Wyszedszy na Drogę Pasterek, górującą nad wzgórzami Duroc, pan Bergeret przystanął przed opróżnionym, zapleśniałym, na czerwono malowanym szynkiem ojca Maillard i pomyślał, że ci Rzymianie, których studiowaniu życie swe poświęcił, straszni są przez swą nadętą miernotę. W miarę lat i kształcenia smaku cenił już tylko Katullusa i Petroniusza. Ale trudno, musiał trzymać się gleby, którą orał. *Patrio vocat agmina sistro*. Czyżby Wergiliusz i Propertjusz, myślał sobie, chcieli nam wmówić, że słabe dźwięki lutni, towarzyszące frenetycznym i pobożnym tańcom kapłanów, były również muzyką żeglarzy i wojowników egipskich? Tę wystawić sobie nie podobna¹⁷.

Schodząc ścieżką od Drogi Pasterek po przeciwnym stoku wzgórz Duroc, poczuł nagle łagodne ciepło powietrza. Droga schodziła tu między ścianami wapienia, których

¹⁵*Tu es sacerdos in aeternum* (łac.) — jesteś kapłanem na wieki. [przypis redakcyjny]

¹⁶*Patrio (...) sistro* (łac.) — cytata z *Eneidy* (ks. VIII, w. 696), (...) dosł.: „ojcowską grzechotką zwołuje hufce” [o królowej Egiptu; red. WL]. [przypis redakcyjny]

¹⁷*nie podobna coś zrobić* — nie można, nie sposób coś zrobić. [przypis edytorski]

Ksiądz, Przebranie,
Prostytutka

czepiały się z wysiłkiem korzenie młodych dębów. Osloniony¹⁸ od wiatru, pod bladym, bezpromiennym słońcem grudniowym, chylącym się do widnokręgu, pan Bergeret szepnął jeszcze ciszej: — *Patrio vocat agmina sistro*. Bez wątpienia, Kleopatra uciekła z Akcjum ku Egiptowi, ale uciekła, przedarlszy się przez flotę Oktawiana i Agryppy, którzy usiłowali zamknąć jej przejście.

I zachęcony łagodnością powietrza oraz oświecenia, pan Bergeret usiadł na skraju drogi na kamieniu, który, ongi oderwany od góry, z wolna pokrywał się ciemnym mchem. Przez sieć cienkich gałązek drzew profesor patrzył na liliowe niebo przyćmione mgłą i odczuwał cichy smutek marzenia w zupełnej samotności.

„Antoniusz i Kleopatra — myślał — atakując blokujące ich okręty Agryppy, mieli jedynie na celu otworzyć sobie przejście. To właśnie udało się Kleopatrze: wyswobodziła swoje sześćdziesiąt okrętów”. I pan Bergeret w swoim parowie oddawał się niewinnej chwale: decydował o losach świata na sławnych wodach Akarnanii. Lecz spojrzawszy o trzy kroki przed siebie, ujrzał z drugiej strony ścieżki starca siedzącego na kupie zwiedłych liści i opartego o szare zbocze. Była to postać ponura, ledwie wyróżniająca się wśród otoczenia. Twarz, broda, łachmany miały barwę i odcień kamienia i liści. W ręku starzec miał stare ostrze noża, bardzo cienkie na skutek wieloletniego ostrzenia. Z wolna oskrobywał nim gruby kawał drzewa.

— Dzień dobry panu — rzekł staruszek. — Słoneczko jest bardzo przyjemne. A najlepsze w tym wszystkim, że nie będzie deszczu.

Pan Bergeret poznał Skowronią Nóżkę, włóczęgę, którego bardzo niesłusznie sędzia śledczy, pan Roquincourt, wmieszał był do zbrodni w domu królowej Małgorzaty. Sześć miesięcy trzymał go w więzieniu; spodziewał się, że może wyjdą na jaw jakieś nieprzewidziane poszlaki przeciw niemu, lub też może myślał, że aresztowanie wyda się tym słuszniesze, im dłużej trwać będzie, a może po prostu złościł się na człowieka, który zmylił był drogi sprawiedliwości. Pan Bergeret miał sympatię do nędzarzy i uprzejmie odpowiedział na grzeczne słowa Skowroniej Nóżki.

— Dzień dobry, przyjacielu — rzekł doń. — Widzę, że znasz dobre miejsca. Na tym zboczku jest ciepło i zacisznie.

Po chwili milczenia Skowronia Nóżka odrzekł:

— Znam miejsca jeszcze lepsze. Ale są dość daleko. Nie trzeba obawiać się chodzenia. Mam nogi dobre, ale złe trzewiki. Nie mogę włożyć dobrych, nie jestem do nich przyzwyczajony. Gdy mi kto da całe trzewiki, rozcinam je.

I uniośł nogę z kupy zeschniętych liści; paluch owinięty gałganem wystawał z dziury w bucie.

Zamilkł i uważnie oskrobywał dalej twarde drewno.

Pan Bergeret powrócił do swoich myśli. *Pallentem morte futura*¹⁹. Okręty Agryppy nie zdołały w przejeździe zatrzymać „Antoniady” o purpurowych żaglach. Przynajmniej tym razem gołąbka wymykała się sępowi.

Skowronia Nóżka odezwał się:

— Zabrali mi nóż.

— Któż taki?

Włóczęga podniósł rękę i skierował ją w stronę miasta. Nic więcej nie powiedział, ale widocznie szedł dalej za biegiem swej myśli, bo po chwili dodał:

— Nie oddali mi go.

I zamilkł poważny, niezdolny wyrazić myśli przewalających się w jego ciemnej duszy. Nóż i fajka były jego jedynym dobrem na świecie. Nożem krajał czerstwe kromki chleba i skrawki słoniny, otrzymywane u drzwi chat, twarde pożywienie, którego jego bezzębne szczęki już gryźć nie mogły; nożem siekał odpadki cygar, którymi napychał fajkę, nożem okrawał zgniłe owoce i wyszukiwał w kupach śmieci coś zdatnego do zjedzenia. Nożem przykrawał sobie kij do drogi i ścinał gałęzie, z których układał poślanie na nocleg w lesie. Nożem rzeźbił z kory dębów stateczki dla chłopców i z białego drzewa lalki dla dziewczynek. Nożem wykonywał wszelkie przedmioty, najpotrzebniejsze i najsubtelniej-

¹⁸*osloniony* — dziś: osłonięty. [przypis edytorski]

¹⁹*Pallentem morte futura* (łac.) — cytata z *Eneidy* (ks. VIII, w. 709); [dosł.: „pobladał od zbliżającej się śmierci”, red.WL]. [przypis redakcyjny]

sze. Zawsze zgłodniały, a niekiedy przemyślny, zarabiał na swe potrzeby robiąc z sitowia delikatne fontanny, które podobały się panom z miasta.

Bo człowiek ten pracować nie chciał, ale uprawiał najróżnorodniejsze rzemiosła. Wychojąc z więzienia nie zdołał wymóc, by mu oddano nóż złożony w kancelarii. I poszedł w świat bezbronny, pozbawiony i tego jedyne go dobra, słabszy niż dziecię. Zapłakał nad swą niedolą. Drobne lzy, nie spływając, piekły jego krwawe źrenice. Potem powróciła otucha — wyszedłszy z miasta, u przydrożnego słupa znalazł stare ostrze. Teraz zajęty był oprawianiem go w bukową rączkę, którą przyciął sobie w lasku.

Wspomnienie noża nasunęło mu myśl o fajce.

— Nie zabrali mi fajki — rzekł.

I z welnianego worka na piersiach wyjął coś niby czarny, lepki naparstek — sam tylko cybuch fajki.

— Mój biedaku — rzekł pan Bergeret — nie wyglądacie na zbrodniarza. Dlaczego więc dostajecie się tak często do więzienia?

Skowronia Nóżka nieprzyzwyczajony był do rozmowy, zupełnie nie umiał jej prowadzić. I chociaż nie był pozbawiony pewnej inteligencji, nie rozumiał od razu znaczenia zwróconych do niego słów. Brakło mu wprawy. Nie zaraz też odpowiedział panu Bergeret, który tymczasem końcem laski kreślił znaki w białym pyłe drogi. Skowronia Nóżka rzekł wreszcie:

— Nie robię nic złego. Więc karany jestem za coś innego.

I rozmowa potoczyła się bez zbyt wielkich przerw.

— Chcecie powiedzieć, że wtrącają was do więzienia za czyny niewinne?

— Znam takich, co robią rzeczy złe. Ale szkodziłbym sobie, gdybym o tym mówił.

— Obcujecie z włóczęgami i zbrodniarzami?

— Chce mnie pan na słówka wyciągać. Zna pan pana sędziego Roquincourt?

— Znam go trochę. Surowy jest, nieprawdaż?

— Pan sędzia Roquincourt mówi dobrze. Nie słyszałem, żeby kto mówił tak dobrze i tak prędko. Nie ma się czasu zrozumieć. Nie można odpowiedzieć. Nie słyszałem nigdy, żeby kto choć w połowie tak dobrze mówił jak on.

— Trzymał was pod śledztwem długie miesiące i nie macie za to żalu do niego. Co za przykład wspaniałomyślności i wyniosłego przebaczenia!

Skowronia Nóżka znów zaczął strugać trzonek noża. W miarę jak postępowała robota, rozpoznał się i odzyskiwał spokój umysłu. Nagle zapytał:

— Zna pan niejakiego Corbon?

— Co za Corbon?

Było to zbyt trudne do wytłumaczenia. Skowronia Nóżka uczynił niejasny gest obejmujący ćwierć widnokręgu. Myśl jego była zajęta jednak widzieć człowiekiem, którego wymienił, bo jeszcze raz powtórzył:

— Corbon.

— Skowronia Nóżko — zapytał pan Bergeret — mówią, że jesteście dziwnego rodzaju włóczęgą i że, nic nie mając, nigdy nic nie kradniecie. Jednak żyjecie ze zbrodniarzami. Znaście morderców?

Skowronia Nóżka odrzekł:

— Jedni tak myślą, drudzy tak. Ja, gdybym chciał źle zrobić, wykopałbym jamę pod drzewem na wzgórzu Duroc, położyłbym nóż na dnie jamy i przydeptałbym ziemię nogami. Tych, którzy chcą źle zrobić, nóż prowadzi. Nóż, a także duma. Ja, jeszcze będąc chłopcem, straciłem dumę, bo wyszydza li mnie chłopci i dziewczęta, i dzieci nawet, zawsze i wszędzie.

— I nigdy nie mieliście złych i gwałtownych myśli?

— Dawniej miałem, gdy spotykałem samotne kobiety na drogach. Z powodu tego, co mi się o nich ro iło. Ale teraz to skończone.

— I nie napada was to już?

— Czasami.

— Skowronia Nóżko, kochacie swobodę, jesteście wolni. Żyjecie bez pracy, jesteście człowiekiem szczęśliwym.

— Są ludzie szczęśliwi, ale ja nie.

— Gdzież są ci szczęśliwi?

— W chatach.

Pan Bergeret wstał, wcisnął pół franka w rękę Skowroniej Nózki i rzekł:

— Sądźcie, Skowronia Nózko, że szczęście jest pod dachem, u ciepłego kominka, w miękkim łóżku. Miałem was za większego mędrca.

IV

W dzień Nowego Roku pan Bergeret od rana włożył frak, który dawno stracił połysk i w szarym blasku zimowego dnia wydawał się jakby posypyany popiołem. Złote palmy akademickie, przypięte na fioletowej wstążce do klapy, śmiesznie błyszcząc, uwydatniały wyraźniej jeszcze, że pan Bergeret nie jest kawalerem legii honorowej. Czuł się on w tym ubraniu niezmiernie nędzny i szczupły. Biały krawat wydał mu się ozdobą godną politowania. Co prawda, nie był pierwszej świeżości. I gdy po długim, bezowocnym gnieceniu gorsu przekonał się, że w dziurkach, zniszczonych długim użyciem, spinki dobrze trzymać się nie chcą, zasępił się ostatecznie. Do serca jego wniknął żal, że nie jest człowiekiem światowym. Siadł na krześle i dumiał.

„Czy doprawdy istnieje wielki świat i światowcy? Zdaje mi się, że tak zwany wielki świat jest jak srebrny i złoty obłok zawieszony w błękicie niebios. Gdy się przezeń przechodzi, widzi się tylko mgłę. W rzeczywistości ugrupowania społeczne są bardzo niejasne. Ludzie łączą się z racji swych przesądów i upodobań. Ale upodobania często walczą z przesądami i przypadek mąci wszystko. Bez wątpienia, trwałe bogactwo i wynikająca stąd swoboda wytwarzają pewien sposób życia i pewne szczególne przyzwyczajenia. I to stanowi istotnie wspólną cechę światowców. Wspólność ta ogranicza się do nawyków grzeczności, higieny, sportu. Istnieją obyczaje światowe. Są one czysto zewnętrzne i przez to samo bardzo drażliwe. Istnieją maniery, zewnętrzne pozory światowe. Ale nie ma ludzi-swiatowców. W rzeczywistości charakteryzują nas tylko nasze namiętności, idee, uczucia. Mamy świat wewnętrzny, do którego zewnętrzny nie dociera”.

A jednak zły stan krawata i koszuli niepokoiły go. Poszedł przejrzeć się w lustro w salonie. W lustrze tym ukazał mu się jego obraz daleki, przesłonięty wielkim koszem wrzosu, z wijącymi się czerwonymi atlasowymi wstęgami. Upleciony z łożyny kosz ów miał kształt wozu o pozłocistych kołach i stał na fortepianie między dwoma woreczkami kasztanów w cukrze. U złożonego dyszła była przypięta karta pana Roux. Był to podarek pana Roux dla pani Bergeret.

Profesor nie odsunął owitych wstęgami kęp wrzosu, wystarczyło mu, że zza kwiatów ujrzał swoje lewe oko, któremu życzliwie przyglądał się czas jakiś. Pan Bergeret nie wierzył, by go ktoś kochał na tym lub innym świecie, więc sam siebie darzył litością i sympatią. Był łagodny dla siebie, tak jak dla biedaków. Wyrzekł się więc dłuższej obserwacji swej koszuli i krawata i rzekł do siebie:

„Studiujesz tarczę Eneasza, a krawat twój jest zmięty. Oto już dwie śmieszności. Nie jesteś człowiekiem światowym. Staraj się przynajmniej żyć życiem wewnętrznym i uprawiaj bogatą glebę w samym sobie”.

W tym dniu noworocznym nie brakło mu powodów do narzekania na los, miał bowiem składać życzenia ludziom pospolitym i gruboskórnym: rektorowi i dziekanowi. Rektor, pan Leterrier, nie znosił profesora Bergeret. Była to antypatia wrodzona, wrastająca regularnie jak pęd rośliny i wydająca corocznie owoce. Pan Leterrier, profesor filozofii, autor podręcznika, w którym osądził wszystkie systemy, posiadał niewzruszoną pewność doktryny oficjalnej. W jego umyśle nie istniała żadna wątpliwość co do zagadnień dotyczących się piękna, prawdy, dobra, których cechy określił w swej pracy (od str. 216 do 262). Pana Bergeret uważał za człowieka przewrotnego i niebezpiecznego.

Pan Bergeret przyznawał zupełną słuszność antypatii, którą miał do niego pan Leterrier, i z tego powodu nie szemrał. Niekiedy nawet wywoływała ona na jego ustach uśmiech pobłażania. Ale doznawał rzetelnej przykrości, gdy spotykał się z dziekanem, panem Torquet, który w ogóle nie myślał i który, nadziany uczonością, miał duszę analfabety. Grubas ten, bez czoła i bez czaszki, cały dzień zajęty w domu i ogrodzie liczeniem kawałków cukru i gruszek lub zakładaniem dzwonków podczas wizyt swych kolegów z wydziału, gdy chciał komu szkodzić, okazywał taką energię i taką inteligencję, że zdumiał

miewał pana Bergeret. O tym myślał profesor nadzwyczajny wkładając palto, by pójść złożyć życzenia noworoczne panu dziekanowi Torquet.

Znalazłszy się na ulicy, doświadczył wszakże uczucia radości. Odnajdował tam najdroższe dobro: filozoficzną wolność. Na rogu ulicy des Tintelleries, naprzeciwko Dwóch Satyrów, zatrzymał się, żeby przyjaźnie spojrzeć na akację, która z ogrodu rzeźnika Lafolie wychylała zza muru swoją bezlistną koronę.

„Drzewa — myślał — przybierają zimą pewne wewnętrzne piękno, którego nie mają w całym przepychu i krasie liści i kwiecica. Uwydatniają delikatność swej budowy: obfitość tych gałązek, cienkich jak gałązki czarnego koralu, jest prześliczna. Nie są to szkielety, to mnóstwo ładnych, drobnych członków, w których drzemie życie. Gdybym był pejzaży-
stą...”

Gdy tak rozmyślał, barczysty jegomość zawołał go po nazwisku i nie zatrzymując się, wsunął mu rękę pod ramię. Był to pan Compagnon, najpopularniejszy z profesorów, ulubiony przez uczniów; jego wykłady matematyki odbywały się w największym audytorium.

— Życzę wam szczęśliwego roku, kochany Bergeret. Założę się, że tak jak ja idziecie do dziekana. Pójdziemy razem.

— Bardzo chętnie — odparł pan Bergeret. — W ten sposób kroczyć będę przyjemnie ku przykremu celowi. Bo przyznając się, że ujrzenie pana Torquet nie jest dla mnie przyjemnością.

Słyszając to wyznanie, którego nie wywołał, pan Compagnon instynktownie czy też przypadkiem cofnął rękę, którą był włożył²⁰ pod ramię kolegi.

— Wiem, wiem, mieliście nieporozumienia z dziekanem. Nie jest to jednak człowiek niemiły w stosunkach.

— Mówiąc tak o nim — odparł pan Bergeret — nie myślałem nawet o niechęci, którą dziekan żywi ku mnie. Ale samo zetknięcie się z człowiekiem pozbawionym wszelkiej wyobraźni mrozi mnie do szpiku kości. Nie myśl o niesprawiedliwości i nienawiści, nawet nie widok cierpień ludzkich naprawdę nas zasmuca. Przeciwnie, cierpienia naszych bliźnich, o ile je nam przedstawiają wesoło, pobudzają nas do śmiechu. Ale te dusze głuche, w których nic nie znajduje oddźwięku, te istoty, w których unicestwia się świat, to widok smutny i rozpaczliwy. Obcowanie z panem Torquet jest jedną z największych przykrości mego życia.

— Mniejsza o to! — rzekł pan Compagnon. — Nasz uniwersytet jest jednym z najświetniejszych we Francji zarówno ze względu na zasłużonych profesorów, jak i na urzędników sal wykładowych. Tylko laboratoria pozostawiają nieco do życzenia. Ale spodziewać się należy, że połączone usiłowania naszego rektora, tak oddanego tej sprawie, i senatora, tak wpływowego jak pan Laprat-Teulet, i tę lukę wkrótce wygładzą.

— Należałoby też sobie życzyć — rzekł pan Bergeret — żeby nie wykładano już kursu łaciny w ciemnej, wilgotnej piwnicy.

Przechodząc placem Św. Eksuperego pan Compagnon wskazał na dom Deniseau.

— Nie mówi się już o tej jasnowidzącej, która obcowała ze świętą Radegondą i kilkoma innymi świętymi z raju. Czy widzieliście ją, Bergeret? Kiedy była najwięcej w modzie, wprowadził mnie do niej Lacarelle, szef gabinetu prefekta. Siedziała na fotelu z zamkniętymi oczyma, a tuzin wiernych zadawał jej pytania. Pytano, czy zdrowie papieża jest zadowalające, jakie będą skutki przymierza francusko-rosyjskiego, czy uchwalony będzie podatek dochodowy i czy wkrótce wynajdą środek na leczenie suchot. Odpowiadała na wszystko stylem poetycznym, dość biegle. Gdy na mnie przyszła kolej, zadałem jej proste pytanie: „Ile wynosi logarytm 9?”. Czy myślicie, Bergeret, że odpowiedziała: 0,954?

— Nie, wcale tak nie myślę — odrzekł pan Bergeret.

— Nic nie odpowiedziała — rzekł pan Compagnon — nic zupełnie. Milczała. Powiedziałem: „Jakże święta Radegonda może nie wiedzieć, ile wynosi logarytm 9? To przecież nie do uwierzenia!”. Byli tam dymisjonowani pułkownicy, księża, starsze damy i lekarze rosyjscy. Byli zdumieni, a nos Lacarelle’a wyciągnął się aż do pępka. Uciekłem wśród ogólnego potępienia.

Święty, Cud

²⁰był włożył — forma daw. czasu zaprzestłego; dziś: włożył (wcześniej, przedtem). [przypis edytorski]

Rozmawiając w ten sposób, panowie Compagnon i Bergeret u końca placu spotkali pana Roux, obficie rozrzucającego po mieście swe bilety wizytowe. Miał bowiem dużo znajomych.

— Oto mój najlepszy uczeń — rzekł pan Bergeret.

— Wygląda na tęgiego chłopca — rzekł pan Compagnon, który cenił siłę. — Czemuż u licha studiuje łacinę?

Na to pan Bergeret, dotknięty, zapytał profesora matematyki, czy sądzi, że studia języków klasycznych mają być wyłącznie udziałem kalek, ludzi wątłych i słabych.

Lecz pan Roux, kłaniając się obu profesorom, ukazywał już w uśmiechu swe wilcze zęby. Był zadowolony. W swej genialnej przenikliwości odkrył tajemnicę wojskowego rzemiosła, co przyniosło mu nową korzyść. Pan Roux tegoż rana właśnie otrzymał dwutygodniowy urlop dla leczenia pewnego nieokreślonego i mało dającego się odczuwać bólu w kolanie.

— Szczęśliwy człowiek! — zawołał pan Bergeret. — Żeby oszukiwać, nawet kłamać nie potrzebuje. — Potem zwracając się do pana Compagnon dodał: — Pan Roux, mój uczeń, jest nadzieją metryki łacińskiej. Ale przez dziwny kontrast młody ten humanista, tak ściśle rozmiarujący wiersze Horacego i Katullusa, sam po francusku pisze wiersze, których nie skanduje regularnie. Nie mogę, wyznaję to, uchwycić ich nieokreślonego rytmu. Słowem, pan Roux pisze białym wierszem.

— Doprawdy? — rzekł uprzejmie pan Compagnon.

Pan Bergeret, który ciekaw był wiedzy i lubił nowości, poprosił pana Roux, żeby zadeklamował najświeższy, nieznanym jeszcze ogółowi swój poemat *Metamorfoza nimfy*.

— Posłuchajmy, co to jest — rzekł pan Compagnon. — Przejdę na lewą stronę, żeby do pana zwrócić zdrowe ucho, na drugie źle słyszę.

Pan Roux zaczął deklamować *Metamorfozę nimfy* głosem wolnym, przeciągłym i śpiewnym. Mówił, a wiersze jego chwilami głużył i przecinał turkot wozów:

Nimfa błada
Całą siłą swych ramion
I prężnych bioder
Przez wodę
Wzdłuż łagodnego brzegu,
Wzdłuż wyspy, z której wierzby szarawe
Rzucają na nią strój cieni
Zieleni,
Ucieka.

Dalej ukazał w kalejdoskopowo zmieniających się obrazach:

Zielenią ujęte wody,
Przy nich gospody
I tłuszców smacznych wonie.

Nimfa wymyka się, niespokojna i zmieszana. Zbliży się do miasta; tu metamorfoza się dokonywa²¹.

Twardy kamień wybrzeża biodra jej rozrywa,
Na piersi białej jeży się włos szorstki
I w czarnym węglu, którym mgła ocieka,
Nimfa tragarzem się staje,
Co w krocjach tłumoków
Węgiel nosi do doków.

Potem poeta opiewa rzekę przerzynającą miasto:

²¹dokonywa się — dziś raczej: dokonuje się. [przypis edytorski]

I rzeka odtąd grodzka, historyczna,
Opiewana w annałach i kronikach sławy
Dziejowej,
Od szarych głazów staje się poważna
I nawet smutna.
Ciecze pod cieniem potężnych bazylik,
Gdzie dotąd jeszcze Adalbertów widma
Błądzą w krużgankach.
Bezimiennych topielców biskup nie rozgrzesza,
Ich zwłoki bezimienne, wzdęte,
Przeklęte
Płyną wśród wysp, co legły jak łodzie,
Gdzie zamiast masztów kominy się wznoszą.
Stań u wybrzeża. Tam w pudle przekupnia
Niejeden szpargał od wieków zgryziony,
Na który liściem zwiędłym sypią klony,
Znajdziesz! A może jakie cenne pismo
Wpadnie ci w ręce
I poznasz władzę tajemniczych runów
I czarnoksięskich znaków wrytych na stali.

— Bardzo to piękne — rzekł pan Compagnon. Profesor Compagnon lubił literaturę, ale na skutek braku wprawy nie umiał odróżnić wiersza Racine’a od wiersza Mallarmégo. A pan Bergeret pomyślał: „Czyżby to jednak było arcydzieło?”.
I z obawy, by nie ubliżyć nieznanemu pięknu, uściśnął w milczeniu rękę poety.

V

Wychodząc od dziekana pan Bergeret spotkał panią de Gromance. Wracła z kościoła. Sprawilo mu to przyjemność, mniemał bowiem, że spotkanie ładnej kobiety jest wydarzeniem pomyślnym dla uczciwego człowieka. Pani de Gromance zaś wydawała mu się najbardziej godna pożądania ze wszystkich kobiet. Wdzięczny jej był, że ubiera się z gustem dyskretnym i umiejętnym, który w całym mieście tylko ona jedna posiadała, i że w ruchach uwydatnia kibić gibką i zwinną. Był to obraz rzeczywistości niedostępnej dla ubożego, nieznanego humanisty, który mógł tylko w myśli dopełnić nim jakiś wiersz Horacego, Owidiusza lub Marcjalisa. Czuł dla niej wdzięczność, że była miła i że unosiło się za nią tchnienie miłości. W duchu, jak za łaskę, składał jej dziękczynienia za jej serce łatwo przystępne, chociaż sam nie spodziewał się mieć w tym udziału. Obcy towarzystwu arystokratycznemu, nie był nigdy u tej damy i tylko przypadkowo podczas uroczystości na cześć Joanny d’Arc przedstawiono go pani de Gromance w łóżu pana de Terremondre. Zresztą, ponieważ był mędrce i miał poczucie harmonii, nie pragnął zbliżyć się do niej. Wystarczyło mu przy spotkaniu przyjrzeć się tej ładnej twarzyczce i przypomnieć sobie opowieści powtarzane o niej w księgarni Paillota. Zawdzięczał jej nieco radości i za to żywił dla niej wdzięczność.

Tego ranka, pierwszego dnia w roku, skoro tylko spostrzegł ją pod portalem kościoła Św. Eksuperego, jak jedną ręką unosiła suknię i uwydatniała miękką gibkość kolana, a w drugiej trzymała modlitewnik oprawiony w czerwony safian, zaraz przesłał jej w myśli dziękczynienia za to, że jest wytworną rozkoszą i cudną plotką całego miasta. Ujrawszy ją, wcielił tę myśl w uśmiech.

Pani de Gromance niezupełnie tak jak pan Bergeret pojmowała chwałę kobiety. Miała na uwadze dużo względów towarzyskich i należała do sfer wyższych, zachowywała więc pewne ostrożności. Ponieważ wiedziała, co o niej mówią w mieście, zachowywała się chłodno i wyniośle względem osób, którym podobać się nie miała ochoty. Pan Bergeret należał do tej kategorii. Uśmiech jego wydał się jej zuchwałstwem, toteż odpowiedziała nań dumnym spojrzeniem, które rumieńcem oblało twarz profesora. Idąc dalej, mówił sobie w skrusze serca:

„Postąpiła brutalnie, ale ja zachowałem się jak bałwan. Czuję to teraz. Za późno uznaję zuchwałstwo mego uśmiechu, który jej mówił: «Jesteś rozkoszą publiczną». Cudna ta istota nie jest filozofem wyzwolonym ze wszystkich pospolitych przesądów. Nie mogła mnie zrozumieć, nie mogła wiedzieć, że piękność jej uważam za jedną z największych cnót, a użytek, jaki z niej czyni, za słuszny i dostojny. Okazałem brak taktu. Wstydzę się tego. Jak każdy uczciwy człowiek, przekroczyłem i ja niektóre prawa ludzkie i wcale tego nie żałuję. Ale pewne czyny mego życia, sprzeczne, jak się okazało, z tą wyższą, niedostrzegalną subtelnością, którą zwą konwenansem, pozostawiły mi piekący żal i rodzaj zgryzoty. W chwili obecnej miałbym ochotę ukryć się gdzieś ze wstydu. Odtąd unikać będę przyjemnego spotkania tej pani o zwinnej kibici, *crispum... docta movere latus*²². Bardzo źle rok mi się zaczął”.

— Życzę szczęśliwego roku — ozwał się jakiś głos z gąszczu brody, spod słomianego kapelusza.

Był to pan Mazure, archiwista departamentalny. Odkąd minister odmówił mu palm akademickich z powodu niedostatecznych ku temu kwalifikacji i odkąd sfery towarzyskie miasta nie odwiedzały pani Mazure, ponieważ była kucharką i kochanką dwóch archiwistów, poprzednio sprawujących opiekę nad archiwum departamentalnym, pan Mazure znienawidził rząd, nabrał wstrętu do świata i popadł w czarną mizantropię. Aby dobitniej okazać swą pogardę dla rodzaju ludzkiego, pan Mazure tego dnia, przeznaczonego dla przyjacielskich i oficjalnych wizyt, ubrał się w brudny trykot, którego niebieskawa wełna wyglądała spod paltota z powydzieranymi dziurkami, na głowę nasadził pognieciony słomiany kapelusz, który jego żona, pocziwa Małgorzata, wieszała latem na wiśni jako straszdyłło na wróble. Z politowaniem spoglądał też na biały krawat pana Bergeret.

— Uchyliłeś pan kapelusza — rzekł — przed wielką łajdaczką.

Pan Bergeret słów tych tak nieprzystojnych i niefilozoficznych słuchał z prawdziwą przykrością. Ale że dużo wybaczał mizantropii, łagodnie zwrócił uwagę pana Mazure na brutalność jego wyrażenia.

— Kochany panie Mazure, po głębokiej twojej wiedzy spodziewałem się łagodniejszego sądu o niewieście, która nikomu nic złego nie robi, a nawet przeciwnie, wielu sprawia przyjemność.

Pan Mazure odparł sucho, że nie cierpi gamratek. Nie było to z jego strony wyrazem szczerego przekonania, w rzeczywistości bowiem pan Mazure nie miał zgoła zasad moralnych. Ale upierał się, by trwać w złym humorze.

— Więc — rzekł pan Bergeret, wzdychając — widzę już winę pani de Gromance. Urodziła się o sto pięćdziesiąt lat za późno. W społeczeństwie osiemnastego wieku nie zasłużyłaby na naganę inteligentnego człowieka.

Pan Mazure, któremu te słowa pochlebiły, złagodniał. Nie był dzikim purytaninem. Ale szanował małżeństwo cywilne, któremu prawodawcy rewolucji nadali nową dostojność. Nie zaprzeczał prawom serca i zmysłów. Godził się tak samo na to, by były kobiety lekkiego życia, jak i matrony.

— Jak się miewa pani Bergeret? — zapytał.

Północny wiatr dął na placu Św. Eksuperego i pan Bergeret widział czerwieniejący nos pana Mazure pod opuszczonym brzegiem słomianego kapelusza. Jemu samemu zimno było w nogi i w kolana, więc myślał o pani de Gromance, aby nieco ciepła i radości wlać w swoje żyły.

Księgarnia Paillota była zamknięta. Oba uczonym wydało się, że pozostali bez ogniska i dachu nad głową, i spoglądali na siebie ze smutkiem i życzliwością.

Pan Bergeret mówił do siebie:

„Gdy porzucę tego towarzysza o ciasnym i pospolitym kręgu myśli, wpadnę w pustkę tego nieżyczliwego miasta; będzie to okropne”.

Nogi jego niejako wrosły w nierówny bruk placu, a wiatr mroźny szczypał mu uszy.

— Odprowadzę pana do domu — rzekł archiwista departamentalny.

I poszli obaj, kłaniając się spotykanym znajomym, ubranym odświeżnie. Każdy niósł to pajaca, to trochę cukierków.

²²*crispum... docta movere latus* (łac.) — która umie żywo poruszać się w tańcu. (Pseudo-Wergiliusz, *Copa*, w. 2). [przypis redakcyjny]

— Ta hrabina de Gromance jest z domu Chapon — rzekł archiwista. — Znany jest tylko jeden Chapon, jej ojciec, największy lichwiarz i sknera w całej prowincji. Ale odnalazłem dokumenty rodziny de Gromance: jest to drobna szlachta naszej okolicy. Jest tam jakaś panna Cecylia de Gromance, która w 1815 roku miała dziecko z Kozakiem. To byłby ładny temat do artykułu w jakiej gazecie miejscowej. Przygotowuję całą serię takich notatek.

Pan Mazure mówił prawdę. Zażarty wróg swoich współobywateli, co dzień od wschodu do zachodu słońca na zapyłonym strychu pod dachem prefektury szperał wściekle w sześciuset trzydziestu siedmiu tysiącach nagromadzonych tam metryk po to jedynie, żeby wyszukiwać skandaliczne anegdoty o najznakomitszych rodzinach w departamencie. Tam — wśród stosów gotyckich pergaminów i papierów stemplowych, do których urzędnicy dwóch stuleci przykładali pieczęcie sześciu królów, dwóch cesarzy i trzech republik — śmiał się w obłokach kurzu, gdy odnajdował na wpół zjedzone przez robaki i myszy dowody dawnych zbrodni i odpokutowanych win.

I oto idąc wzdłuż krętej uliczki des Tintelleries pan Mazure opowiadał o tych okrutnych odkryciach panu Bergeret; ten pobłażliwy był dla błędów przodków, zaciekawiały go tylko obyczaje.

Mazure odnalazł w archiwach jakiegoś de Terremonde, który w roku 1793 był terrorystą i prezesem klubu sankiulotów w swym rodzinnym mieście. Zmienił on imiona Mikołaj Eustachy na Marat Ludowiec.

I Mazure czym prędzej postarał się koledze swemu z towarzystwa archeologicznego, panu Janowi de Terremonde, pojeźdźcy monarchiście i klerykalowi, dostarczyć wiadomości o tym zapomnianym przodku Maracie Ludowcu de Terremonde, o tym autorze hymnu do świętej Gilotyny. Odnalazł też stryjecznego dziadka generalnemu wikariuszowi arcybiskupstwa, imci Goulet lub ściślej, jak sam się podpisywał, Goulet-Trocard. Ten był dostawcą armii i skazano go w 1812 na ciężkie roboty za to, że zamiast mięsa wołowego dostarczył mięsa koni chorych na nosaciznę. Akta tego procesu ogłoszone były w ówczesnym postępowym piśmie departamentu. Pan Mazure zapowiadał jeszcze większe rewelacje o rodzinie Laprat, pełnej kazirodców; o rodzinie Courtrai, której członka w 1814 roku piętnowano żelazem za zdradę stanu; o rodzinie Dellion, wzbogaconej na szacherkach zbożowych; o rodzinie Quatrebarbe, która wywodzi się od dwojga „chauffeurów”²³, mężczyzny i kobiety, powieszonych przez ludność na wzgórzu Duroc za czasów Konsulatu. W roku 1860 można jeszcze było spotkać starców pamiętających, że w dziecięcych swych latach widzieli kołyszący się na gałęzi dębu szkielet ludzki, długim, czarnym włosem owiany, straszący konie.

— Wisiała tak przez trzy lata! — zawołał archiwista. — A była to rodzona babka Hiacynta Quatrebarbe, budowniczego diecezji.

— Fakt bardzo ciekawy, ale trzeba go dla nas tylko zachować — rzekł pan Bergeret.

Pan Mazure nie słuchał go. Chciał wszystko ogłosić, wszystko opublikować wbrew woli prefekta Worms-Clavelin, który bardzo rozsądnie mówił, że „należy unikać skandali i powodów rozdzielenia”, i groził archiwście, iż go każe odwołać z posady, jeśli nie przestanie zdradzać dawnych tajemnic rodzinnych.

— Ach! — zawołał, śmiejąc się złośliwie poprzez zwichrzoną brodę pan Mazure — świat dowie się, że w 1815 roku panna de Gromance miała małego Kozaka!

Od dobrej chwili stali już przed domem pana Bergeret i profesor trzymał rękę na klamce drzwi.

— Jakaż to drobnostka! — rzekł. — Ta biedna panna uczyniła, co mogła. Ona umarła, mały Kozak umarł. Zostawmy pamięć ich w pokoju, a jeśli zbudzimy ją na chwilę, czynimy to z pobłażaniem... Cóż to za zapal nosi pana, kochany panie Mazure?!

— Zapal dla sprawiedliwości.

Pan Bergeret zadzwonił.

— Do widzenia, panie Mazure. Bądź pan mniej sprawiedliwy, a więcej wyrozumiały. Życzę szczęśliwego roku!

²³ *chauffeurs* (fr.) — tak nazywano w okresie rewolucji 1789 r. bandytów, którzy, chcąc od swych ofiar wydobyć zeznania o ukrytych pieniądzach, przypiekali im stopy przy ognisku. [przypis redakcyjny]

Pan Bergeret zajrzał przez brudną szybę łoży odźwiernego, czy nie ma jakiego listu lub papierów w jego skrzynce; umysł jego był zawsze ciekaw listów przysyłanych z daleka i miesięczników literackich. Ale spostrzegł tylko bilety wizytowe, które uprzytomniły mu osoby równie sztywne i blade jak te bilety, znalazł też rachunek panny Rose, modniarki z ulicy des Tintelleries. Rzuciwszy nań okiem pomyślał, że pani Bergeret staje się rozrzutna i że utrzymanie domu jest dla niego coraz większym ciężarem. Czuł go na barkach; przechodząc przez sien, miał uczucie, jak gdyby dźwigał na plecach podłogę swego mieszkania z fortepianem i z tą straszną szafą do sukien, która pochłaniała jego skromne fundusze, a była zawsze pusta. Tak przygnębiony domowymi troskami, ujął żelazną poręcz, w łagodnych skrętach rozwijającą swe kwieciste wzory, i z głową spuszczoną, ciężko dysząc, zaczął wstępować na kamienne stopnie, dziś szerniałe, zużyte, spękane, łatane obtłuczonymi ceglami, lecz po których w odległych dniach ich świetności na wyścigi wbiegali panowie i piękne panny, śpiesząc złożyć hołd poborcy podatkowemu, panu Pauquet, wzbogaconemu na grabieży całej prowincji.

Pan Bergeret mieszkał bowiem w dawnym pałacu Pauquet de Sainte-Croix. Pałac ten był teraz pozbawiony swej chwały, оголоcony z bogactw, zhańbiony piętnem dobudowanym na miejsce lekkiej attyki i majestatycznego dachu, zeszecony wysokimi budowlami wzniesionymi w jego dawnych ogrodach o tysiącu posągów, w parku, na stawach, nawet na dziedzińcu pałacowym, na którym Pauquet niegdyś kazał być wzniesić alegoryczny pomnik królowi, zapewne za to, że ów co pięć, sześć lat zabierał mu nagromadzone skarby i pozwalał od nowa opychać się grabionym złotem.

Dziedziniec, okolony wspaniałym portykiem tokańskim, znikł w roku 1857 przy regulacji ulicy des Tintelleries. Pałac Pauquet de Sainte-Croix był już tylko szpetnym domem czynszowym, źle utrzymywanym przez stare stadło odźwiernych Gaubert. Ci lekceważyli pana Bergeret za jego łagodność i za nic mieli jego istotną szczodrość, bo była to szczodrość człowieka niezamożnego, podczas gdy z szacunkiem przyjmowali każdy datek pana Reynaud; ten dawał mało, lecz mógłby dawać dużo; jego pięciofrankówka miała tę zaletę, że pochodziła ze skarbu.

Pan Bergeret, wszedłszy na pierwsze piętro, gdzie mieszkał ów Reynaud, właściciel gruntów położonych w dzielnicy nowego dworca, spojrzął na płaskorzeźbę umieszczoną nad drzwiami. Wyobrażała ona starego sylena na osie wśród nimf. Rzeźba ta była jedyną pozostałością wewnętrznej dekoracji pałacu zbudowanego za Ludwika XV, w epoce, kiedy styl francuski starał się być starożytnym. Celu tego szczęśliwie nie osiągnął, lecz nabył czystości, siły, wytworności, szlachetności; tymi zaletami odznaczają się szczególnie plany architekta Gabriela. Pałac Pauquet de Sainte-Croix był dziełem ucznia tego znamienitego budowniczego, lecz oszczędzono go wytrwale. Jeśli przez oszczędność, by uniknąć trudu i wydatków, nie usunięto sylena i nimf, to przynajmniej, tak jak i całe schody, pomalowano płaskorzeźbę olejną farbą na kolor czerwonego granitu. Tradycja lokalna brała owego sylena za wizerunek poborcy Pauquet, który miał być najbrzydszym i najbardziej przez kobiety kochanym mężczyzną swego stulecia. W tej postaci boskiego starca, śmiesznej i wzniosłej zarazem, pan Bergeret, choć nie był wielkim znawcą sztuki, odnajdował typ uświęcony przez dwie starożytności i Odrodzenie. Nie podzielał więc ogólnego błędu, jednak sylen otoczony nimfami mimowolnie przywodził mu na myśl owego Pauquet, który w tych samych murach, gdzie on, wiódł żywot ciężki i mozolny, używał wszystkich dóbr tego świata. Stojąc na schodach, rozmyślał:

„Finansista ten brał pieniądze od króla, a ten znów brał je od niego. Tak ustalała się równowaga. Nie należy jednak zanadto wychwalać finansów monarchii, skoro ostatecznie deficyt doprowadził do upadku tego systemu rządów. Ale to jest ważne, że król był wtedy jedynym właścicielem dóbr ruchomych i nieruchomych w państwie. Każdy dom należał do króla i na znak tego poddany, który domu używał, umieszczał herby królewskie na tarczy swego domowego ogniska. Więc gdy Ludwik XIV posyłał srebra stołowe swych poddanych do mennicy i opłacał nimi koszty wojenne, występował nie jako zdzierca, lecz jako właściciel. Kazał przetapiać nawet przedmioty ze skarbców kościelnych i czytałem niedawno, że kazał być zabrać wota z kościoła Najświętszej Panny z Liesse w Pikardii, między innymi złotą pierś, którą za cudowne uleczenie złożyła tam królowa Polski. Wszystko należało do króla, to jest do państwa. Ani socjaliści żądający dziś unarodowienia własności prywatnej, ani właściciele pragnący własność tę zachować

nie spostrzegają, że unarodowienie takie byłoby pod pewnym względem powrotem do dawnego systemu. Doznaje się zadowolenia filozoficznego na myśl, że rewolucji dokonano właściwie dla nabywców dóbr narodowych i że Deklaracja Praw Człowieka stała się kartą przywilejów dla posiadaczy.

Ten Pauquet, który sprowadzał tu najładniejsze dziewczyny z teatru, nie był kawalerem orderu Świętego Ludwika. Dziś byłby komandorem Legii Honorowej, a ministrowie finansów przychodziliby do niego po rozkazy. Pieniądze dawały mu rozkosze życia, teraz dałyby mu również zaszczyty. Bo pieniądź stał się rzeczą zaszczytną. To nasze jedyne teraz szlachectwo. Zniszczyliśmy wszelkie inne dlatego tylko, by na ich miejsce postawić to nowe szlachectwo, najbardziej zdolne do ucisku, najbezwstydniejsze i najpotężniejsze ze wszystkich”.

Tu pana Bergeret z jego rozmyślań wyrwała gromada mężczyzn, kobiet i dzieci wychodzących od pana Reynaud. Domyślił się, że byli to ubodzy krewni, którzy przyszli staruszkowi życzyć Nowego Roku; zdawało mu się, że spod ich nowych kapeluszy dostrzeżę wydłużone miny. Szedł dalej schodami, gdyż mieszkał na trzecim piętrze, które, wyrażając się stylem XVII wieku, chętnie nazywał „trzecią izbą” i dla objaśnienia tego wyrazu, który wyszedł z użytku, chętnie przytaczał wiersze La Fontaine’a:

Choć pilnie hołysz nauki się ima.
Wciąż w „trzeciej izbie” mieć będzie mieszkanie,
Odzież ma w czerwcu, jakby była zima,
A za lokaje własny cień mu stanie²⁴.

Może nawet nadużywał tych wierszy i tego sposobu wysłowienia, bo do wściekłości doprowadzało to panią Bergeret, dumną, że mieszka w środku miasta, w domu zajętym przez lepsze towarzystwo.

— Idźmy — rzekł sam do siebie — do „trzeciej izby”.

Wyjął zegarek i stwierdził, że dopiero jedenasta. Zapowiedział swój powrót na południe, liczył bowiem, że spędzi godzinę w księgarni Paillot. Ale zastał tam okiennice zamknięte. Niedziele i dni świąteczne były dlań nieprzyjemne, bo w dniu te zamykano księgarnię. Nie mógł dziś jak zwykle odwiedzić Paillota i wskutek tego czuł się nieswojo.

Doszedłszy do trzeciego piętra, cicho wsunął klucz do zamku i zwykłym, nieśmiałym swym krokiem wszedł do jadalni. Był to pokój dość ciemny; pan Bergeret nie miał o nim wyrobionej opinii, ale pani Bergeret uważała go za pokój elegancki, gdyż nad stołem wisiała w nim brązowa lampa, kredens i krzesła były z rzeźbionego dębu, na mahoniowej półce stały filizanki, a malowane fajansowe talerze zdobiły ściany. Gdy się wchodziło do jadalni z ciemnego przedpokoju, na lewo prowadziły drzwi do gabinetu, na prawo — drzwi do salonu. Pan Bergeret miał zwyczaj, wracając do domu, wchodzić do gabinetu; tam znajdował swoje pantofle, książki, samotność. Tym razem, bez powodu, bez pobudki, bez żadnej myśli, skierował się na prawo. Nacisnął klamkę, pchnął drzwi, postąpił krok i znalazł się w salonie. Ujrzał wtedy na kanapie dwie postacie ludzkie, splecione w pozie, która miała w sobie coś z miłości i coś z walki, a w istocie była pozą zmysłowej rozkoszy. Pani Bergeret miała głowę w tył odchyloną i ukrytą, ale wyraz jej uczuć widniał w czerwonych pończochach, całkowicie odsłoniętych. Pan Roux miał wyraz twarzy pełen napięcia, poważny, nieruchomy, maniacki, który nie myli nigdy, choć mało się ma sposobności, by go obserwować; zgadzał się z nim nieład jego ubrania. Zresztą wszystko zmieniło się w ciągu niespełna jednej sekundy. I pan Bergeret miał już przed oczyma dwie osoby zupełnie różne od tych, które zastał; dwie osoby zażenowane, dziwnie skrępowane, nieco komiczne. Myślałby, że się pomylił, gdyby nie to, że pierwszy obraz wyrzył mu się w oczach z dokładnością i siłą równie niezwykłą, jak zdarzenie było nieoczekiwane.

VI

Na widok tych dwojga *in flagranti* pierwszy odruch pana Bergeret był odruchem człowieka prostego, gwałtownego, odruchem dzikiego zwierza. Potomek długiego ciągu nieznanymi przodków, wśród których z konieczności znajdować się musiały dusze brutal-

²⁴Choć pilnie (...) stanie — z bajki La Fontaine’a pt. *Wartość wiedzy* (ks. VIII, 19). [przypis redakcyjny]

ne i barbarzyńskie, dziedzic tych niezliczonych pokoleń ludzkich, antropoidów i dzikich zwierząt, od których pochodzimy wszyscy, profesor nadzwyczajny wydziału humanistycznego wraz z zarodkami życia odziedziczył instynkty niszczycielskie pradawnej ludzkości. Pod ciosem instynkty niszczycielskie ocknęły się. Pragnął krwi, chciał zabić pana Roux i panią Bergeret. Ale pragnął tego słabo i bez wytrwałości. Z dzikością jego było tak samo jak z czterema wilczymi kłami, które miał w ustach, jak z paznokciami, w które zbrojne były jego palce; pierwotna ich siła była znacznie osłabiona. Pan Bergeret zamierzał zabić pana Roux i panią Bergeret, ale myślał o tym powierzchownie. Był dziki i okrutny, ale tak umiarkowanie i przez czas tak krótki, że żaden czyn nie mógł wyniknąć z tego uczucia i nawet samo uczucie wskutek swej przelotności uszło uwagi obojga świadków, zainteresowanych w tym, by je spostrzec. Po chwili pan Bergeret przestał być istotą popędliwą, pierwotną, niszczycielską, nie przestał jednak być człowiekiem zazdrosnym i rozgniewanym. Przeciwnie, oburzenie jego wzrosło. W tym nowym stadium myśl jego nie była już tak prosta, stawiała się społeczna. Niejasno przewijały się w niej szczątki starych nauk religijnych, fragmenty dekalogu, strzępy etyki, maksymy greckie, szkockie, niemieckie, francuskie i rozrzucone okruchy prawodawstwa moralnego. Wszystko to biło w jego mózg jak w krzesiwo i wznicało w nim płomień. Poczuł się patriarchą, ojcem rodu wedle obyczaju rzymskiego, panem i sędzią. Powziął cnotliwą myśl ukarania winnych. Nie chciał już zabijać pana Roux i pani Bergeret przez instynkt krwiożerczy, chciał ich zabić przez poszanowanie sprawiedliwości. Wydał przeciwko nim wyroki hańbiące i straszne. Wyczerpał wszystkie surowości obyczajów średniowiecznych. Ten pochód przez wieki społeczeństw zorganizowanych był dłuższy niż pierwszy. Trwał całe dwie sekundy. Przez ten czas winni wprowadzili do swej pozycji zmiany na tyle dyskretne, żeby ich nie zauważono, i na tyle zasadnicze, by rodzaj ich stosunku zupełnie się przeistoczył.

Tymczasem idee religijne i moralne zupełnie się pomieszały w mózgu pana Bergeret: doświadczał on już tylko uczucia przykrości. Obrzydzenie jak fala brudnej wody zalewało płomień jego gniewu. Trzy pełne sekundy upłynęły, a on nie uczynił nic i ciągle jeszcze był pogrążony w otchłani niezdecydowania. Wiedziony niejasnym instynktem, właściwym swemu charakterowi, zaraz z początku odwrócił wzrok od kanapy i utkwił go w stojącym obok drzwi stoliku. Stolik nakryty był oliwkową bawełnianą serwetą ze średniowiecznymi rycerzami w jaskrawych barwach. Tkanina ta miała naśladować starożytną makatę. Pan Bergeret w ciągu tych trzech nieskończenie długich sekund dokładnie rozpoznał na niej małego pazia trzymającego hełm jednego z rycerzy. Nagle wśród książek w czerwonych okładkach ze złożonymi brzegami, ułożonych na stoliku przez panią Bergeret dla ozdoby salonu, spostrzegł w żółtej okładce „Biuletyn Uniwersytecki”, który tam położył poprzedniego wieczoru. Widok tej broszury podsunął mu czyn najodpowiedniejszy dla jego ducha. Wyciągnął rękę, pochwycił „Biuletyn” i wyszedł z salonu, dokąd był wszedł²⁵ niefortunnym trafem.

Znalazłszy się sam w jadalni, poczuł się nieszczęśliwy i zgębiony. Trzymał się krzesła, aby nie upaść, i byłoby mu słodko, gdyby mógł zapłakać. Ale niedola jego miała w sobie palącą gorycz, wysuszała mu łzy w oczach. Zdawało mu się, że jeśli widział niegdyś tę małą jadalnię, przez którą przechodził przed kilku sekundami, było to w innym życiu. Zdawało mu się, że w jakimś dalekim i przeszłym istnieniu znał się poufale z małym kredensem z rzeźbionego dębu, z filizankami na mahoniowych półeczkach, z fajansowymi talerzami zdobitymi ścianą i siadał za tym okrągłym stołem z żoną i córkami. Zniszczono nie jego szczęście — szczęśliwy nie był nigdy — lecz biedne jego życie domowe; jego życie wewnętrzne, już i tak chłodne i smutne, teraz zbezczeszczono i zburzono tak, że nic zeń już nie pozostawało.

Gdy Eufemia przyszła nakrywać, drgnął przed widziałem tego małego światka, w którym żył niegdyś, a który teraz uległ zniszczeniu.

Poszedł zamknąć się w swoim gabinecie. Siadł przed stołem, na chybił trafił otworzył „Biuletyn Uniwersytecki”, głowę wygodnie oparł na rękę i z przyzwyczajenia zaczął czytać.

Czytał:

„*Uwagi o czystości języka*. Języki są jak dziewicze lasy, gdzie słowa wyrosły, jak chciały i mogły. Są słowa dziwaczne, a nawet potworne. Połączone w mowę, tworzą wspaniałą

²⁵był wszedł — forma daw. czasu zaprzestłego; dziś: wszedł (przedtem, uprzednio). [przypis edytorski]

harmonię i barbarzyństwem byłoby przykrawać je jednostajnie jak lipy w parku. Należy szanować to, co w podniosłym stylu określa się jako niedosiężne szczyty”.

„A moje córki — pomyślał pan Bergeret. — Powinna była pamiętać o nich! Powinna była pomyśleć o naszych córkach!”

Potem czytał dalej, nie rozumiejąc:

„Bez wątpienia niejedyn wyraz jest dziwolągiem. Mówimy nazajutrz, co znaczy na *za jutro*, a jasne jest, że należałoby mówić *najutrz* i to byłoby jedynie prawidłowe. Język wyszedł z gruntu ludowego. Pełen jest ciemnoty, błędów, dziwactw: największą jego pięknosćią jest naiwnosć. Urobili go nieucy znający jedynie przyrodę. Przyszedł do nas z daleka, a ci, co nam go przekazali, nie byli gramatykami tej miary, co Noël i Chapsal²⁶

I dumał:

„W jej wieku, w jej położeniu skromnym, ubogim... Bo rozumiem, że kobieta piękna, bezczynna, poszukiwana... Ale ona!”

A że był namiętnym amatorem czytania, czytał mimowolnie:

„Korzystajmy zeń jak z cennego dziedzictwa. I nie przyglądajmy się mu zbyt z bliska. By mówić, a nawet aby pisać, niebezpieczne jest zbyt zbytnio zagłębiać się w etymologię...”

„I on, mój ulubiony uczeń, którego w dom przyjąłem... czyż nie powinien był...”

„Etymologia uczy nas, że Bóg jest »to, co błyszczy«, i że duch jest »oddechem«, ale ludzkość wyrazom tym nadała znaczenie, którego nie miały początkowo...”

— Cudzołozna!

Słowo to przyszło mu na wargi tak wyraźnie, że czuł je w ustach fizycznie, jak gdyby metalową płytkę, jak gdyby cienki medalik. Cudzołozstwo!

Uprzytomnił sobie nagle wszystko, co ten wyraz oznacza: tę rzecz zwykłą, codzienną, dziwaczną, śmieszną, niezręcznie tragiczną i płasko komiczną, zabawną; i w smutku swym począł się śmiać szyderczo.

Naczytał się był dużo Rabelais’go, La Fontaine’a, Moliera, więc nadał sobie miano, które, jak wątpić o tym nie można było, słusznie mu się należało. Ale przestał się śmiać, jeżeli w ogóle śmiał się poprzednio.

„Bez wątpienia — mówił sobie — przygoda ta jest drobna i pospolita. Ale skoro ja sam jestem nic nieznaczącym, małym członkiem społeczeństwa ludzkiego, przygoda ta jest wedle miary mojej ogromna i nie mam czego wstydzić się bólu, jaki mi sprawia”.

Pod wpływem tej myśli pogrążył się w żalu i otoczył smutkiem. Zdjęty, jak człowiek chory, wielką dla siebie litością, odganiał smutne obrazy i myśli natrętne, cisnące się do rozgorzałego mózgu. To, co widział, sprawiło mu fizyczną przykrość; powodu tej przykrości począł się doszukiwać od razu. Z przyrodzenia miał umysł filozoficzny.

„Rzeczy tyżące się najgwałtowniejszych pożądań, jakie przejmować mogą krew i ciało, nie dają się rozpatrywać obojętnie. Gdy nie wzniecają rozkoszy, wzbudzają obrzydzenie. Nie znaczy to, by pani Bergeret sama przez się zdolna była dać mi odczuć te alternatywy, ale ostatecznie w niej iść się dla mnie owa Wenus, rozkosz ludzi i bogów, aczkolwiek w kształcie zaprawdę najmniej miłym i dla mnie najmniej tajemniczym, jednakże dla mnie znów najcharakterystyczniejszym i najściślej określonym. I obraz jej, złączonej z panem Roux we wspólnym ruchu i wspólnym odczuciu, sprowadził ją właśnie do tego typu elementarnego, o którym mówię, że wzbudzić może tylko pociąg lub odragę. Widzimy też, że każdy symbol erotyczny sprzyja lub przeszkadza pożądanu i dlatego z jednaka siłą przyciąga lub odpycha wzrok, zależnie od fizjologicznego usposobienia widzów, które niejednokrotnie może się zmieniać. Spostrzeżenie to prowadzi do poznania prawdziwego powodu, dla którego zawsze i wszędzie akty erotyczne spełniano potajemnie, aby nie wzbudzać w widzach wrażeń gwałtownych i sprzecznych. Doszło do tego, że ukrywać zaczęto wszystko, co przypominało te akty. Tak zrodziła się Wstydlivosć, która włada wszystkimi ludźmi, zwłaszcza u ludów zmysłowych”.

Pan Bergeret rozmyślał dalej:

„Przypadek pozwolił mi odkryć pochodzenie Wstydlivosci, tej cnoty ze wszystkich najmienniejszej, bo najogólniejszej, tej Wstydlivosci, którą Grecy zwali Wstydem. Bardzo śmieszne przesady przyłączyły się do tego zwyczaju, który bierze swój początek z uspo-

Pożądanie, Erotyzm

²⁶Noël i Chapsal — Jean-François Michel Noël (1755–1841), leksykograf, autor *Gramatyki francuskiej*, którą napisał wraz z Charles’em Chapsalem (1788–1858). [przypis redakcyjny]

sobienia umysłu właściwego człowiekowi i wspólnego wszystkim ludziom — i one to zaciemniły jego naturę. Ale teraz mogą stworzyć prawdziwą teorię Wstydlivosti. Newton tańszym jednak kosztem znalazł pod drzewem teorię praw ciężenia”.

Tak rozmyślał w swym fotelu pan Bergeret. Ale uczucia tak jeszcze nim miały, że znów potoczył krwawymi oczyma, zgrzytnął zębami i zacisnął pięści z taką siłą, że paznokcie wbiły mu się w dłonie. Obraz jego ucznia, pana Roux, stanął mu przed oczyma z bezlitosną wyrazistością, w postaci, w jakiej nie powinien był być widziany z powodów, które profesor dopiero co tak doskonale wykazał. Pan Bergeret nie był pozbawiony zdolności zwanej pamięcią wzrokową. Choć nie miał oka malarza zdolnego gromadzić niezliczone obrazy, umiał dość wiernie i bez zbyteń wysiłku przedstawić sobie widoki, które kiedyś wzrok jego zajęły; w skarbnicy swej pamięci przechowywał starannie linie pięknego drzewa lub zarys zgrabnej kobiety, jeżeli choćby raz odbiły się w jego źrenicach. Ale żaden obraz w pamięci nie przedstawił mu się tak jasno, ściśle, barwnie, żaden nie był zarazem tak drobniutki a silny, pełny i potężny, jak zuchwały obraz pana Roux spojonego uściskiem z panią Bergeret. Obraz ten, zgodny z rzeczywistością, był ohydny i podły, bo przedłużał w nieskończoność akt, sam przez się przelotny. Dawał zupełne złudzenie, w złudzeniu miał cyniczny upór i nieznosną trwałość. Tym razem pan Bergeret miał znów ochotę zabić pana Roux, swego ucznia. Wykonał nawet odpowiedni gest, a że myśl jego w tej chwili miała siłę czynu, uczuł po niej znużenie jak gdyby po czynie spełnionym.

Potem zaczął rozmyślać i powoli, miękko zabłąkał się w labiryncie niepewności i sprzeczności. Myśli jego roztopiały się, mieszały, łączyły swe odcienie jak krople farb akwarelowych w szklance wody. I wkrótce zatracił nawet zrozumienie samego wypadku.

Powiódł smutnym wzrokiem wokoło, przypatrzył się bukietom na tapetach i zauważył, że połówki czerwonych goździków źle się schodzą. Spoglądał na książki poustawiane na sosnowych półkach, na wycieraczkę do piór, robotę szydełkową, którą pani Bergeret podarowała mu przed kilku laty na imieniny. Rozczulił się na myśl, że wspólne pożycie jest zerwane. Nigdy nie pałał wielką miłością do tej kobiety, którą poślubił z porady przyjaciół, gdyż sam był niezdolny myśleć o swych sprawach. Już od dawna jej nie kochał. Ale tworzyła ona znaczną część jego życia. Pomyślał o córkach bawiących chwilowo u ciotki w Arcachon, o starszej córce, Paulinie, swej ulubienicy, która była do niego podobna. Zapłakał.

Nagle poprzez lzy spostrzegł trzcinowy manekin, na którym pani Bergeret upinała swe suknie. Miała zwyczaj stawiać go w gabinecie, nie zwracając uwagi na szemranie profesora, który się uskarżał, że musi obejmować i przenosić tę trzcinową niewiastę, ilekroć chce zdjąć książkę z półki. Pana Bergeret zawsze drażniła ta maszyna, przypominała mu bowiem kójce, w jakich wieśniacy zwożą na targ kurczęta, i równocześnie pewne bożyszcze z plecionej trzciny, w którym Fenicjanie mieli podobno palić niewolników. Dzieckiem będąc, widział je na obrazku w swej *Historii starożytnej*. Najwięcej jednak przypominała mu ona panią Bergeret i chociaż sprzęt ten był bez głowy, zawsze wydawało mu się, że łada chwila zacznie on kłócić się, jęczeć, złorzeczyć. Tym razem maszyna ta wydała mu się samą panią Bergeret, panią Bergeret śmieszna, wstrętna. Rzucił się na nią, ścisnął palcami, zgniótł trzcinowe żebra i gors, przewrócił ją na ziemię, podeptał nogami, potem jęcząc, poranioną podniósł i wyrzucił za okno, na podwórze bednarza Lenfant, gdzie spadła między wiadra i stągwie. Pojmował jasno, że spełnił czyn symboliczny wprawdzie, ale bądź co bądź głupi i śmieszny. Mimo to doświadczył pewnej ulgi. I gdy Eufemia przyszła mu oznajmić, że obiad stygnie, wzruszył ramionami, rezolutnie przeszedł pustą jeszcze jadalnię, wziął kapelusz z przedpokoju i wyszedł.

W bramie spostrzegł, że nie wie, dokąd iść ani co robić, i że nie powziął żadnego zgola postanowienia. Na ulicy zauważył, że deszcz pada, a on nie ma parasola. Sprawilo mu to małą przykrość, która jednak była dlań rozrywką. Gdy tak wahał się, czy ma odważyć się wyjść na ulewę, na białej ścianie poniżej dzwonka ujrzał rysunek nakreślony ołówkiem, jakby ręką dziecka. Rysunek wyobrażał człowieka: dwie kropki i dwie kreski w kółku stanowiły twarz, obwód owalny tworzył ciało, ręce i nogi były oznaczone prostymi liniami, które, rozrzucone jak szprychy koła, nadawały nieco wesołości tym gryzmołom w klasycznym stylu łobuzerskiego malarstwa ściennego. Obrazek ten musiał już być narysowany od jakiegoś czasu, bo miejscami był na wpół zamazany i zatarty.

Wspomnienia, Gniew,
Czyn, Mąż, Żona,
Kochanek

Ale pan Bergeret zauważył go po raz pierwszy, zapewne z tej przyczyny, że teraz właśnie pobudzona była jego zdolność obserwacji.

„*Graffito*!” — pomyślał profesor.

Przyjrzawszy się, zobaczył, że na głowie człowieka widnieją rogi, a obok napisane jest jako objaśnienie: Bergeret.

„Wiedziano o tym! — rzekł sobie w duchu na ten widok. — Żaki szkolne obwieszczają to na murach i plotki o mnie chodzą po całym mieście. Ta kobieta zdradza mnie może od dawna i z rozmaitymi osobami. To *graffito* powiedziało mi więcej, niżby powiedzieć mogły najdłuższe i najstaranniejsze wywiady”.

Pod ulewą, stojąc w błocie, badał rysunek i zauważył, że litery napisane były niekształtnie i że linie rysunku mają tę samą pochyłość, co pismo.

Pan Bergeret odszedł i smagany deszczem myślał o *graffiti*. Nieumiejętnymi rękoma kreślono je niegdyś na murach Pompei, a dziś odczytują je, zbierają i wysławiają filolodzy. Myślał o *graffito* z Palatynu, o tym pośpiesznym, niezręcznym rysunku, którym nudzący się żołnierz ozdobił ściany kordegardy²⁸.

„Oto osiemnaście wieków minęło, jak ten żołnierz rzymski zrobił karykaturę towarzysza swego, Alexandrosa, czciciela ukrzyżowanego bożka z osłą głową. Żaden zabytek starożytności nie był ciekawiej badany nad to *graffito* z Palatynu. Jest ono reprodukowane w niezliczonych zbiorach. Teraz, tak jak Alexandros, mam swoje *graffito*. Gdyby kataklizm jaki zniszczył to smutne, szkaradne miasto przeznaczając je dla studiów XXX stulecia i gdyby w tej dalekiej przyszłości odnaleziono moje *graffito*, co powiedzą o nim uczeni? Czy rozumieją jego prostacką symbolikę? Czy potrafią choćby odsylabizować moje nazwisko, pisane literami zaginionego alfabetu?”

Pan Bergeret, pod drobno mżącym deszczem, w przejmującej wilgoci, doszedł do placu Św. Eksuperego. Tu między dwoma filarami kościoła zobaczył budkę, na której jako szyld widniał czerwony but. Przypomniał sobie, że obuwie jego, zniszczone od długiego użytku, nasiąka wodą. Pomyślał zarazem, że odtąd sam musi dbać o swą odzież, czym aż do dnia dzisiejszego zajmowała się pani Bergeret, udał się więc prosto do szewca. Został go przy pracy: przybijał ćwieczkami podeszwę.

— Dzień dobry, panie Piédagnel.

— Piękne dzień dobry, panie Bergeret. Czym mogę panu służyć, panie Bergeret?

I czelczyzna podniósł ku swemu klientowi kanciastą głowę; bezzębne usta otworzyły się w uśmiechu. Jego twarz, chuda, z głęboko zapadłymi czarnymi jamami oczu, z wydatnym, ostro zarysowanym podbródkiem, miała suche i twarde rysy, żółtą cerę i smutny wyraz tych figur kamiennych zdobiących wejście starego kościoła, przy którym urodził się, żył i miał umrzeć.

— Może pan być spokojny, panie Bergeret, mam pańską miarę i wiem, że lubi pan czuć się swobodnym w obuwiu. Ma pan rację, panie Bergeret, że nie chce pan popisywać się małą stopą.

— Ale mam nogę wysoką w podbiciu i stopę wysklepioną. Proszę pamiętać o tym.

Pan Bergeret nie chepił się swą stopą, ale czytał raz kiedyś, że pan de Lamartine z dumą pokazywał obnażoną nogę, wysoką w podbiciu; jego stopa tworzyła łuk na kształt mostu. Pan Bergeret, powołując się na ten przykład, odczuwał przyjemność, że nie miał stóp płaskich.

Profesor usiadł na wyplatany krześle pokrytym strzępami zniszczonego dywanu i przyglądał się kramikowi i szewcowi. Na ścianie wybielonej, lecz pełnej głębokich bruzd i szpar, za ramiona krzyża z czarnego drzewa zatknięta była zielona gałązka. Mały Chrystus miedziany, przygwożdżony do tego krzyża, pochylał głowę nad szewcem przygwożdżonym do swego stolka za sklepową ladą, pełną przykrojonych skór i drewnianych kopyt, na których skórkowe krążki znaczyły miejsca, gdzie noga, którą to kopyto wyobrażało, miała bolesny nagniotek.

Mały piecyk żelazny rozgrzany był do czerwoności i czuć było silny zapach skór i kuchni.

²⁷*graffito* (wl.; lm *graffiti*) — rysunek lub napis wryty na ścianach, kamieniach i naczyniach z okresu greckiego, rzymskiego, arabskiego lub wczesnochrześcijańskiego. [przypis redakcyjny]

²⁸*kordegarda* (z fr. *corps de gardes*) — wartownia. [przypis edytorski]

— Widzę z przyjemnością — rzekł pan Bergeret — że macie tyle roboty, ile tylko zapagnąć można.

Tu szewc zaczął rozwodzić swe żale. Zmieniły się czasy. Trudno teraz konkurować z obuwem fabrycznym. Klientela kupuje gotowe obuwie w magazynach urządzonych na sposób paryski.

— Moi klienci umierają — dodał. — Straciłem proboszcza Rieu. Pozostają reperacje i zelówki, ale to niewdzięczna robota.

Pan Bergeret posmutniał, patrząc na tego szewca o gotyckiej twarzy, jak opowiadał swe troski pod małym krucyfiksem. Zapytał go z pewnym wahaniem:

— Syn wasz musi mieć około dwudziestu lat? Co się z nim dzieje?

— Firmin? Pan może słyszał — odrzekł staruszek — że opuścił seminarium, bo nie miał powołania na księdza. Wielebni ojcowie byli tak łaskawi, że zajęli się nim jeszcze po wydaleniu z zakładu. Ksiądz Lantaigne znalazł mu miejsce nauczyciela domowego u pewnego margrabiego w Poitou. Ale rozżalony Firmin odmówił. Jest teraz w Paryżu korepetytorem w jakiejś bursie przy ulicy Św. Jakuba, ale zarabia niewiele.

I szewc dodał smutnie:

— Przydałaby mi się...

Nie dokończył, ale po chwili mówił dalej:

— Jestem wdowcem od dwunastu lat, przydałaby mi się żona, kobieta potrzebna jest do gospodarstwa.

Zamilkł, wbił trzy ćwieczki w podeszwę i rzekł:

— Tylko potrzebowałbym żony rozumnej.

Zabrał się znów do roboty. Nagle podnosząc ku niebu swą smutną, cierpiącą twarz, szepnął:

— A przy tym: tak smutno samemu!

Pan Bergeret drgnął radośnie. Spostrzegł pana Paillota na progu księgarni.

— Do widzenia, Piédagnel — rzekł, wstając. — Pamiętajcie o wysokim podbiciu.

Ale szewc, zatrzymując go błagalnym spojrzeniem, zapytał, czy nie zna przypadkiem kobiety niezbyt młodej, pracowitej wdowy, która chciałaby poślubić wdowca mającego niewielki warsztat.

Pan Bergeret patrzył z osłupieniem na tego człowieka pragnącego się żenić. Ale Piédagnel szedł za wątkiem swych myśli.

— Jest wprawdzie — mówił — roznosicielka chleba z ulicy des Tintelleries, ale to pijaczka. Jest też służąca nieboszczyka proboszcza z kościoła Świętej Agnieszki. Ale ta jest dumna, bo ma nieco zaoszczędzonego grosza.

— Piédagnel — rzekł pan Bergeret — naprawiajcie obuwie współobywateli, pozostaniecie samotnym, odosobnionym, zadowolonym w swym kramiku i nie żęćcie się, bo to byłoby nierozumne!

Zamknął za sobą oszklone drzwi, przeszedł plac Św. Eksuperego i wszedł do Paillota. Księgarz był sam w sklepie. Był to umysł suchy, niewykształcony. Mówił mało i myślał tylko albo o księgarni, albo o willi, którą posiadał na wzgórzach Duroc. Ale pan Bergeret miał do księgarza i do księgarni niewytłumaczoną słabość. U Paillota czuł się najlepiej, tu łatwo przychodziły mu najlepsze pomysły.

Paillot był bogaty i nie skarżył się nigdy. Zwierzył się jednak przed panem Bergeret, że teraz już na książkach szkolnych nie zarabia się tyle, co dawniej. Przy tym dostawa książek i przyborów szkolnych staje się łamigłówką z powodu częstych zmian w programach.

— Dawniej — rzekł — szkoła była bardziej konserwatywna.

— Nie sądzę — odpowiedział pan Bergeret. — Łatamy ciągle nasze nauczanie klasyczne. Jest to stary gmach, który w budowie swej nosi cechy wszystkich epok. Fasada w stylu Cesarstwa wznosi się nad portykiem jezuickim; ma on galerie w stylu rokoka, kolumnady w stylu kolumnad Luwru, schody Odrodzenia, sale gotyckie, kryptę romańską, a gdyby odsłonięto jego fundamenty, znaleziono by *opus spicatum*²⁹ i cement rzymski. Na każdej z tych części można by umieścić pamiątkowy napis z datą pochodzenia: „Uniwersytet Cesarski 1808 — Rollin — Oratorianie — Port-Royal — Jezuici — Scholastycy

²⁹*opus spicatum* (łac.) — tak zwano starożytny sposób układania posadzki. [przypis redakcyjny]

— Retorzy łacińscy z Autun i Bordeaux”. Każde pokolenie czyniło pewne zmiany i coś dobudowało do tego pałacu wiedzy.

Paillot, gładząc rudą brodę, głupkowato patrzył na pana Bergeret. Potem ukrył się wystraszony za kontuarem, a pan Bergeret kończył swoje wywody:

— Tylko dzięki tym częstym poprawkom budowa jeszcze stoi. Przepadłaby, gdyby już nic w niej nie zmieniano. Należy podreperować części grożące zawaleniem i dodać kilka sal nowej architektury. Ale już słyszę złowróżbny trzask.

Ponieważ pocziwy Paillot nie odpowiadał na tę ciemną, przerażającą go przemowę, pan Bergeret pogrążył się w kąt starych ksiąg.

I tego dnia jak zwykle wziął trzydziesty ósmy tom *Historii powszechnej odkryć i podróży*. I teraz jak zwykle książka otworzyła się sama na stronie 212. Na karcie tej także widział on splecione postacie pani Bergeret i pana Roux... Odczytał tak znany sobie tekst, nie zwracając uwagi na to, co czyta, i snując rozmyślenia, jakie podsuwała mu obecna sytuacja:

...znaleźć przejście na północ. — Niepowodzeniu temu — rzekł (oczywiście, zdarzenie to nie jest ani rzadkie, ani nadzwyczajne i nie powinno dziwić umysłu filozoficznego) — zawdzięczamy, że mogliśmy ponownie zwiedzić wyspy Sandwich (jest domownikiem, a burzy mój dom; nie mam już domu) i wzbogacić naszą podróż odkryciem (nie mam już domu, domu), które, choć ostatecznie (jestem wolny moralnie, to jest ważne), zdaje się pod wieloma względami być najważniejszym, jakiego dokonali Europejczycy na całym obszarze Oceanu Spokojnego...

Pan Bergeret zamknął książkę. Ujrzał w oddali wybawienie, wolność, nowe życie. Było to tylko małe, dalekie światełko w ciemnościach, ale żywe i trwałe. Jakże wydzie z tego tunelu? Nie wiedział jeszcze. Ale widział przynajmniej jasne światełko u końca. I jeśli zachował jeszcze wzrokowe wrażenie pani Bergeret sprężonej z panem Roux, był to już dlań jedynie dziwny obraz, który nie budził w nim ani gniewu, ani wstrętu, była to tylko ilustrowana karta tytułowa, winieta jakiejś pornograficznej książki. Spojrzał na zegarek i przekonał się, że była godzina druga. Potrzebował stu osiemdziesięciu minut na dojście do tego stanu mądrości.

VII

Kiedy pan Bergeret wziął ze stolika „Biuletyn Uniwersytecki” i nic nie mówiąc, opuścił salon, pan Roux i pani Bergeret jednocześnie wydali głębokie westchnienie.

— Nic nie widział — szepnął pan Roux. Nie miał ochoty nadawać wielkiej wagi tej przygodzie.

Ale pani Bergeret, której, przeciwnie, zależało na obarczeniu swego współwinowajcy ewentualną odpowiedzialnością, potrząsnęła głową z wyrazem srogiej wątpliwości. Była niespokojna i niezadowolona. Wstyd jej było, że dała się tak głupio przydybać człowiekowi, który łatwo dawał się oszukiwać i którym gardziła za jego łatwowierność. Odczuwała niepokój, w jaki wtrąca nas każde nowe położenie.

Pan Roux chciał wpoić w nią pewność siebie, którą i sobie wmawiał.

— Nie widział nas, jestem tego pewien, patrzył tylko na stolik.

A że pani Bergeret mimo tych zapewnień miała silną co do tego wątpliwość, utrzymywał, że od drzwi nie można widzieć osób siedzących na kanapie. Pani Bergeret zapra gnęła przekonać się o tym. Stała przy drzwiach, a pan Roux, ułożywszy się na kanapie, przedstawiał sam grupę przyłapanych kochanków.

Próba nie była rozstrzygająca. Z kolei więc pan Roux poszedł do drzwi, a pani Bergeret odgrywała scenę miłosną.

Powtórzyli tę scenę kilkakrotnie, poważnie, dość obojętni względem siebie, a nawet nieco znudzeni. Panu Roux nie udawało się jednak położyć kresu niepewnościom pani Bergeret.

Zawołał więc zniecierpliwiony:

— No więc, jeżeli nas widział, to wielki z niego... — i użył wyrazu, którego pani Bergeret nie знаła, ale który, z miny pana Roux sądząc, uważała za grubiański, niestosowny i obelżywy. Miała za złe panu Roux, że go wymówił.

Pan Roux, uznając zresztą, że mógłby jedynie zaszkodzić pani Bergeret, gdyby dłużej bawił u niej, i nie chcąc przez wrodzoną delikatność spotkać się z dobrotliwym mistrzem, którego skrzywdził, szepnął do ucha Amelii kilka słów uspokajających i natychmiast na palcach opuścił pokój. Pani Bergeret pozostała sama i poszła rozmyślać do swego pokoju.

Nie sądziła, by jej czyn był ważny sam przez się. Wprawdzie nie była jeszcze w tym położeniu z panem Roux, ale znajdowała się w nim z innymi mężczyznami, prawda, że nieczęsto. Następnie, nieraz czyn, uważany w opinii za potworny, w zastosowaniu wykazuje swą całą plastyczną przeciętność i naturalną niewinność. Wobec rzeczywistości przesady upadają. Pani Bergeret nie była kobietą, którą nieprzeparte siły, w niej samej utajone, wyrwać by mogły z jej burżuazyjnych i domowych przeznaczeń. Mimo temperamentu była rozsądna i dbała o swą reputację. Nie szukała sposobności. Mając lat trzydzieści osiem, trzy razy dopiero zdradziła męża. Wystarczyło to, by we własnych oczach nie wyolbrzymiać swej winy. Tym mniej była skłonna do tego, że trzecia ta przygoda w zupełności przypominała dwie pierwsze, które nie sprawiły jej ani tyle trudu, ani tyle przyjemności, by miała o nich żywo pamiętać. Widma wyrzutu nie stawały przed jej wypukłymi oczyma matrony. Ostatecznie, uważała się za damę przyzwoitą, niezadowolona tylko była i zawstydzona, że dała się przylapać mężowi, którym głęboko gardziła. I niepowodzenie to musiało zdarzyć się tak późno, w wieku spokojnych i poważnych myśli! To właśnie było dla niej szczególnie nieprzyjemne. Pierwsze dwa razy przygoda zaczęła się w podobny sposób. Zazwyczaj pani Bergeret pochlebiali wrażenie, jakie wywierała na mężczyznach z dobrego towarzystwa. Cieszyła się okazowanymi jej grzecznościami i nigdy nie uważała ich za nadmierne. Sądziła bowiem, że jest godna pożądania. Dwa razy przed przygodą z panem Roux pozwoliła sobie dojść do punktu, w którym dla kobiety zatrzymać się nie jest ani łatwe fizycznie, ani moralnie — korzystne. Pierwszy raz miała do czynienia z człowiekiem starszym, bardzo zręcznym, który szczerze chciał być jej miły. Ale zmieszanie nieodłączne od pierwszego błędu zepsuło jej przyjemność. Drugi raz była bardziej przejęta samą przygodą. Niestety, oboje nie mieli doświadczenia. Wreszcie pan Roux zbyt dużo sprawił jej przykrości, by nawet miała pamiętać, co zaszło, zanim zostali zdybani. Jeśli starała się przypomnieć sobie ich pozycję na kanapie, to tylko po to, by odgadnąć, co z tego mógł widzieć pan Bergeret i jak dalece jeszcze będzie mogła go okłamywać i oszukiwać.

Była upokorzona, zirytowana, wstydziła się na myśl o swych dorastających córkach; czuła, że jest śmieszna. Ale nie bała się wcale. Pewna była, że przebiegłością i śmiałością pokona tego skromnego, łagodnego, nieśmiałego człowieka, którego uważała za niższego od siebie.

Myśl, że pod każdym względem stoi wyżej od pana Bergeret, nigdy jej nie opuszczała. Myśl ta kierowała jej czynami, słowami, jej milczeniem. Miała rodową dumę. Była z domu Pouilly, była córką pana Pouilly, inspektora uniwersytetu, siostrzenicą pana Pouilly ze *Słownika Akademii*, prawnuczką owego Pouilly, który w 1811 roku napisał *Mitologię dla panien* i *Skarbiec niewiasty*. Ojciec umocnił ją był w tym poczuciu dumy rodzinnej.

Wobec panny Pouilly czymże był pan Bergeret? Nie była więc niespokojna o wynik przewidywanej sprzeczki i czekała na męża hardo i z przymieszką przebiegłości. Ale gdy w porze obiadu usłyszała, jak schodzi ze schodów, poczuła niepokój. Mąż zaniepokoił ją swą nieobecnością. Stawał się tajemniczy, prawie groźny. Łamała sobie głowę nad przewidywaniem tego, co jej powie, i przygotowywaniem odpowiedzi gwałtownych lub chytrych, stosownie do okoliczności. Prostowała się, prężyła, by odeprzeć atak. Wymyślała zwroty patetyczne, groźby samobójstwa, sceny pojednania. Z nadejściem wieczora rozstroiła się zupełnie. Płakała, gryzła chustkę. Teraz pragnęła scen gwałtownych, wyjaśnień i złorzeczeń, gotowa była je sprowokować. Czekala na Bergereta z niewypowiedzianą niecierpliwością. O dziewiątej rozpoznała jego kroki w domu. Ale nie wszedł do pokoju. Natomiast weszła służąca i hardo, zuchwale powiedziała:

— Pan kazał wstawić sobie żelazne łóżko do gabinetu.

Pani Bergeret, zgębiona, nic nie odrzekła. Spała tej nocy głębokim snem. Ale jej śmiałość i pewność były złamane.

VIII

Ksiądz Guitrel zaprosił na obiad proboszcza od Św. Eksuperego, księdza kanonika Laprunne. Siedzieli obaj przy małym okrągłym stoliku, na którym Józefina stawiała właśnie omlet ponczowy otoczony płomykami.

Służąca księdza Guitrel już przed wielu laty dosięgła wieku kanonicznego; miała okazywały węż i zaiste nie była taka, jak ją po mieście przedstawiano w pikantnych opowieściach, naśladowanych ze starych, średniowiecznych foliałów. Twarz jej przeczyła jowialnym obmowom, kursującym od kawiarni du Commerce do księgarni Paillota, od radykalnej apteki pana Mandar do jansenistycznego salonu pana Lerond, emerytowanego podprokuratora. I jeśli prawdą było, że profesor retoryki kościelnej dopuszczał służącą do swego stołu w dniu, gdy nie miał gości, jeśli dzielił z nią ciastka, które umiejętnie i troskliwie dobierał w cukierni pani Magloire — było to tylko czyste i zupełnie niewinne przywiązanie do tej starej panny, prostej i nieuczonej, ale sprytnej, roztropnej, przychyłnej dla swego pana, ambitnej dla niego i gotowej z wierności zdradzić cały świat.

Zaprawdę ksiądz Lantaigne, rektor seminarium, dawał zbytnią wiarę tym bajkom erotycznym o Guitrelu i jego służącej, które wszyscy powtarzali, a którym jednak nikt nie wierzył, nawet pan Mandar, aptekarz z ulicy Culture, najbardziej postępowy z radców miejskich. Ten bowiem zbyt wiele sam dołożył do tych swawolnych powiastek, ażeby w duchu nie miał podejrzewać autentyczności całego zbioru. Bo cały obszerny zbiorek baśni skomponowano o tych dwóch szanownych osobach. I gdyby ksiądz Lantaigne lepiej znał *Dekameron*, *Hephtameron* i *Sto nowych nowel*, wykryłby źródło niejednej zabawnej przygody, wspaniałomyślnie przypisywanej w prowincjonalnym mieście księdzu Guitrel i jego służącej. Jeśli pan Mazure znajdował przypadkowo w jakiej starej księdze opowieść o sprośnych księżach, nie omieszczał także ze swej strony przypisać jej księdzu Guitrel. Tylko ksiądz Lantaigne wierzył w to, o czym wszyscy mówili, nie wierząc zgola.

— Cierpliwości, księżu proboszczu! — rzekła służąca. — Zaraz podam łyżkę do sosu.

To mówiąc, wyjęła z szuflady kredensu blaszaną łyżkę o długiej ręczce i podała ją księdzu Guitrel. I podczas gdy ksiądz lał płonący rum na cukier, który skwierczał i pachniał karmelem, służąca, oparta o kredens, patrzyła, założywszy ręce, na grający zegar. Na złotej tarczy zegara był wymalowany krajobraz szwajcarski z parowozem wysuwającym się z tunelu, z balonem wznoszącym się ku niebu i wskazówkami umieszczonymi na szczycie wieży kościelnej. Uważna kobieta obserwowała jednak i swego pana, który mając zbyt krótkie ręce, męczył się, wywijając rozpaloną łyżką.

Zachęcała go:

— Śmiało! Byłe płomień nie zgaś.

— Potrawa ta — rzekł ksiądz kanonik — wydaje naprawdę przyjemny zapach. Ostatnim razem, gdy kazałem przygotować u siebie ten przysmak, półmisek pękł z gorąca i arak wylał się na obrus. Rozgniewało to mnie, a najbardziej zmartwiłem się, widząc osłupienie na twarzy księdza Tabarit, który był wtedy u mnie na obiedzie.

— Ksiądz kanonik — rzekła służąca — używa cienkiej porcelany. Nic nie jest zbyt piękne dla księdza dziekana. Lecz porcelana im cieńsza, tym trudniej znosi ogień. Ten półmisek jest z glinki, która nic sobie nie robi ani z zimna, ani z gorąca. Jak mój ksiądz zostanie biskupem, będę podawać mu omlety na srebrnym półmisku.

Nagle ogień zagaś na blaszanej łyżce i ksiądz Guitrel przestał polewać omlet. Zwrócił na służącą gniewne spojrzenie.

— Józefino — rzekł — zabraniam ci na przyszłość gadać coś podobnego.

— Jednakże — rzekł proboszcz od św. Eksuperego — w tym, co powiedziała, nikt prócz was, kochany księżu Guitrel, nic zganić nie może. Obdarzony jest ksiądz cenną inteligencją, posiada głęboką wiedzę, należałoby więc sobie życzyć, aby był wyniesiony do godności biskupiej. Któż wie, czy ta prosta kobieta nie zwiastowała prawdy?! Czyż nie wspomniano waszego nazwiska wśród nazwisk księży najgodniejszych tronu biskupiego w Tourcoing?

Ksiądz Guitrel nastawiał ucha i okiem zerkał z boku.

Był niespokojny. Sprawy jego szły źle. Z nuncjatury otrzymał same tylko niejasne półsłówka. Poczynał lękać się rzymskiej ostrożności. Zdawało mu się, że ksiądz Lantaigne

jest dobrze widziany w biurach ministerstwa wyznań. Słowem, wywiózł z Paryża przykre wrażenia. Zaprosił na śniadanie proboszcza od Św. Eksuperego, wiedział bowiem, iż ma on stosunki w partii księdza Lantaigne, i spodziewał się wyciągnąć z pocziwego proboszcza tajemnicę przeciwnika.

— I dlaczegóż — ciągnął dalej ksiądz kanonik — nie mielibyście zostać kiedyś biskupem jak ksiądz Lantaigne?

Po wymówieniu tego nazwiska nastała cisza, podczas której zegar z kurantem odegrał delikatną, starą piosenkę. Biła dwunasta.

Ksiądz Guitrel nieco drżąc ręką podał fajansowy półmisek księdzu Laprunie.

— Leguminka — rzekł ksiądz Laprunie — leguminka doskonała. Wasza służąca jest prawdziwą mistrzynią kucharskiego kunsztu.

— Mówiliście o księdzu Lantaigne? — zapytał ksiądz Guitrel.

— Właśnie — odrzekł ksiądz kanonik. — Nie twierdzę, że ksiądz Lantaigne jest już mianowany biskupem w Tourcoing. Mówić tak znaczyłoby uprzedzać wypadki. Ale słyszałem dziś rano od osoby zaprzyjaźnionej z wikariuszem generalnym, że układ między nuncjaturą a ministerstwem co do osoby księdza Lantaigne wkrótce już dojdzie do skutku. Wiadomość ta bez wątpienia wymaga potwierdzenia. Ksiądz de Goulet mógł wziąć nadzieję za rzeczywistość. On, ksiądz wie o tym, pragnie triumfu księdza Lantaigne. Triumf ten nie jest nieprawdopodobny. Niedawno jeszcze nieprzejednane zasady, które przypisują księdzu Lantaigne, mogły niekorzystnie działać na władze państwowe, nieufne względem duchowieństwa. Ale czasy się zmieniły. Ciemne chmury rozpierzchnęły się. Pewne wpływy, dotąd trzymane poza obrębem akcji politycznej, zaczynają objawiać się nawet w sferach rządowych. Zapewniają, że poparcie udzielone kandydaturze księdza Lantaigne przez generała Cartier de Chalmot sprawę przesądziło. Takie są słuchy, niepewne jeszcze wiadomości, które zebrać mogłem.

Służąca Józefina wyszła z pokoju, ale zdawało się, że jej cień, na wszystko czujny, lada chwila wsunie się przez odemknięte drzwi.

Ksiądz Guitrel nie jadł i nic nie mówił.

— Jest w tym omlecie mieszanina aromatów bardzo przyjemnie lechcąca podniebienie, które nie może rozróżnić, co to jest. Czy mogę wziąć przepis od waszej służącej?

W godzinę później, po odejściu gościa, ksiądz Guitrel udał się przygarbiony do seminarium. Zamyślony, zszedł krętą, skośną uliczką des Chantres; szczególnie zapiął płaszcz na piersiach, chroniąc się przed mroźnym wichrem hulającym na dachu katedry. Był to kąt najciemniejszy i najzimniejszy w całym mieście. Przyspieszył kroku aż do ulicy Marche i tu zatrzymał się przed sklepem rzeźnika Lafolie.

Sklep ten był okratowany jak klatka lwów. W głębi, za ladą sklepową, pod zawieszonymi na hakach ćwierciami baraniny drzemał rzeźnik. Zaczął był prace o świcie, teraz zmęczenie zwyciężyło jego silne członki. Ze skrzyżowanymi gołymi rękoma, z nożem jeszcze wiszącym u boku, z nogami rozstawionymi pod białym, poplamionym krwią fartuchem, spał, wolno kołysząc głową na boki. Czerwona twarz lśniła, żyły szyi nabrzmiwały pod odwiniętym kołnierzem różowej koszuli. Dyszał spokojną siłą. Pan Bergeret mawiał o nim, że ma w sobie coś z bohaterów Homerowskich, bo jego życie podobne jest do ich życia, i że tak jak oni przelewa krew ofiar.

Rzeźnik Lafolie drzemał. Przy nim drzemał jego syn, silny i wysoki jak on, z twarzą mocno czerwoną. Czeladnik rzeźniczy, z głową opartą na ręce, spał na marmurze stołu, z włosami rozsypanymi na rozćwiartowane mięso. W oszklonej klatce przy wejściu do sklepu, wyprostowana, z ociężałymi powiekami, także ze snem walcząca, siedziała pani Lafolie, tłusta, z ogromną piersią, z ciałem mocno przesiąkniętym krwią zwierząt. Cała ta rodzina uosabiała jakąś siłę brutalną i wszechwładną, miała w sobie coś z barbarzyńskiej królewskości.

Ksiądz Guitrel przyglądał się im czas jakiś, ruchliwymi oczyma wodząc od jednego do drugiego i z zajęciem zatrzymując je na rzeźniku, na tym kolosie, którego czerwone policzki przecięte były długim, rudym wąsem i którego czoło nad zamkniętymi oczyma usiane było mnóstwem drobnych, chytrych zmarszczek. Potem, nasyciwszy się widokiem tej głowy chytrej i dzikiego zwierza, poprawił parasol pod pachą, zapiął szczelniej płaszcz na piersiach i poszedł dalej.

Pokrzepiony na duchu, myślał:

„Osiem tysięcy trzysta dwadzieścia pięć franków z przeszłego roku. Tysiąc dziewięćset sześć z tego roku. Ksiądz Lantaigne, rektor seminarium, winien jest dziesięć tysięcy dwieście trzydzieści jeden franków rzeźnikowi Lafolie, który nie jest wygodnym wierzycielem. Ksiądz Lantaigne nie będzie biskupem”.

Wiedział od dawna o tym długu seminarium i o kłopotach księdza Lantaigne. Służąca Józefina powiedziała mu, że Lafolie pokazuje pazury i grozi procesem przeciw seminarium i arcybiskupstwu. I drepcąc drobnym kroczeniem, ksiądz Guitrel mruczał:

— Ksiądz Lantaigne nie będzie biskupem! Jest administratorem uczciwym, ale niezręcznym. Biskupstwo wymaga dobrej administracji. Bossuet potwierdził to własnymi słowami w mowie pogrzebowej księcia de Condé.

I w myśli uprzytomnił sobie bez przykrości straszną twarz rzeźnika Lafolie.

IX

Pan Bergeret ponownie przeczytał myśli Marka Aureliusza. Miał on sympatię dla małżonka Faustyny. Ale znalazł w tej małej książce tak fałszywe zrozumienie natury i jej zjawisk, taką pogardę Charyt, że nie mógł w pełni gustować w jej szlachetności. Przeczytał następnie opowiadania imci d'Ouvillé'a i Eutrapela, *Cymbalum Despériersa*, *Martinées Cholieres'a* i *Serées* Wilhelma Bouchet. To czytanie bardziej go zadowoliło. Uznał, że są to dzieła odpowiednie dla jego położenia, przeto budujące, zdolne napędląć duszę pogodnym spokojem i niebiańską słodyczą. Wdzięczny był tym autorom, którzy od starożytnego Miletu aż do słonecznej Burgundii, łagodnej Turenii i żyznej Normandii uczyli ludzi wdzięcznego śmiechu i usposabiali wzburzone serca do pobłażliwej wesołości.

„Pisarze ci — myślał — na których żyją surowi moralisci, sami są doskonałymi moralistami, których chwalić i kochać należy. Wszakże to oni zresztą wskazali najprostsze, najbardziej naturalne, ludzkie rozwiązania domowych nieporozumień, które duma i nienawiść, rozgorzałe w pysznym sercu mężczyzny, chciały rozwiązać mordem i rzezią. O wy, bazarze milezyjczy, o subtelny Petroniuszu, o mój Noël du Fail, o ty, zwiastunie Jana de La Fontaine! Jakież apostoł mędrszy i lepszy był od was, których ogólnie zowią sowizdrzałami? O dobroczyńcy! Wy nauczyliście nas prawdziwej mądrości życia, życzliwej pogardy dla ludzi!”

I pan Bergeret umocnił się w tej myśli, że duma jest główną przyczyną naszych nędz i smutków, że jesteśmy ubranymi małpami i że poważnie stosujemy idee honoru i cnoty tam, gdzie są one tylko śmieszne, że papież Bonifacy VIII mądrze uważał w duchu, iż to z maleńkich spraw robi się wielkie, i że pani Bergeret i pan Roux na naganę lub pochwałę zasłużyli nie więcej i nie mniej niż na przykład para szympanów. Miał jednak umysł zbyt logiczny, aby zataić przed sobą bliskie swoje powinowactwo z tymi dwoma małpimi osobnikami. Lecz uważał się za myślącego szympana. I dumny był z tego. Bo zawsze jednak mądrość gdzieś się urywa.

Mądrość pana Bergeret szwankowała jeszcze na jednym punkcie. Nie stosował on ściśle postępowania do swych maksym. Nie był gwałtownikiem, bez wątpienia, ale nie był też pobłażliwy. Bynajmniej nie okazał się uczniem tych autorów milezyjskich, łacińskich, florentyńskich, galijskich, których uśmiechniętą, pogodną, do śmieszności ludzkich zastosowaną filozofię tak bardzo wychwalał. Nie czynił wyrzutów pani Bergeret. Nie powiedział jej ani jednego słowa, nie spojrzał nawet na nią. Przy stole, siedząc naprzeciw niej, wspaniale umiał jej nie widzieć. A jeśli przypadkowo spotykał się z nią w którymś z pokoiów mieszkania, zachowywał się tak, że biedna kobieta odnosiła wrażenie, iż jest niewidzialna.

Pomijał ją, uważał za obcą, za istotę nieistniejącą. Wykreślił ją ze swego zewnętrznego i wewnętrznego życia. Unicestwił. W domu, wśród licznych zatrudnień wspólnego życia, nie widział jej, nie słyszał, nic o niej nie wiedział. Pani Bergeret była istotą grubiańską i ordynarną, ale zarazem domową i moralną, była istotą ludzką, żywą. Cierpiała, że nie może dać folgi ordynarnym wymysłom, groźnym gestom, ostrym krzykom. Cierpiała, że nie czuje się już panią domu, duszą kuchni, matką rodziny, matroną. Cierpiała, że jest, a jakby jej nie było, i że nie jest uważana za osobę, nawet nie za rzecz. Dochodziło do tego, że w czasie posiłków pragnęła być krzesłem, talerzem, ażeby ją przynajmniej zauważono.

Gdyby pan Bergeret zamierzył się na nią nożem, byłaby krzyknęła z radości, choć z natury bała się bólu. Ale być niczym, nic nie ważyć, nie istnieć — nieznośne było dla jej ciężkiej, grubej natury. Tak straszna była dla niej ta monotonna i nieustanna męka, że gryzła chustkę, aby stłumić łkanie. I pan Bergeret ze swojego pokoju słyszał, jak żona w jadalni głośno wyciera nos, podczas gdy on bez nienawiści, bez miłości, spokojnie układał kartki do swego *Virgiliusa nauticus*³⁰.

Pani Bergeret co wieczór odczuwała gwałtowną chęć pójścia za panem Bergeret do jego gabinetu, który teraz był zarazem jego sypialnią i nieprzeniknionym schronieniem nieprzeniknionej myśli, chciała błagać o przebaczenie u tego człowieka lub obrzucić go najgorszymi wymysłami, podrapać mu twarz ostrzem noża kuchennego lub wbić go we własną pierś. Co uczynić, było rzeczą obojętną, szło jej tylko o to, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, istnieć dla niego. Bo tego właśnie, czego jej odmawiano, potrzebowała jak wody, chleba, powietrza i soli.

Gardziła panem Bergeret nadal: uczucie to było w niej rodzinne, dziedziczne. Przejęła je od ojca, płynęło w jej żyłach. Przestałaby być z domu Pouilly, bratanką Pouilly ze *Słownika Akademii*, gdyby uznała równość między mężem a sobą. Gardziła nim dlatego, że ona była z domu Pouilly, a on Bergeret, a nie dlatego, że go zdradziła. Miała dość rozumu, żeby nie przeceniać przewagi, jaką jej dawała zdrada małżeńska; co najwyżej lekceważyła go za to, że nie zabił pana Roux. Pogarda jej była stała i niezmienna. Nie mogła ani wzrosnąć, ani zmaleć. Ale nie czuła do niego nienawiści. Niedawno jeszcze w codziennym obcowaniu bez odrazy męczyła go, drażniła, wymawiała mu zaniedbanie w ubraniu, niezręczność w postępowaniu, nudziła go opowiadaniem długich historii o sąsiadach. W tych opowiadaniach głupota łączyła się z pospolitością; gdyż pani Bergeret mierna była zarówno w dowcipach, jak w obmowie. Gazy próżności rozdymały tę duszę brzuchatą, nie sączącą jednak ani strasznych jadów, ani niezwykłych trucizn. Pani Bergeret była właśnie stworzona na to, by żyć w zgodzie z towarzyszem, którego zdradzałaby i gnębiła w pogodnym nadmiarze sił i w naturalnym działaniu swych organów. Była towarzyską przez nadmiar ciała, z braku duchowego, wewnętrznego życia. Brakowało jej pana Bergeret, nagle wycofanego z jej życia, jak nieobecnego męża brakuje uczciwej żonie. Nadto ten dobry, nikły człowieczek, którego poczytywała zawsze za istotę nic nie znaczącą, lecz wygodną, teraz wzbudzał w niej strach. Pan Bergeret, uważając ją za absolutną nicość, sprawiał, że sama miała to wrażenie, iż przestaje istnieć. Czuła, że robi się w niej próżnia. Ze smutkiem i przerażeniem pogrążała się w ten stan nowy, nieznany, bez nazwy, a mający w sobie coś z samotności, coś ze śmierci. Wieczorem niepokój ten stawał się straszny, była bowiem wrażliwa na przyrodę, na wpływy przestrzeni i czasu. Leżąc sama w łóżku, patrzyła ze wstrętem na trzcinowy manekin, na którym od szeregu lat upinała swe suknie. Niegdyś, w dniach dumy i beztroski, w gabinecie pana Bergeret wznosił się on pyszny, bez głowy, lecz cały. Teraz, kulawy, okaleczały, opierał swą niemoc o lustrzaną szafę w cieniu czerwonej rypsowej firanki. Bednarz Lenfant znalazł go na podwórzu między kadziami wody, w których miękły korki. Odniośł manekin pani Bergeret, która nie śmiała wstawić go ponownie do gabinetu: rozbitą, ranną, okaleczoną ofiarą symbolicznej zemsty przyjęła do małżeńskiej komnaty, gdzie wyobrażała dla niej posępne, groźne praktyki symbolicznych uroków i czarów.

Pani Bergeret cierpiała istotnie. Pewnego ranka przebudziła się i podczas gdy blade słońce przez nieszczelną firankę smutnymi promieniami muskało ranny manekin, roztkliwiła się sama nad sobą, uznała siebie za niewinną, a pana Bergeret za okrutnika. Zbuntowała się. Nie mogła zgodzić się na to, by Amelia Pouilly cierpieć z powodu jakiegoś Bergereta. Poradziła się w duchu cieniów swego ojca i umocniła się w myśli, że pan Bergeret jest zbyt małą osobistością, żeby móc ją unieszczęśliwić. Ta дума jej ulżyła. Tego dnia ubierała się z przyjemnością. Dodawała sobie otuchy, żeby silnie wierzyć, że nie jest niczym mniej, niż była, i że nic nie jest stracone.

Był to dzień przyjęć pani Leterrier, szanownej małżonki rektora. Pani Bergeret poszła odwiedzić panią Leterrier. W niebieskim salonie, w obecności pani Compagnon, żony profesora matematyki, po pierwszej wymianie grzeczności wydała głębokie westchnienie, już nie westchnienie ofiary, lecz westchnienie wojownicze.

³⁰*Virgilius nauticus* (łac.) — dosł. Wergiliusz żeglarski. [przypis redakcyjny]

I podczas gdy obie uniwersyteckie damy słuchały jeszcze tego westchnienia, pani Bergeret dodała:

— Niemało jest powodów do smutku w życiu, szczególnie dla istot, które nie umieją godzić się na wszystko... Pani jest szczęśliwa, pani Leterrier! I pani także, kochana pani Compagnon!...

I pani Bergeret, dyskretna, skromna, wstydliva, zamilkła mimo zainteresowanych spojrzeń zwróconych na nią. Ale było to dostateczne, by zrozumiano, że ją maltretują i upokarzają w domu. Mówiono po cichu w mieście, że pan Roux zaleca się do niej. Od tego dnia pani Leterrier kazała zamilknąć obmowie; zapewniała, że pan Roux jest bardzo przyzwoitym młodzieńcem. Mówiąc o pani Bergeret, z okiem we łzach tonącym i z wilgotnymi wargami dodawała:

— Ta biedna kobieta jest bardzo nieszczęśliwa i bardzo sympatyczna.

W sześć tygodni opinia salonów miejskich ustaliła się i oświadczyła za panią Bergeret. Głoszono, że pan Bergeret, unikający wizyt, jest człowiekiem złym; posądzano go o ciemne i niemoralne czyny. A pan Mazure, przyjaciel jego z kąta starych ksiąg, kolega z Akademii Paillota, utrzymywał, że widział go wchodzącego do kawiarni o bardzo złej sławie na ulicy des Hebdomadiers. Podczas gdy opinia „towarzystwa” tak potępiała pana Bergeret, *vox populi* wyrabiał mu inną reputację. Prostacki i symboliczny rysunek, skreślony na fasadzie domu, w którym mieszkał, znikł już był prawie, pozostawiając tylko niewyraźne kontury. Ale rysunki o tym samym charakterze mnożyły się w mieście i pan Bergeret nie mógł już iść do wszechnicy, w aleje lub do Paillota, żeby na jakimś murze wśród sprośnych, erotycznych i trywialnych napisów nie spotkać swego portretu wykonanego ołówkiem, węglem lub ostrym kamieniem, w elementarnym stylu znanym wszystkim łobuzom. Zwykle uzupełniał rycinę stosowny napis.

Pan Bergeret przyglądał się tym *graffiti* bez zmieszania i bez gniewu, niepokoiła go tylko ich wzrastająca liczba. Jeden widniał na białym murze kawiarni Goubeau na ulicy des Tintelleries, inny na żółtej fasadzie agencji Deniseau na placu Św. Eksuperego, inny na teatrze przy kasie pod planem sali, inny na rogu ulicy de la Pomme i placu du Vieux-Marché, inny na oficynach hotelu Nivert obok pałacu de Gromance; inny na uniwersytecie przy mieszkaniu woźnego, inny na murze ogrodów prefektury. I co dzień pan Bergeret znajdował coraz nowe. Zauważył, że te *graffiti* nie były dziełem jednej ręki. W niektórych postać ludzka była przedstawiona w sposób zupełnie elementarny, drugie dawały całość bardziej zadowalającą, nie zmierzając jednak do poszukiwania indywidualnego podobieństwa, a tym mniej do wkraczania w trudną sztukę portretu. Wszystkie stosownym napisem zastępowały wadliwość rysunku. I na wszystkich tych rysunkach pan Bergeret nosił rogi. Zauważył, że czasem sterczą one na gołej czaszce, czasem wysuwają się spod wysokiego cylindra.

„Dwa kierunki artystyczne” — pomyślał. Ale jako człowiek subtelny cierpiał.

X

Pan Worms-Clavelin zatrzymał na obiedzie swego starego przyjaciela, Jerzego Frémont, inspektora sztuk pięknych, który właśnie objeżdżał departament. Gdy poznali się przed laty na Montmartre, w pracowniach malarskich, Worms-Clavelin, znacznie młodszy od Jerzego Frémont, był jeszcze bardzo młody. Nie mieli ani jednej wspólnej myśli i nie zgadzali się w niczym; Frémont lubił polemikę, Worms-Clavelin zaledwie ją znosił; Frémont był obfity i gwałtowny w słowach. Worms-Clavelin ustępował przed tą gwałtownością i mówił mało. Zaprzyjaźnili się, potem rozdzieliło ich życie. Ale ilekroć spotykali się, życzliwość powracała i kłócili się z przyjemnością. Jerzy Frémont, starzejący się, ociężały, już odznaczony orderami i zamożny, zachowywał jeszcze resztki dawnego zapału. Tego ranka, siedząc przy stole między panią Worms-Clavelin w szlafrocuku i panem Worms-Clavelin w domowej kurtce, opowiadał uprzejmie gospodyni o swym ostatnim odkryciu. Odnalazł na strychu muzeum, w pyłe i w gruzach, małą drewnianą statuetkę w najczystszej francuskiej styl, świętą Katarzynę w ubraniu mieszczy z XV wieku, postać zgrabniutką, o wyrazie niewymownie delikatnym, tak rozumnym i pocziwym, że okurzając ją, miał ochotę zapłakać. Prefekt zapytał, czy było to malowidło, czy posążek. Jerzy Frémont, który przyjaźnie lekceważył prefekta, odpowiedział łagodnie:

— Worms, nie staraj się rozumieć, o czym mówię do twojej żony! Jesteś zupełnie niezdolny do pojęcia piękna w jakiegokolwiek formie! Harmonia linii i szlachetność myśli będą zawsze niezrozumiałe dla ciebie.

Pan Worms-Clavelin wzruszył ramionami.

— Cicho bądź, stary komunardzie!

Jerzy Frémont był istotnie dawnym komunardem. Paryżanin, syn fabrykanta mebli z przedmieścia Św. Antoniego, uczeń Akademii Sztuk Pięknych, mając lat dwadzieścia w chwili niemieckiego najazdu, zaciągnął się do korpusu wolnych strzelców, z którego usług obrona nie korzystała. Frémont nie przebaczył tego lekceważenia generałowi Trochu³¹ Podczas kapitulacji był jednym z najbardziej egzaltowanych i krzyczał wraz z innymi, że Paryż zdradzono. Ponieważ nie był głupi, rozumiał przez te słowa, że Paryż był źle broniony, co nie ulegało wątpliwości. Był za wojną do ostateczności. Gdy ogłoszono Komunę, przystał do rewolucji. Na propozycję dawnego robotnika z fabryki ojca, obywatela Charlier, delegowano go do Wydziału Sztuk Pięknych i mianowano pomocnikiem dyrektora Luwru. Urząd jego był bezpłatny. Spełniał go w wysokich butach, z nabojami u pasa, w tyrolskim kapeluszu z kogucim piórkiem na głowie. Zaraz w pierwszych dniach najazdu płótna zwinięto, zapakowano w skrzynie i wyniesiono do magazynów, gdzie ich nigdy odnaleźć nie mógł. Nie pozostawało mu nic innego jak ćmić fajkę w galeriach zamienionych na kordegardę i rozmawiać z obywatelami z gwardii narodowej. Przed gwardzistami oskarżał Badingueta³², że głupio zniszczył płótna Rubensa, bo kazał zetrzeć z nich werniks. Oskarżenie to wnosił na wiarę pewnego dziennika i słów pana Vitet³³. Żołnierze gwardii narodowej słuchali go, siedząc na ławkach, z karabinami między kolanami, pili przy tym całymi litrami, bo było gorąco. Ale gdy wersalczycy wkroczyli do Paryża przez zburzoną bramę Point-du-Jour i gdy strzelaninę słyszeć było coraz bliżej Tuilerii, Jerzy Frémont ujrzał z wielkim niepokojem, że gwardia narodowa wtacza beczki z naftą do galerii Apollina. Z trudem tylko udało mu się odradzić im, by boazerii nie polewali naftą i nie podpalali, po czym dał im pić. Po ich odejściu, z pomocą służby bonapartystycznej, kazał stoczyć ze schodów beczki palnego materiału i zepchnąć je na brzeg Sekwany. Pułkownik wojsk Komuny, usłyszawszy o tym, podejrzewał Frémonta, że zdradza sprawę ludu, i dał rozkaz rozstrzelania go. Ale wersalczycy zbliżali się; w dymie płonących Tuilerii Frémont uciekł w bratniej zgodzie ze swym plutonem egzekucyjnym. Zadenuncjowano go nazajutrz przed wersalczykami i sądy wojenne poszukiwały go za uczestnictwo w powstaniu przeciwko prawowitemu rządowi. A wszak jasne było, że rząd wersalski był prawowity i legalny, bo powstając po Cesarstwie dnia 4 września 1870 roku, przyjął i zachował formy legalne poprzedniego rządu. Komuna natomiast nigdy nie zdołała zabezpieczyć sobie połączeń telegraficznych, bez których żaden rząd się nie legalizuje, przeto została pokonana i rozbita w stanie niezmiernej nielegalności. Nadto Komuna wyszła z rewolucji dokonanej wobec nieprzyjaciela, więc rząd wersalski nie mógł przebaczyć jej tego pochodzenia, które przypominało mu jego własny początek. Oto dlaczego pewien kapitan zwycięskiej armii, zajęty rozstrzeliwaniem powstańców dokoła Luwru, kazał poszukiwać Jerzego Frémont, aby go rozstrzelać. Jerzy Frémont tymczasem wraz z obywatelem Charlier ukrywał się przez dwa tygodnie na poddaszu jakiegoś domu przy placu Bastylli, po czym wyszedł z Paryża w bluzie, z biczem w rękę, za wózkiem z warzywem. I podczas gdy sąd wojenny zasiadający w Wersalu skazywał go na śmierć, on zarabiał w Londynie na życie, układając dla bogatego amatora z City katalog dzieł Rowlandsona³⁴. Inteligentny, pracowity, bardzo uczciwy, dał się wkrótce poznać i ocenić w kołach artystycznych Anglii. Kochał sztukę namiętnie, polityka zaś nie nęciła go wcale. Pozostał komunardem przez lojalność, bo wstydził się porzucić zwyciężonych przyjaciół. Ale ubierał się elegancko i bywał u arystokracji. Pracował usilnie i umiał ciągnąć korzyści ze swej pracy. Jego *Katalog monogramów* ustalił mu reputację i przyniósł nieco pieniędzy. Gdy ostatnie ślady

³¹Trochu, Louis-Jules (1815–1896) — generał i działacz polityczny; po upadku Napoleona III, szef tzw. rządu obrony narodowej, wojenny gubernator Paryża obleganego przez wojska pruskie, Jeden z katów Komuny Paryskiej. [przypis redakcyjny]

³²Badinguet — Ludwik Napoleon Bonaparte uciekł z twierdzy Ham (w r. 1846) pod przybranym nazwiskiem Badingueta, murarza. [przypis redakcyjny]

³³Vitet, Louis (1802–1873) — polityk, dziennikarz i pisarz. [przypis redakcyjny]

³⁴Thomas Rowlandson (1756–1827) — karykaturzysta angielski. [przypis redakcyjny]

zamieszek domowych usunięto i na propozycję zanego Gambetty ogłoszono amnestię, pewnego dnia w Boulogne wylądował dżentelmen dumny i uśmiechnięty, sympatyczny, znużony nieco pracą, młody jeszcze mimo kilku siwych włosów, w podróżnym ubraniu i z walizką pełną szkiców i rysunków. Jerzy Frémont ulokował się skromnie na Montmartre i bardzo prędko zjednał sobie przyjaciół wśród artystów. Ale prace, z których w Anglii żył dostatnio, we Francji przynosiły mu tylko zadowolenie miłości własnej. Gambetta kazał dać mu stanowisko inspektora muzeów. Frémont spełniał te obowiązki sumiennie i ze zrozumieniem rzeczy. Miał on szczerze i subtelne umiłowanie sztuki. Wrażliwość nerwowa, która w młodości kazała mu wzruszać się ranami ojczyzny, w późniejszym wieku nie zobojętniała dla społecznych krzywd ani dla objawów duszy ludzkiej, dla wykwintnego kształtu, dla pięknej linii, bohaterskiego gestu. Był przy tym patriotą nawet w sztuce, nie szydził ze szkoły burgundzkiej, był wierny polityce uczucia, przekonany, że Francja przyniesie sprawiedliwość i wolność światu.

— Stary komunardzie — powtórzył prefekt Worms-Clavelin.

— Cicho bądź, Worms! Masz duszę poziomą i umysł prostacki! Sam przez się nic nie znaczysz. Ale, jak się mówi teraz, reprezentujesz pewien typ. Sprawiedliwe nieba! Tyle ofiar wymordowano przez stulecie wojny domowej na to, by par Worms-Clavelin był prefektem Republiki! Worms, nie dorosłeś do prefektów Cesarstwa.

— Cesarstwo! — odparł pan Worms-Clavelin. — Potępiam Cesarstwo! Po pierwsze doprowadziło nas do przepaści, a po drugie jestem przecież urzędnikiem. Ale ostatecznie tłoczy się dziś wino i uprawia zboże jak za Cesarstwa, spekuluje na giełdzie jak za Cesarstwa, pije się, jada, kocha jak za Cesarstwa. W istocie rzeczy życie jest takie samo. Jakże więc rząd i administracja miałyby się zmienić nagle? Są tylko różnice w odcieniach. Mamy więcej wolności, mamy jej nawet zanadto. Mamy więcej bezpieczeństwa. Mamy system rządów zgodny z aspiracjami ludowymi. Jesteśmy panami swych losów... w granicach możliwości. Wszystkie siły społeczne mniej więcej są równe. Powiedz mi, co tu jeszcze można zmienić? Chyba kolor znaczków pocztowych: w najlepszym razie. A i to jeszcze!... jak mawiał stary Montessuy. Nie, mój przyjacielu, nie ma co zmieniać we Francji, chyba zmienić Francuzów. Jestem postępowcem bez wątpienia. Trzeba mówić, że idzie się naprzód, choćby dlatego, żeby nie potrzeba było iść istotnie. „Naprzód, naprzód...!” Jak się ta *Marsylianka* przydała na to, żeby nie iść ku Wogezom!

Jerzy Frémont spojrział na prefekta z życzliwą, serdeczną wzgardą i z głęboką uwagą.

— Wszystko więc idzie doskonale, he, Worms?

— Nie rób ze mnie głupca! Nie ma nic doskonałego; ale wszystko się trzyma, krzyżuje, podpira. To tak jak mur ojca Mulot, który widzisz stąd za oranżerią. Jest popękany, pokrzywiony, chyli się. Od trzydziestu lat ten bałwan Quatrebarbe, architekt diecezjalny, staje przed domem Mulota i z nosem do góry, z rękoma w kieszeniach, z rozstawionymi nogami, mówi, kiwając głową: „Nie rozumiem, jak się to trzyma!”. Małe urwisy wychodzące ze szkoły krzyczą za nim, naśladując jego głos ochryply: „Nie rozumiem, jak się to trzyma!”. Quatrebarbe ogląda się, nie widzi nikogo, patrzy na bruk, jak gdyby echo jego głosu wyszło było z ziemi, i odchodzi, powtarzając: „Doprawdy nie rozumiem, jak się to trzyma!”. Trzyma się to, bo się tego nie rusza, bo ojciec Mulot nie sprowadza ani architektów, ani murarzy, a głównie dlatego, że nie zasięga rad architekta Quatrebarbe. Trzyma się, bo trzymało się dotąd. Trzyma się, stary utopista, bo nie zmienia się podatków i nie wprowadza rewizji konstytucji.

— To znaczy, że trzyma się oszustwem i bezprawiem — odrzekł Jerzy Frémont. — Popadliśmy w otchłań hańby. Nasi ministrowie finansów są na usługach kosmopolitycznych bankierów. A najsmutniejsze jest to, że Francja, Francja-oswobodzicielka ludów, troszczy się już tylko o pilnowanie praw kapitalistów w Europie. Daliśmy wyróżnić, nie śmiejąc nawet zadrzeć, trzykroć sto tysięcy chrześcijan na Wschodzie, chrześcijan, których dostojnymi i szanowanymi protektorami winniśmy być z mocy naszych tradycji. Wraz ze sprawą ludzkości zdradziliśmy sprawę własną. Na wodach Krety³⁵ Republika

³⁵Na wodach Krety (...) — Sprawa Krety, mającej od r. 1878 autonomię pod zwierzchnictwem sultana i dążącej do połączenia się z Grecją, była powodem ciągłych sporów między państwami. Francja była za pozostawieniem tej wyspy przy Turcji, która na ruchy wyzwolenicze na Krecie odpowiadała rzeżniami; jedna z nich, w Kanei, w lutym 1897 doprowadziła do wojny Grecji z Turcją; Kreta na razie została przy Turcji, ale otrzymała konstytucję i autonomię pod protektoratem mocarstw zachodnich. [przypis redakcyjny]

pływa między mocarstwami niby perliczka w gromadzie mew. Do tego doprowadziło nas „zaprzyjaźnione” mocarstwo!

Prefekt zaprotestował.

— Frémont, nie mów źle o przymierzu francusko-rosyjskim. To najlepsza reklama wyborcza.

— Przymierze rosyjskie! — odrzekł Frémont, wywijając widelcem. — Powitałem narodziny jego z radosną nadzieją. Niestety! Miało ono złączyć nas przy pierwszej swej próbie z sułtanem, mordercą, i zawieść do Krety, by granatami ostrzeliwać chrześcijan, których jedyną winą była długotrwała niedola? Nie Rosji, lecz wysokim finansom, zaangażowanym w akcjach otomańskich, chcieliśmy się przypodobać. Toteż dożyliśmy sławnego zwycięstwa w Kanei, witanego ze wspaniałomyślnym entuzjazmem przez żydowską finansjerę.

— Oto — zawołał prefekt — oto jest znów polityka uczuć! Przecież ty chyba powinienś wiedzieć, do czego ona prowadzi. Nie rozumiem doprawdy, co może cię skłaniać na stronę Greków. Zgoła nie są zajmujący.

— Masz rację, Worms — odrzekł inspektor sztuk pięknych. — Masz zupełną rację. Grecy nie są zajmujący. Są biedni. Mają tylko swe morze błękitne, fiołkowe wzgórza i szczątki swych marmurów. Miód Hymetu nie ma kursu na giełdzie. Turcy, przeciwnie, godni są uwagi finansów Europy. Mają bezład i pieniądze. Płacą źle, ale płacą dużo. Można z nimi robić interesy. Kursy podnoszą się na giełdzie. Wszystko idzie dobrze. Oto czym się kieruje nasza polityka zagraniczna.

Pan Worms-Clavelin żywo przerwał, patrząc z wyrzutem na pana Frémont:

— No, Jerzy, nie mów w zlej wierze; wiesz dobrze, że nie mamy polityki zagranicznej i mieć jej nie możemy.

XI

— Podobno ma to być jutro — rzekł pan de Terremonde, wchodząc do księgarni Paillot.

Wszyscy zrozumieli, że idzie tu o egzekucję Lecoeura, czeladnika rzeźnickiego, skazanego na śmierć 27 listopada za zabójstwo wdowy Houssieu. Młodym przestępcą zajmowało się całe miasto. Sędzia Roquincourt, światowiec i galant, uprzejmie zaprowadził do więzienia panie Dellion i de Gromance i przez zakratowane okienko pokazał im skazańca, jak w celi grał w karty z dozorcą. Ze swej strony pan Osjan Colot, dyrektor więzienia, odznaczony palmami Akademii, bardzo chętnie dziennikarzom i znamienitszym osobom w mieście pokazywał „swego skazańca”. Pan Osjan Colot rozliczne kwestie karne traktował ze znajomością rzeczy. Dumny był ze swego zakładu, urządzonego według najnowszych wzorów, i nie gardził popularnością. Goście odwiedzający więzienie rzucali na Lecoeura ciekawe spojrzenia; zajmował ich stosunek, jaki istniał między tym dwudziestoletnim chłopcem a dziewięćdziesięcioletnią wdową, która miała być jego ofiarą. I stawali jak głupi przed tym potwornym zwierzęciem. Tymczasem kapelan więzienny, ojciec Tabarit, opowiadał ze łzami, że to biedne dziecko okazuje budujące uczucia skruchy i pobożności. Lecoeur zaś od dziewięćdziesięciu dni od rana do wieczora grał w karty ze swymi dozorcami, kłócąc się z nimi ich gwarą, należeli bowiem do tego samego świata. Jego herkulesowy kark zmarniał, a nad pochylonymi ramionami wyrastała szyja cienka, niezmiernie długa. Zgadzano się na to, że wyczerpał on już nienawiść, litość i ciekawość swych współobywateli i że czas już z nim skończyć.

— Jutro, o szóstej; wiem o tym od samego Surcouf — dodał pan de Terremonde. — Szafot nadszedł już na dworzec kolejowy.

— To dobrze — rzekł doktor Fornerol. — Od trzech nocy na polanie des Evées czeka tłum, zdarzyło się nawet kilka wypadków. Syn Julienu spadł z drzewa i rozbił sobie czaszkę. Obawiam się, że nie będę mógł go uratować.

— Co zaś do skazańca — ciągnął dalej doktor — nikt, nawet prezydent Republiki, nie ma już mocy zachowania mu życia. Ten chłopiec, zdrowy i silny w chwili aresztowania, jest teraz w ostatnim stadium suchot.

— Widział go pan w jego celi? — zapytał Paillot.

— Widziałem go kilkakrotnie — odrzekł doktor Fornerol — a nawet leczyłem go na żądanie Osjana Colot, który bardzo troszczy się o zdrowie fizyczne i moralne swych pensjonariuszy.

— To filantrop — zauważył pan de Terremonde. — Trzeba przyznać, że, w swoim rodzaju, więzienie w naszym mieście jest godne podziwu. Jego białe, czyste cele rozchodzą się niby promienie z jednego środkowego punktu obserwacyjnego. Więzień tam nikogo nie widzi, lecz ciągle jest na oku. Nie ma co mówić, jest to więzienie dobrze pomyślane, nowoczesne, postępowe! Zeszłego roku, gdy zwiedzałem Maroko, w Tangerze, na podwórzu ocienionym morwami widziałem nędzną budowlę z błota i wapna, przed którą drzemał wysoki Murzyn w lachmanach. Był on żołnierzem i kij służył mu za broń. Przez wąskie okna tej budowli wysuwały się ogorzone ręce trzymające trzcinowe koszyki. Byli to więźniowie, którzy z więzienia za marne grosze ofiarowywali przechodniom nieudolne próbki swej pracy. Głosem gardłowym zawodzili skargi i modlitwy, przerywane nagle przekleństwami lub okrzykami wściekłości. Zamknięci razem w obszernej sali, dobijali się o dostęp do okien, bo wszyscy chcieli wysuwać z nich koszyczki. Zbyt ożywiona sprzeczka wyrwała z drzemki czarnego żołnierza, który kijem zmusił te błagające ręce do cofnięcia się za ścianę. Ale za chwilę wysunęły się inne, tak jak pierwsze brunatne i sinymi pręgami poznaczone. Zdjęła mnie ciekawość, by zajrzeć do wnętrza więzienia przez szpary w drewnianych drzwiach. W mroku ujrzałem na wilgotnej ziemi tłum w lachmanach, brązowe ciała leżące między czerwonymi szmatami, pod turbanem twarze poważne z długimi, siwymi brodami i zwinne Murzyniátka ze śmiechem plotące koszyki. Tu i ówdzie brudne szmaty na opuchłych nogach źle okrywały rany i wrzody. Widać, słychać było bieganie, szelest robactwa. Czarna kura dziobała błotnistą ziemię. Żołnierz pozwalał mi przyglądać się więźniom do woli, czyhał tylko, by, nim odejdę, wyciągnąć rękę. Pomyślałem wtedy o dyrektorze naszego pięknego więzienia departamentalnego. I powiedziałem sobie: „Gdyby pan Osjan Colot przyjechał do Tangeru i zobaczył to, oburzałby się na owo wstrętne, ohydne więzienie”.

— W obrazie przez pana nakreślonym — zauważył pan Bergeret — poznaję barbarzyństwo. Jest ono mniej okrutne niż cywilizacja. Więźniowie muzułmańscy cierpią tylko wskutek obojętności lub niekiedy dzikości swych dozorców. Przynajmniej nic im nie zagraża od filantropów. Życie ich jest znośne, gdyż nie stosuje się do nich systemu celkowego. Każde więzienie rajem się wyda w porównaniu z całą wynalezioną przez naszych uczonych prawników.

— Istnieje — ciągnął dalej pan Bergeret — dzikość właściwa ludom cywilizowanym. W okrucieństwie prześciga ona imaginację barbarzyńców. Kryminalista gorszy jest od dzikiego. Filantrop wymyśla katusze nieznane w Persji i w Chinach. Kat perski skazuje na śmierć głodową. Trzeba było filantropa, aby wymyślić śmierć z samotności. Na tym właśnie zasadza się męka więzienia celkowego. Jest ona niezrównana w swej długości i okrucieństwie. Na szczęście więzień szaleje i obłąd odbiera mu świadomość męczarni. Usiłuje się usprawiedliwić tę ohydę utrzymując, że trzeba ustrzec skazanego przed złymi wpływami innych zbrodniarzy i uniemożliwić mu nadal czyny niemoralne lub zbrodnicze. To rozumowanie jest zbyt głupie, żeby je posądzić o obłąd.

— Ma pan słuszność — rzekł pan Mazure. — Ale nie bądźmy niesprawiedliwi dla naszych czasów. Rewolucja dokonała reformy sądowniczej i znacznie polepszyła los więźniów. Więzienia za dawniejszych rządów były przeważnie ciemne i smrodliwe.

— Prawda — odparł pan Bergeret — od najdawniejszych czasów ludzie byli źli i okrutni i mieli przyjemność w dręczeniu nieszczęśliwych. Ale póki nie było filantropów, torturowano ludzi tylko z prostego uczucia nienawiści i zemsty, a nie dla poprawy ich obyczajów.

— Zapomina pan — odrzekł pan Mazure — że wieki średnie znały filantropię, najohydniejszą filantropię duchową. Na tę nazwę bowiem zasługuje istota świętej inkwizycji. Trybunał ten wydawał na stos heretyków z czystego miłosierdzia. Kiedy inkwizycja paliła ciało, czyniła to dla ocalenia duszy.

— Ani nie mówiła, ani nie myślała tego — odpowiedział pan Bergeret. — Wiktor Hugo, to prawda, sądził, że Torquemada³⁶ kazał palić ludzi dla ich własnego dobra, aby za cenę krótkiego cierpienia zapewnić im szczęśliwość wiekuiłą. Zbudował na tej idei dramat cały lśniący od kontrastów. Ale ten pogląd utrzymać się nie da. Nie pojmuję, jak mąż tak uczony jak pan, wykarmiony na tyłu starych pergaminach, mógł dać uwieść się kłamstwu poety. Prawdą jedynie jest to, że trybunał inkwizycji oddawał heretyka sądom świeckim i odcinał od Kościoła chory członek, z obawy, aby całe ciało nie zostało nim zarażone. Z członkiem odciętym działo się zaś wedle woli bożej. Taki jest duch inkwizycji. Jest on straszny, ale nie romantyczny. Święty trybunał postępował w myśl tego, co pan słusznie nazywa filantropią duchową, jedynie z „pojednanymi”, których miłosierdzie nie skazywało na dożywotnie więzienie i zamurowywało dla dobra ich duszy. Ja myślałem przed chwilą tylko o więzieniach cywilnych, takich, jakie istniały w wiekach średnich i w czasach nowożytnych aż do panowania Ludwika XIV.

— To prawda — rzekł pan de Terremonde — że system celkowy nie dał tych wszystkich dobrych wyników, na które liczone w trosce o umoralnienie więźniów.

— System ten — rzekł doktor Fornerol — wywołuje często poważne choroby umysłowe. Chcąc być sprawiedliwym, muszę dodać, że zbrodniarze skłonni są do zaburzeń tego rodzaju. Utrzymuje się dziś, że każdy zbrodniarz jest osobnikiem zwyrodniałym. Dzięki uprzejmości pana Osjana Colot mogłem zbadać naszego mordercę Lecoeura. Znalazłem u niego znamiona patologiczne... Układ zębów, na przykład, jest anormalny. Wnioskuje stąd o zmniejszonej odpowiedzialności.

— Jednak — rzekł pan Bergeret — jedna z sióstr Mitrydata miała dwa rzędy zębów w każdej szczęce. Brat mimo to uważał ją za duszę wzniosłą. Kochał ją tak czule, że ściągany przez Lukullusa, uciekając, niewolnikowi-niemowicie kazał ją udusić, aby nie dostała się żywa w ręce Rzymian. Nie zawiodła czci, jaką miał dla niej brat. Przyjęła stryzynek z radosnym spokojem, mówiąc: „Dzięki niech będą bratu, że wśród gnębiących go trosk nie zapomniał o mojej czci”. Widzicie z tego przykładu, że nawet z dwoma rzędami zębów można mieć duszę bohaterską.

— Lecoeur — rzekł doktor — ma jeszcze inne cechy osobliwe, które dla uczonego nie są bez znaczenia. Jak wielu zbrodniarzy z urodzenia, ma i on stępiłą wrażliwość. Mogłem go badać i pod tym względem. Tatuowany jest na całym ciele. I doprawdy zadziwiająca jest lubieżna wyobraźnia, która wpłynęła na wybór scen i przedmiotów rysowanych na jego skórze.

— Doprawdy? — spytał pan de Terremonde.

— Byłoby dobrze — rzekł doktor Fornerol — gdyby skórę tego osobnika, należycie spreparowaną, zachowano w naszym muzeum. Ale nie zamierzam, moi panowie, mówić wam o treści tych tatuażów, lecz o liczbie ich i rozmieszczeniu na ciele. Niektóre fazy takiego tatuowania musiały sprawiać pacjentowi ból tak silny, że tylko z trudnością wytrzymałby go osobnik obdarzony wrażliwością normalną.

— Przepraszam, tu się pan myli — rzekł pan de Terremonde. — Widać, że nie zna pan mego przyjaciela Jilly. A jest on przecież dość znany. Jilly w młodości swej, w roku 1885 czy 86, z przyjacielem swym lordem Turnbridge odbył podróż naokoło świata na pokładzie jachtu „Old Friend”. Jilly daje słowo honoru na to, że przez całą drogę, czy to w czasie pogody, czy też w czasie burzy, ani on, ani lord Turnbridge nawet na minutę nie wyszli na pokład, lecz uporczywie siedzieli w kajucie, zapijając szampana w towarzystwie starego żeglarza z marynarki królewskiej, który od jakiegoś naczelnika tasmańskiego szczepu nauczył się tatuowania. Stary ten żeglarz podczas podróży wytatuował obydwóch przyjaciół od szyi aż do pięt. I Jilly powrócił do Francji pokryty polowaniem na lisy, na które składa się nie mniej i nie więcej niż trzysta dwadzieścia cztery postacie mężczyzn, kobiet, koni i psów. Pokazuje on je chętnie w knajpie po dobrej kolacji w dobrym towarzystwie. Otóż nie wiem, czy wrażliwość mego przyjaciela Jilly jest anormalna. Ale zapewniam pana, że jest on bardzo miłym chłopcem i porządnym człowiekiem i że niezdolny jest...

³⁶ Wiktor Hugo (...) sądził, że Torquemada — mowa o Torquemadzie, wydanym w r. 1882 dramacie V. Hugo. [przypis redakcyjny]

— Ale — zapytał pan Bergeret — skoro myślicie, doktorze, że istnieją urodzeni zbrodniarze, i skoro z badania wydaje się wam, że odpowiedzialność czeladnika rzeźniczego Lecoeura jest, według słów waszych, ograniczona przez wrodzoną dyspozycję do zbrodni, czyż słuszne jest, by go gilotynowano?

Doktor wzruszył ramionami.

— Cóż mamy z nim robić?

— Zaiste — odrzekł pan Bergeret — los tego indywiduum mało mnie obchodzi. Ale przeciwny jestem karze śmierci.

— Niech nam pan przedstawi swoje argumenty, panie Bergeret — rzekł archiwista Mazure, który uwielbiał rok 93, rok Terroru, i przypisywał gilotynie rodzaj tajemniczej władzy i piękna moralnego. — Ja jestem za zniesieniem kary śmierci dla przestępców zwykłych, a za przywróceniem jej w sprawach politycznych.

Na to wyznanie obywatelskich przekonań nadszedł Jerzy Frémont, inspektor sztuk pięknych. Pan de Terremonde naznaczył mu spotkanie w księgarni Paillota i mieli zwiedzić razem dom królowej Małgorzaty. Pan Bergeret spojrzał z pewnym lękiem na pana Frémont i uczuł się bardzo małym wobec tak znakomitej osoby. Nigdy nie lękał się idei, lecz był nieśmiały wobec ludzi.

Pan de Terremonde nie miał klucza od domu, posłał więc Leona, a pana Jerzego Frémont zaprosił do kąta starych ksiąg i podając mu krzesło, rzekł:

— Pan Bergeret właśnie wychwala nam więzienia z czasów Ludwików.

— Bynajmniej — odrzekł pan Bergeret, nieco zmieszany — bynajmniej. Były to kloaki. Nieszczęśliwi żyli w nich przykuci do ściany. Ale nie byli sami, mieli towarzyszy. Mieszczanie, panowie, panie odwiedzali ich. Wizyty te były jednym z siedmiu uczynków miłosiernych. Nikt nie próbuje czynić tego dzisiaj. Zresztą regulamin nie pozwalałby na to.

— Prawda — rzekł pan de Terremonde — odwiedzanie więźniów było niegdyś w zwyczaju. Mam w zbiorach rycinę Abrahama Bosse³⁷. Przedstawia ona szlachcica w kapeluszu z pióropuszem i damę, w staniku z brokateli i w stroiku z weneckiej koronki, na progu lochu, w którym roją się nędzarze, na pół okryci wstrętnymi łachmanami. Rycina ta jest jedną z cyklu siedmiu drzeworytów, które posiadam w starym wydaniu. Trzeba się jednak wystrzeżać, bo od niedawna odbijane są one również w miedziorytach.

— Odwiedzanie więźniów — rzekł Jerzy Frémont — było dość często przedmiotem sztuki chrześcijańskiej we Włoszech, Flandrii i Francji. Silnie, realistycznie ujął ten przedmiot della Robbia na fryzie z barwnej glinki, niby bogata opaska otaczającym szpital w Pistoii... Czy pan zna Pistoję, panie Bergeret?

Profesor musiał wyznać, że nie był we Włoszech.

Pan de Terremonde, stojąc nieopodal drzwi, dotknął ramienia pana Frémont.

— Panie Frémont, spójrz pan na plac, na prawo od kościoła. Zobaczysz pan najładniejszą kobietę w naszym mieście.

— To pani de Gromance — rzekł pan Bergeret. — Czarująca kobieta.

— Daje dużo do mówienia o sobie — dodał pan Mazure. — Jest z domu Chapon. Ojciec jej był komornikiem i największym sknerą i lichwiarzem w departamencie. A ona ma doprawdy typ arystokratyczny.

— To, co nazywają typem arystokratycznym — rzekł Jerzy Frémont — jest czystym wytworem wyobraźni. Z punktu widzenia etnografii jest on taką samą fikcją jak typ klasycznej bachantki lub muzy. Zapytywałem siebie nieraz, jak wytworzył się typ kobiety arystokratycznej, taki, jaki utrwalił się w pojęciu powszechnym. Pochodzi on, zdaje mi się, z bardzo różnych pierwiastków realnych. Wśród nich wymienilibym artystki dramatyczne, aktorki z dawnego Gymnase i Théâtre Français, te z bulwaru de Crimée i z Porte-Saint-Martin, które ludowi naszemu, chciwemu widowisk, od stu lat przedstawiają tysiące księżniczek i wielkich dam. Trzeba też wziąć pod uwagę modelki, według których nowocześni malarze odtwarzają królowe i księżne w obrazach historycznych i rodzajowych. Nie należy też lekceważyć świeższego, mniej rozległego, lecz bardzo czynnego wpływu żywych manekinów u wielkich krawców, tych pięknych, wysokich dziewcząt, dobrze noszących toalety. Wszystkie te aktorki, modelki i panny z magazynu pochodzą

³⁷ Bosse, Abraham (1602–1676) — malarz i grafik francuski. [przypis redakcyjny]

z gminu. Wnioskuje stąd, że typ arystokratyczny jest utworzony jedynie z wdzięku plebejuszek. Nie ma zatem nic dziwnego, że typ ten odnaleźć można w pani de Gromance, z domu Chapon. Ma ona dużo wdzięku i co jest rzadkością w waszych miastach o spiczastych brukach i błotnistych chodnikach, ładnie chodzi. Podejrzewamy tylko, że ma za szczupłe biodra. To wielki brak!

Pan Bergeret uniósł nos znad trzydziestego ósmego tomu *Historii powszechnej odkryć i podróży* i z podziwem spojrzął na tego paryżanina o rudej, jakby płomienistej brodzie, chłodno, surowo oceniającego delikatną urodę i ponętne kształty pani de Gromance.

— Teraz, gdy znam pański gust — rzekł pan de Terremonde — przedstawię pana mojej ciotce de Courtrai. Jest ona grubo ciosana i siadać może tylko w pewnym fotelu rodzinnym, który od trzystu lat uprzejmie przyjmuje w swe bezmierne, szeroko otwarte ramiona wszystkie sędziwe matrony rodu Courtrai-Maillan. Co do twarzy zaś, odpowiada ona kształtom, o których mówię, i przypuszczam, że się panu spodoba. Ciotka Courtrai ma twarz czerwoną jak pomidor, z dość pięknym blond wąsem, któremu pozwala zwisać niedbale. Ach, typ ciotki Courtrai nie jest typem waszych aktorek, modelek, manekinów!

— Z góry już czuję dużo upodobania do szanownej ciotki pańskiej — rzekł pan Frémont.

— Dawniejsza szlachta — zauważył pan Mazure — wiodła życie dzisiejszych bogatych rolników. Musiała też być do nich podobna.

— To prawda — rzekł doktor Fornerol — że rasa marnieje.

— Tak pan sądzi? — zapytał pan Frémont. — W XV i XVI wieku kwiat rycerstwa we Francji i Włoszech musiał być bardzo drobny i wątły. Zbroje książęce z końca wieków średnich i z epoki Odrodzenia, artystycznie kute, z przedziwnym kunsztem cyzelowane, są tak wąskie w ramionach i cienkie w pasie, że człowiek dzisiejszy byłby w nich skrępowany. Robione były prawie wszystkie dla ludzi szczupłych i małego wzrostu. Portrety francuskie z XV wieku i miniatury Jehana Foucquet przedstawiają ludzi raczej skarłowaciałych.

Leon powrócił z kluczem. Był bardzo ożywiony.

— To jutro — rzekł do swego chlebobawcy. — Deibler i jego pomocnicy przyjechali pociągami o wpół do czwartej. Zaszli do Hotelu Paryskiego. Nie chciano ich przyjąć. Stanęli w oberży Pod Błękitnym Koniem u stóp zbocza Duroc, w oberży bandytów.

— Prawda, słyszałem w prefekturze — rzekł Frémont — że jutro w waszym mieście będzie egzekucja. Wszyscy o tym mówią.

— Ma się tak mało rozrywek na prowincji — rzekł pan de Terremonde.

— Ale ta jest obrzydliwa — zauważył pan Bergeret. — To legalne morderstwo zazwyczaj odbywa się po nocy. Po co to jeszcze robić, jeśli się tego wstydzić trzeba? Prezydent Grevy w istocie zniósł karę śmierci, nigdy bowiem do niej nie dopuszczał. Postępował bardzo mądrze. Czemuż następcy jego nie naśladowali tego przykładu? Bezpieczeństwo jednostek w nowoczesnych społeczeństwach nie spoczywa na groźbie karni. Kara śmierci została zniesiona w kilku państwach Europy, a mimo to zbrodnie nie są tam częstsze niż w krajach, w których istnieje jeszcze to nieczne prawo. Tam nawet, gdzie trwa jeszcze ten zwyczaj, słabnie on i zanika. Nie ma już ani siły, ani znaczenia. Jest niepotrzebną obrzydliwością. Przeżył swą zasadę. Idee sprawiedliwości i prawa, które niegdyś z godnością strącały głowy, są też bardzo zachwiane przez nauki płynące z wiedzy przyrodniczej. Ponieważ kara śmierci widocznie zamiera, rozum nakazuje dać jej skonać.

— Ma pan rację — rzekł pan Frémont. — Kara śmierci stała się nieznośna, odkąd nie wiąże się z nią idea pokuty, idea na wskroś teologiczna.

— Prezydent pewnie by ulaskawił — poważnie wtrącił Leon — ale zbrodnia była zbyt ohydna.

— Prawo łaski — rzekł pan Bergeret — było jednym z atrybutów prawa boskiego. Król stosował je dlatego, że był ponad sprawiedliwością ludzką jako przedstawiciel Boga na ziemi. Przywilej ten, gdy przeszedł z króla na prezydenta Republiki, stracił swój charakter zasadniczy i swą prawowitość. Stanowi on odtąd funkcję sędziowską stojącą poza sprawiedliwością, nie zaś ponad nią, ustanawia jurysdykcję arbitralną, nieznaną prawodawcy. Stosowanie jego jest dobre, gdy ocala życie nieszczęśliwym. Ale zauważcie, że stało się ono absurdem. Miłosierdzie króla było miłosierdziem samego Boga. Czyż można wyobrazić sobie pana Feliksa Faure wyposażonego w atrybuty boskości? Pan Thiers,

który nie uważał się za pomazańca bożego i który istotnie nie był koronowany w Reims, przełał prawo łaski na komisję, której polecono być miłosierną w jego imieniu.

— Była nią umiarkowanie — rzekł pan Frémont.

Młody żołnierz wszedł do księgarni i zażądał *Sekretarza doskonałego*.

— Resztki barbarzyństwa — rzekł pan Bergeret — snują się jeszcze w nowoczesnej cywilizacji. Na przykład nasz kodeks wojskowy w bliskiej przyszłości uczyni nas wstrętnymi. Kodeks ten został opracowany dla hord zbrojnych opryszków, które trapiły Europę w XVIII wieku. Utrzymany on został przez Republikę 92 roku i systematycznie ułożony w pierwszej połowie naszego stulecia. Zastąpiono żołdaków narodem, ale zapomniano zmienić kodeks. Nie można przecie myśleć o wszystkim. Te prawa okrutne, wydane dla rozbójników, stosuje się dziś do wylękłych, młodych wieśniaków, do dzieci miast, którymi można by łatwo kierować łagodnością. I wydaje się to tak naturalne!

— Nie rozumiem pana — rzekł pan de Terremonde. — Nasz kodeks wojskowy, przygotowany, zdaje mi się, za Restauracji, datuje się dopiero od drugiego Cesarstwa. Około 1875 roku przerobiono go i zastosowano do nowej organizacji armii. Nie może więc pan powiedzieć, że zrobiony jest dla armii z czasów dawnych rządów.

— Doskonale powiedzieć to mogę — odrzekł pan Bergeret — skoro kodeks ten jest tylko kompilacją rozporządzeń dotyczących się armii za Ludwika XIV i Ludwika XV. Wiadomo, czym były owe wojska: zbiorowiskiem werbowników i zaciężnych; była to ładowa odmiana galerników, którzy, podzieleni na grupy, pozostawiali na żołdzie młodych panów, nieledwie dzieci. Karność tych hufców utrzymywano ciągłymi groźbami śmierci. Wszystko się zmieniło; żołnierze monarchii i obydwóch Cesarstw ustąpili miejsca licznej i dobrodusznej gwardii narodowej. Nie trzeba już obawiać się ani gwałtów, ani buntów. A jednak śmierć za byle co grozi tej potulnej trzódce wieśniaków i robotników, źle przebranych za żołnierzy. Kontrast tych łagodnych obyczajów z okrutnymi prawami jest prawie śmieszny. Zastanowiwszy się trochę, przyznano by, że równie śmieszne, jak ohydne jest karać śmiercią przewinienia, na których ukrócenie wystarczyłyby proste kary policyjne.

— Ale — rzekł pan de Terremonde — dzisiejsi żołnierze mają broń tak samo jak dawniej. I trzeba przecie, żeby oficerowie, nieliczni i bezbronni, zapewnili sobie posłuszeństwo i szacunek większej liczby ludzi mających karabiny i kule. W tym rzecz cała.

— Stary to przesąd — rzekł pan Bergeret — wierzyć w konieczność kar i w to, że najostrzejsze są najskuteczniejsze. Kara śmierci za czynną obrazę zwierzchnika pochodzi z czasów, kiedy oficerowie byli innej krwi niż żołnierze. Kary te zostały zachowane w armiach Republiki. Brindamour, zostawszy generałem w roku 1792, obyczaje dawnego systemu zastosował w służbie Rewolucji i wspaniałomyślnie rozstrzeliwał ochotników. Brindamour, jako generał Rzeczypospolitej, przynajmniej wojował i bił się dzielnie. Szło o to, by zwyciężyć. Szło nie o życie człowieka, lecz o ocalenie ojczyzny.

— Generałowie II roku — rzekł pan Mazure — z tak nieubłaganą surowością karali szczególnie kradzieże. W armii północnej żołnierz z pułku strzelców został rozstrzelany za zamianę swego starego kapelusza na nowy. Dwóch doboszów, z których starszy miał lat osiemnaście, rozstrzelano przed frontem wojsk za kradzież drobnych klejnotów u starej wieśniaczki. To był wiek bohaterski.

— W wojskach republikańskich — rzekł pan Bergeret — rozstrzeliwano codziennie nie tylko maruderów, lecz i rokoszan. Żołnierze ci, tak później wysławiani, traktowani byli jak zbrodniarze, z tą różnicą, że im rzadko dawano jeść. Prawda, że czasami miewali trudne usposobienie. Dowodem tego trzystu kanonierów z 33 półbrygady, którzy w IV roku pod Mantuą zażądali żołdu, nastawiając armaty przeciw swym generalom. To były zuchy, z którymi nie można było żartować. Potrafiliby, w braku nieprzyjaciół, nadziać na piki pół tuzina swych dowódców. Taki jest temperament bohaterów. Ale Dumanet³⁸ nie jest jeszcze bohaterem. Pokój ich nie wytwarza. Sierżant Bridoux nie ma się czego obawiać w spokojnych koszarach. A jednak rad jest z tego, że może sobie powiedzieć, iż żołnierz, gdyby podniósł nań rękę, byłby rozstrzelany przy dźwiękach orkiestry. Jest to niewspółmierne na tle naszych obyczajów, zwłaszcza w czasie pokoju, lecz nikt nie po-

³⁸*Dumanet* — zabawny typ żołnierza, spopularyzowany we Francji przez karykatury i utwory sceniczne; po raz pierwszy ukazuje się w wodewilu braci Cogniard *Trójkolorowa kokarda*, granym w r. 1831. [przypis redakcyjny]

myśli o tym. Co prawda, wyroki śmierci wydawane przez sądy wojenne są wykonywane tylko w Algierze, w samej Francji unika się tych wojskowo-muzycznych przedstawień. Wszyscy zgadzają się na to, że wywołałyby złe wrażenie. Jest to milczące potępienie kodeksu wojskowego.

— Niech się pan strzeże — rzekł pan de Terremondre — uwłaczać dyscyplinie.

— Gdyby pan widział kiedy — rzekł pan Bergeret — nowych rekrutów wchodzących po jednym na podwórze koszarowe, przestałby pan mniemać, że dla utrzymania w karności tych baranich dusz potrzebna jest ciągła groza śmierci. Oni smutnie marzą o przetrzymaniu swoich trzech lat, jak się wyrażają, i sierżant Bridoux byłby do łez wzruszony ich potulną uległością, gdyby nie był zmuszony straszyć ich, żeby cieszyć się własną potęgą. Nie znaczy to, by sierżant Bridoux urodził się gorszym niż każdy przeciętny człowiek. Ale jako niewolnik i despota jest on podwójnie znieprawiony; nie wiem, czy Marek Aureliusz jako podoficer nie tyranizowałby żołnierzy. Bądź co bądź, tyrania ta wystarcza do utrzymania uległości zaprawnej chytrą, która jest najpotrzebniejszą cnotą żołnierza w czasie pokoju. Dawno, dawno już nasze kodeksy wojskowe z ich narzędziami śmierci powinny być złożone w muzeach okropności obok kluczy Bastylli i kleszczy inkwizycji.

— Spraw armii dotykać można tylko z niezmierną przezornością — rzekł pan de Terremondre. — Armia jest bezpieczeństwem, jest nadzieją. Jest też szkołą obowiązku. Gdzież zresztą, jak nie w niej znaleźć zaparcie się siebie i poświęcenie!

— Prawda — rzekł pan Bergeret — że ludzie uważają za pierwszy obowiązek społeczny nauczyć się systematycznie zabijać swoich bliźnich i że u ludów cywilizowanych sława uzyskana za rzezie przewyższa wszystkie inne. Zresztą, niewielkie to we wszechświecie nieszczęście, że człowiek jest nieuleczalnie zły i szkodliwy. Bo ziemia jest kroplą błota w przestrzeni, a słońce bańką gazu, która się wkrótce wypali.

— Widzę — odparł pan Frémont — że nie jest pan pozytywistą, bo lekko traktuje wielkiego fetysza.

— Cóż to za wielki fetysz? — zapytał pan de Terremondre.

— Wiadomo panu — odpowiedział pan Frémont — że pozytywiści uważają człowieka za zwierzę uwielbiające. August Comte zatroszczył się o zadowolenie potrzeby tego wielbiącego zwierzęcia i po długim namyśle dał mu fetysza. Ale obrał Ziemię, nie Boga. Nie dlatego, że był ateuszem. Przeciwnie, uważał istnienie pierwiastka stwarzającego za bardzo prawdopodobne. Tylko, według jego zdania, Bóg był za trudny do poznania. I uczniowie jego, ludzie bardzo religijni, uprawiają kult zmarłych, ludzi pożytecznych, kobiety i wielkiego fetysza: Ziemi. Pochodzi to stąd, że ci wierzący tworzą plany szczęścia ludzkiego i zajęci są urządzeniem naszej planety dla naszej szczęśliwości.

— Będą mieli dużo do roboty — rzekł pan Bergeret — i aż nadto widać, że są optymistami. Są nimi w dużym stopniu i to usposobienie ich umysłu zadziwia mnie. Trudno jest pojąć, by ludzie rozumni i myślący, jak oni, żywili nadzieję, że kiedyś można będzie uczynić znośnym pobyt na tej maleńkiej kuli, która, niezręcznie wirując około żółtego, już na wpół ściemniałego słońca, dźwiga nas jak robactwo na spleśniałej swej powierzchni. Wielki fetysz nie wydaje mi się wcale godny uwielbienia.

Doktor Fornerol pochylił się do ucha pana de Terremondre'a i rzekł:

— Bergeret musi mieć jakieś prywatne przykrości, że tak na cały świat narzeka. Uważanie wszystkiego za złe nie jest naturalne.

— Oczywiście — odpowiedział pan de Terremondre.

XII

Ciemne konary wiązków na placu zabaw zaledwie zaczynały okrywać się bladą i nikłą jak pył zielenią. Na zboczu wzgóрка, uwieńczonego starymi murami, kwitnące drzewa sadów wychylały białe i krągłe lub nastrzępione i różowe korony na jasne i drżące światło dnia, uśmiechające się w przerwach między dwiema ulewami. W dali rzeka, zasilona wiosennymi deszczami, płynęła biała i naga, muskając szereg smukłych topoli okalających jej łożysko, rzeka lubieżna, niezwalczona, płodna, wieczna, prawdziwa bogini, jak w czasach, gdy żeglarze Galii rzymskiej składali jej ofiary z miedzianych pieniążków i na jej cześć przed świątynią Wenery i Augusta wznosili wotywną kolumnę z grubo rzeźbio-

na łodzią z wiosłami. Wszędzie, w szeroko otwartej dolinie, na prastarej ziemi, drżały nieśmiałe, piękne pędy corocznej młodości.

Pan Bergeret przechadzał się sam wolnym, nierównym krokiem pod drzewami placu zabaw. Szedł z duszą niepewną, rozpierzchłą, starą jak świat i młodą jak kwiecie jabłoni, bezmyślną a pełną niejasnych obrazów, smutną i pożądaną, łagodną, niewinną, lubieżną, stroskaną; szedł, wlokąc swe znużenie i goniąc za Złudzeniami i Nadzieją o nieznanym mu nazwie, kształcie, rysach.

Zbliżając się do ławki, na której zwykł siadać w porze letniej o wieczornej godzinie, gdy ptaki milkną w gałęziach, ławki, na której nieraz chwile odpoczynku dzielił z księdzem Lantaigne, pod wspaniałym wianem przysłuchującym się ich poważnej rozmowie, spostrzegł, że nieudolna ręka świeżo nakreśliła kredą kilka słów na zielonej poręczu ławki. Zaniepokoił się w obawie, że wyczyta swe nazwisko, tak znane teraz łobuzom miejskim. Ale szybko się uspokoił. Był to napis erotyczny i pamiątkowy, którym Narcyz treściwie i prosto, lecz grubiańsko i nieprzystojnie opiewał rozkosze doznane na tej ławce w objęciach Ernestyny, zapewne pod osłoną pobłażliwej nocy.

Pan Bergeret już miał zająć zwykle miejsce, skąd popłynęło tyle jego szlachetnych i pogodnych myśli, gdzie tak często na jego wezwanie przybywały wdzięczne zwroty, gdy pomyślał nagle, że nie wypada porządnemu człowiekowi siedzieć publicznie obok sprośnego pomnika poświęconego Wenerze ulic i ogrodów. Odwrócił się od upamiętnionej ławki i oddalając się, pomyślał:

„O próżna chęci sławy! Chcemy żyć w pamięci ludzkiej. Chcemy, aby znano nasze miłości i rozkosze, nasze smutki i nienawiści. Narcyzowi zdaje się, że dopełnieniem jego triumfu nad Ernestyną jest to, by świat się o tym dowiedział. Z taką myślą Fidiasz nakreślił drogie mu imię na dużym palcu nogi Jowisza Olimpijskiego. O duchowa potrzeba wyjawiania się, okazywania na zewnątrz! «Dziś na tej ławce Narcyz!...» A jednak — myślał dalej pan Bergeret — obłuda jest pierwszą cnotą człowieka cywilizowanego, kamieniem węgielnym społeczeństwa. Ukrywanie myśli jest dla nas konieczne jak noszenie sukien. Człowiek mówiący wszystko, co i jak myśli, byłby równie niepojęty w mieście, jak człowiek chodzący nago. Gdybym na przykład u Paillota, gdzie przecie rozmowa jest dość swobodna, powiedział, jakie fantazje snuje mój umysł, jakie myśli roją mi się po głowie, niby chmary czarownic na miotłach wlatujących do komina, gdybym opisał, w jaki sposób przedstawia mi się pani de Gromance, jakie jej nieprzystojne przypisuję pozy, jak mi się ukazuje w wizji nierozumniejszej, dziwaczniejszej, potworniejszej, bardziej chimerycznej i znieprawionej, tysiąckroć bardziej szyderskiej³⁹ i nieprzystojnej niż poza owej sławnej figury przedstawionej w scenie Sądu Ostatecznego, w północnym portyku Św. Eksuperego, przez genialnego robotnika, który, nachylony nad piekłem, widział chyba uosobioną Lubieżność, gdybym dokładnie opisał me osobliwe marzenia, przypisano by mi ohydny manię; a jednak wiem, że jestem człowiekiem porządnym, z natury skłonny do myśli przyzwoitych; życie i rozmyślanie nauczyły mnie zachowywać miarę, skromność; poświęcam się jedynie spokojnym rozkoszom umysłowym, jestem wrogiem wszelkich nadużyć i nienawidzę rozpusty jak potworności”.

Gdy tak szedł, snując te dziwne myśli, spostrzegł na placu zabaw księdza Lantaigne, rektora seminarium, i księdza Tabarit, kapelana więziennego. Rozmawiali żywo. Ksiądz Tabarit trząsł swym długim ciałem, zakończonym małą, spiczastą główką, i kanciastą ręką zdawał się podpierać ciężar swych słów, a ksiądz Lantaigne, z brewiarzem pod pachą, z podniesioną głową, z piersią naprzód podaną, słuchał pilnie, patrząc w dal, poważny, z wargami ściśniętymi między obwisłymi policzkami, których uśmiech nigdy nie poruszył.

Na ukłon pana Bergeret ksiądz Lantaigne odpowiedział skinieniem ręki i przyjaznym powitaniem.

— Panie Bergeret, niech pan pozostanie. Ksiądz Tabarit niedowiarków się nie boi.

Ale kapelan więzienny zajęty swą myślą nie przerywał przemowy:

— Któż wraz ze mną nie byłby wzruszony tym, co widziałem? To biedne dziecię szczerością swego żalu, prostotą i prawdą swych uczuć chrześcijańskich było dla nas wszystkich budującym przykładem. Zachowanie, spojrzenie, mowa, cała jego osoba zdradzały łagodność, pokorę, zupełne poddanie się woli boskiej. Do końca był obrazem najbardziej

³⁹szyderski — dziś: szydlerczy. [przypis edytorski]

pocieszającym, przykładem najzbawienniejszym. Szczera skrucha, rozbudzenie wiary zbyt długo uspięnej w jego sercu, ostatni, najwyższy poryw ku Bogu litościwemu, takie były owoce mych nauk i napomnień.

Staruszek rozrzewniał się z łatwą szczerością dusz czystych, lekkomyślnych i próżnych. Prawdziwa boleść mąciła jego wielkie, wypukłe oczy i marszczyła krótki, czerwony nos. Po chwili wzdychania rzekł, zwracając się tym razem do pana Bergeret:

— Ach, panie! W mej smutnej pracy nie brak cierni. Ale też za to ile owoców! W swym długim życiu nieraz już wyrывałem nieszczęśliwych ze szponów czyhającego na nich czarta. Ale żaden z nieszczęśliwych, którym na śmierć towarzyszyłem, nie był tak budujący w ostatnich chwilach, jak młody Lecoeur!

— Co! — zawołał pan Bergeret. — Ksiądz mówi to o mordercy wdowy Houssieu? Czyż nie wiadomo?...

Miał już wymówić to, co jednogłośnie stwierdzali świadkowie egzekucji, a mianowicie, że delikwenta przywieziono pod nóż gilotyny już umarłego ze strachu. Zatrzymał się, nie chcąc zmartwić staruszka, który ciągnął dalej:

— Bez wątpienia, nie wiódł długich rozmów, nie szafował głośnymi objawami. Ale gdyby pan słyszał jego westchnienia i jęki, którymi swój żal wyrażał! W bolesnej drodze z więzienia na rusztowanie, gdym przypomniał mu pamięć matki i przywołał wspomnienie pierwszej komunii, płakał rzewnymi łzami.

— Na pewno wdowa Houssieu nie umarła tak przykładowo — rzekł pan Bergeret.

Ksiądz Tabarit, usłyszawszy to zdanie, potoczył wyłupiastymi oczyma ze wschodu na zachód. Miał zwyczaj nie w sobie, lecz na zewnątrz szukać rozwiązania zagadnień metafizycznych. I nieraz, gdy tak zamyślał się przy stole, stara służąca, zwiedziona jego miną, mawiała: „Szuka ksiądz korka od flaszki, księżę kapelanie? Trzyma go ksiądz w ręku”.

Wtem bląkające się spojrzenie księdza Tabarit spoczęło na tęgim, brodatym jegomościu w kostiumie cyklisty, przechodzącym przez plac zabaw. Był to Euzebiusz Boulet, naczelny redaktor „Latarni”, dziennika radykalnego. Natychmiast, pożegnawszy szybko profesora i rektora seminarium, ksiądz Tabarit wielkimi krokami dopędził dziennikarza, uklonił mu się i wyjmując z kieszeni paczkę zmiętych papierów, oddał mu je drżącymi rękoma. Były to sprostowania i notatki uzupełniające o ostatnich słowach młodego Lecoeura. Zaczynał ten ksiądz u schyłku życia i cichego kapłaństwa stał się chciwy reklamy, żądny artykułów i wywiadów.

Widząc biednego staruszka o ptasiej głowie, podającego swoje gryzmoły dziennikarzowi, ksiądz Lantaigne nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Widzi pan — rzekł do pana Bergeret — duch wieku zepsuł nawet tego człowieka zmierzającego do grobu długą ścieżyną cnót i zasług; starzec ten, pod każdym innym względem skromny i pokorny, jest chciwy rozgłosu. Gwałtem chce, by o nim pisano choćby w dzienniku antyklerykalnym.

I ksiądz Lantaigne, już zaniepokojony tym, że jednego ze swoich wydał nieprzyjacielowi, dodał żywo:

— Nie ma w tym nic złego. Jest to śmieszność, nic więcej.

Po czym zamilkł i powrócił do swego smutku.

Ksiądz Lantaigne, obdarzony geniuszem rozkazywania, pociągnął pana Bergeret ku ławce, na której zazwyczaj siadywali. Obojętny na pospolite fenomeny, przez które ludziom zwykłym ukazuje się świat zewnętrzny, nie raczył zauważyć erotycznego napisu o Narcyzie i Ernestynie, wielkimi literami nakreślonego kredą na poręczy ławki; siadając z uduchowionym spokojem, zakrył plecami trzy czwarte tego monumentu epigraficznego. Pan Bergeret zasiadł obok księdza Lantaigne, rozłożywszy uprzednio gazetę na poręczy w taki sposób, aby zakryć część tekstu najbardziej wymowną, którą według niego był czasownik, oznaczający, jak mówią gramatycy, istnienie przymiotu w podmiocie. Ale, nie zauważywszy nawet tego, zastąpił jeden napis drugim. Dziennik bowiem zawierał grubymi literami zaznaczone zawiadomienie o jednym ze zdarzeń pospolitych w naszym życiu parlamentarnym od czasu pamiętnego triumfu instytucji demokratycznych. Zmiany pór roku i korowód godzin z regularnością astronomiczną przyniosły tej wiosny serię skandalów. W tym miesiącu stało przed sądem kilku deputowanych. Dziennik, roz-

łożony przez pana Bergeret, podawał tłustym piśmem wzmiankę: „Senator w Mazas⁴⁰. Aresztowanie pana Laprat-Teulet”. Choć fakt sam przez się nie miał w sobie nic dziwnego i zdradzał jedynie prawidłowe działanie instytucji⁴¹, pan Bergeret sądził, że ogłaszanie go tak na ławce placu zabaw w cieniu tych więzów, pod którymi czcigodny pan Laprat-Teulet tyle razy kosztował zaszczytów, jakich demokracje udzielać umieją najlepszym obywatelom, zakrawałoby na bezczelność. Tutaj to — na tym placu, z okazji świąt państwowych lub lokalnych czy też najrozmaitszych uroczystych inauguracji, na trybunie obitej szkarłatem, pod pękiem sztandarów — pan Laprat-Teulet, siedząc po prawicy prezydenta Republiki, wypowiadał owe słowa tak celnie wykazujące dobrodziejstwa systemu rządowego i zalecające jednak cierpliwość pracowitym i wiernym masom. Laprat-Teulet, republikanin pierwszej doby, był od dwudziestu pięciu lat wszechwładnym i szanowanym wodzem oportunistów w departamencie. Posiadał od lat i prac parlamentarnych, trwał w rodzinnym swym mieście jakby dąb trójkolorowymi opaskami zdobny. Zbogacił⁴² swych przyjaciół i zrujnował nieprzyjaciół. Był powszechnie szanowany. Był dostojny i łagodny. Corocznie przy rozdawaniu nagród pisał dzieciom o swym ubóstwie. I mógł się uważać za biednego, nie czyniąc sobie tym żadnej krzywdy, bo nikt nie wierzył temu i nikt nie wątpił, że pan Laprat-Teulet jest bardzo bogaty. Znano źródła jego majątku, wiadomo było, jakimi tysiącami dróg jego inteligencja i praca sprowadzały mu pieniądze. Wiedzano, ile mu przyniosły przedsięwzięcia oparte na politycznym kredycie, ile koncesje zapewnione przez jego wpływ parlamentarny. Gdyż był znakomitym deputowanym-aferzystą, doskonałym mówcą-finansistą. Przyjaciele jego wiedzieli równie dobrze, lepiej może od jego nieprzyjaciół, co otrzymał był za Panamę, co skądinąd. Rozumny, umiarkowany, niepragnący nadużywać uśmiechów losu, ten wielki pradziad pracowitej i inteligentnej demokracji, przed dziesięciu laty za pierwszym podmuchem burzy zrezygnował z wielkich interesów; opuścił nawet Palais-Bourbon i usunął się do Luksemburgu⁴³, do tej wielkiej rady gminnej Francji, gdzie ceniono jego mądrość i przywiązanie do Republiki. Tam trwał silny i zarazem ukryty. Przemawiał tylko w łonie komisji. Ale i tam rozwijał świetne zdolności, od dawna sprawiedliwie oceniane przez kosmopolitycznych książąt finansów. Pozostawał mężnym obrońcą systemu fiskalnego zainaugurowanego przez rewolucję i opartego, jak wiadomo, na wolności i sprawiedliwości. Popierał kapitał z rozrzucającym wrzuceniem dawnych bojowników. Nawet monarchiści czcili w panu Laprat-Teulet duszę ukojoną, prawdziwie konserwatywną, ducha opiekuńczego własności indywidualnej.

— Ma on uczciwe zasady — mawiał pan de Terremonde — szkoda, że dźwiga brzemień niejasnej przeszłości.

Ale pan Laprat-Teulet miał nieprzyjaciół nastających na jego zgubę. „Zasłużyłem na te nienawiści, broniąc powierzonych mi interesów...” — mawiał z godnością.

Nieprzyjaciele prześladowali go nawet wśród poważnych ścian senatu, gdzie nieszczęścia czyniły go jeszcze bardziej dostojnym, poznał on bowiem ciężkie czasy i znajdował się niegdyś o włos od zguby z winy pewnego ministra sprawiedliwości, który nie należał do syndykatu i niebacznie wydał go zdumionym sądom. Ani czcigodny pan Laprat-Teulet, ani sędzia śledczy, ani obrońca, ani prokurator Republiki, ani nawet sam minister sprawiedliwości nie przewidzieli i nie rozumieli przyczyn tych częściowych i nagłych wybuchów maszyny rządowej, tych katastrof śmiesznych jak zawalenie się budy jarmarcznej i strasznych jako wynik tego, co mówca sprawiedliwością samą nazywał, tych wstrząsów, które od czasu do czasu strącały z foteli najbardziej szanowanych prawodawców obu Izb. Pana Laprat-Teulet wprawiało to w melancholijne zdumienie. Nie pogardził jednak obroną przed sądem. Ocaliła go wielka ilość wpływowych przyjaciół. Następnie umorzono sprawę, co Laprat-Teulet z początku przyjął skromnie, a potem obnosił w świecie urzędowym jako najoczywistsze świadectwo swej niewinności. „Pan Bóg — mawiała pani Laprat-Teulet, wielka dewotka — niezmierną łaskę roztoczył nad moim mężem. Dzięki Jego świętej opiece umorzono sprawę, czego mąż mój tak pragnął”. Wiadomo, że pa-

⁴⁰Mazas — więzienie paryskie w latach 1850–1898. [przypis tłumacza]

⁴¹instytucji — dziś raczej forma D.lm: instytucji. [przypis edytorski]

⁴²zbogacić się — dziś: wzbogacić się. [przypis edytorski]

⁴³Opuścił Palais-Bourbon i usunął się do Luksemburgu — tj. przeszedł z Izby Deputowanych do senatu. [przypis tłumacza]

ni Laprat-Teulet z wdzięczności kazała zawiesić w kaplicy Św. Antoniego, jako *ex voto*, marmurową płytę z napisem: „Za niespodziewaną łaskę — małżonka chrześcijańska”.

To zawieszenie kroków prawnych uspokajało przyjaciół pana Laprat-Teulet, ów tłum dawnych ministrów i wysokich funkcjonariuszy, którzy wraz z nim przeżyli wiek heroiczny i lata powodzenia, poznali siedem krów chudych i siedem krów tłustych. To umorzenie zapewniało bezpieczeństwo. Tak sądzono przynajmniej, tak sądzić można było przez lat kilka. Nagle, przez nieszczęśliwy wypadek, przez jedną z tych katastrof skradających się głucho i chytrze, przypominającą tworzenie się szpar w starych, zniszczonych okrętach, bez żadnej racji politycznej ani moralnej, w pełni zażywanego szacunku, stary sługa demokracji, syn swych dzieł, którego wczoraj jeszcze prefekt Worms-Clavelin na zjeździe za wzór stawiał dla całego departamentu, człowiek ładu i postępu, obrońca kapitału i społeczeństwa, zażyły przyjaciel dawnych ministrów i prezydentów — senator Laprat-Teulet odstawiony został do więzienia z całą gromadą członków parlamentu. Miejscowy dziennik oznajmiał tłustym drukiem: „Senator w Mazas. Aresztowanie pana Laprat-Teulet”. Pan Bergeret, człowiek delikatny, odwrócił dziennik na poręczu ławki.

— No — rzekł szorstkim głosem ksiądz Lantaigne — piękne widzimy rzeczy. Czy sądzi pan, że to tak może trwać dalej?

— Co ksiądz rektor chce przez to powiedzieć? — zapytał pan Bergeret. — Czy mówię ksiądz o skandalach parlamentarnych? Przede wszystkim, co to jest skandal? Skandal jest to efekt wywołany zazwyczaj przez rozgłoszenie czynu ukrytego. Bo ludzie ukrywają się po to jedynie, by postępować sprzecznie z obyczajami i opinią. Toteż skandale istnieją we wszystkich krajach i od niepamiętnych czasów, ale występują tym liczniej, im rząd jest mniej zdolny do zachowania tajemnicy. A jasne jest, że tajemnice stanu nie są dobrze strzeżone w ustroju demokratycznym. Wprost na odwrót, wielka liczba współników i silne nienawiści partyjne wywołują to głuchą, to głośnieją zdradę tych tajemnic. Trzeba też wziąć pod uwagę, że system parlamentarny pomnaża przeniewierców, dopuszczając wiele ludzi do możliwości sprzeniewierzeń. Ludwika XIV wspaniale i na wielką skalę okradał jeden tylko Fouquet⁴⁴. Za naszych dni, podczas gdy smętny prezydent, którego obrano dla godnej reprezentacji, pokazywał wzruszonym departamentom swe milczące oblicze niby twarz brodatej Minerwy, niezliczone czeki spadały na Palais-Bourbon. Zło samo w sobie nie jest straszne. Mnóstwo ludzi potrzebujących pieniędzy bierze udział w rządach. Wymagać, by wszyscy byli nieposzlakowanie uczciwi, byłoby to żądać zbyt wiele od natury ludzkiej. Zresztą to, co skromni złodzieje wzięli, jest drobnostką wobec tego, co nasza administracja uczciwie marnuje każdej godziny. Jeden punkt tylko zanotować należy. Jest on pierwszorzędnej wagi. Dawniejsi poborcy, między innymi Pauquet de Sainte-Croix, który za Ludwika XV gromadził bogactwa całej prowincji w pałacu, w którym mieszkam dziś, „w trzeciej izbie”, ci bezwstydni grabiciele okradali swą ojczyznę i swego panującego, ale nie byli w zмовie z nieprzyjaciółmi monarchii. Inaczej ma się sprawa z naszymi amatorami czeków z parlamentu; ci wydają Francję obcej potęgze: finansjerze. Bo prawdą jest, że finansjera jest dziś potęgą i można powiedzieć o niej to, co niegdyś mawiano o Kościele, że jest wśród narodów znamienitym cudzoziemcem. Nasi przekupieni przez nią mandatariusze są więc złodziejami i zdrajcami. Są nimi co prawda nędźnie, drobnostkowo. Każdy pojedynczo wzbudza litość; ale ich mnogość mnie przeraża.

Tymczasem czcigodny pan Laprat-Teulet jest w Mazas. Odwieziono go tam w dniu, kiedy przydywać miał w naszym mieście na bankiecie Obrony Społecznej. Aresztowanie to, dokonane nazajutrz po jednogłośnie zatwierdzeniu postępowania sądowego w stosunku do członków parlamentu, zaskoczyło pana prefekta Worms-Clavelin; na przewodniczącego w bankiecie wyznaczył pana Dellion, człowieka powszechnie uznanej uczciwości, zabezpieczonej dziedzicznym majątkiem i czterdziestoma laty przemysłowych powodzeń. Prefekt biadał wprawdzie nad tym, że najwyższe osobistości w Republice bezustannie narażone są na podejrzenia, cieszył się jednak, iż obywatele w jego okręgu są na tyle rozsądni, by mimo wszystko pozostali wierni rządowi, który celowo chciano zdyskredytować. Właściwie wypadki parlamentarne, jak ten, który po tylu innych przytrafił się teraz,

⁴⁴Fouquet, Nicolas (1615–1680) — superintendent skarbu Ludwika XIV; zgromadził ogromny majątek, który częściowo zresztą obracał na popieranie pisarzy i artystów; malwersacje jego odkrył minister Colbert; osadzony w więzieniu, Fouquet umarł po dziesięciu latach. [przypis redakcyjny]

zupełnie nie wzruszają pracujących warstw ludności departamentu. Pan Worms-Clavelin myślał bystro. Słusznie dowierzał niewzruszonemu spokojowi tych dusz niedziwiałych się niczemu. Bezimienny tłum, który spokojnie wyczytał w dziennikach, że senator Laprat-Teulet jest pod śledztwem, z równym spokojem dowiedziałby się, że go wysłano jako ambasadora na jeden z dworów europejskich. Tak samo można przewidzieć, że jeżeli sąd odeśle go z powrotem do senatu, pan Laprat-Teulet w roku przyszłym zasiadać będzie w komisji budżetowej. Nie ulega wątpliwości, że po wygaśnięciu mandatu będzie miał za sobą nadal wszystkich swych wyborców.

Ksiądz Lantaigne przerwał panu Bergeret:

— Dotyka pan słabej strony, tu odzywa się próżnia. Społeczeństwo przyzwyczaja się do niemoralności i nie rozróżnia już zła od dobra. W tym leży niebezpieczeństwo. Widzimy bez ustanku, jak coraz nowe hańby toną w milczeniu. Istniała opinia publiczna za monarchii i za Cesarstwa. Nie ma jej dzisiaj. Naród ten, dawniej gorący i szlachetny, stał się naraz niezdolny zarówno do nienawiści, jak do miłości, zachwyty i wzdardy.

— Mnie również uderza ta przemiana — rzekł pan Bergeret — i na próżno szukam jej przyczyn. W baśniach chińskich często jest mowa o bardzo brzydkim, niezgrabnym chochliku, mającym umysł subtelny i lubiącym się bawić. Wsuwa się on w nocy do zamieszkanego domu, otwiera jak pudełko czaszkę śpiącego, wyjmując mózg, wkłada inny na jego miejsce i cichutko znów zamyka czaszkę. Wielką przyjemność sprawia mu chodzenie od domu do domu i zamienianie mózgów. I gdy o świcie wesoły chochlik jest już z powrotem w swej świątyni, mandaryn budzi się z myślami kurtyzany, a młoda dziewczyna z marzeniami starego, nałogowego palacza opium. Zapewne chochlik taki musiał zamienić mózgi francuskie na mózgi jakiegoś cierpliwego, bezślawego narodu, żyjącego bez pragnień, obojętnego na prawo i bezprawie, bo przecież nie jesteśmy już do siebie podobni.

Pan Bergeret zatrzymał się i wzruszył ramionami, po czym znów mówił z łagodnym smutkiem:

— Jest to skutek wieku i nieomylny znak mądrości i rozwagi. Dzieciństwo umie się dziwić, młodość gniewać. Z postępem lat nabyliśmy tej spokojnej obojętności, którą powinienem być lepiej ocenić. Nasz stan moralny zapewnia nam spokój na wewnątrz i na zewnątrz.

— Tak pan myśli? — zapytał ksiądz Lantaigne. — Nie przeczuwa pan bliskich katastrof?

— Życie samo przez się jest katastrofą — odpowiedział pan Bergeret. — Jest katastrofą nieustanną, skoro objawiać się może jedynie w środowisku niestałym i skoro zasadniczym warunkiem jego istnienia jest niestałość wytwarzających go sił. Życie narodu, jak życie jednostki, jest nieustanną ruiną, szeregiem upadków, łańcuchem nędzy i zbrodni. Nasz kraj, najpiękniejszy na świecie, istnieje, jak tyle innych, tylko odnawianiem swych nieszczęść i błędów. Żyć znaczy niszczyć. Działać znaczy szkodzić. Ale właśnie w obecnej chwili, księżo rektorze, najpiękniejszy kraj świata działa umiarkowanie i nie żyje życiem bujnym i gwałtownym. To mnie uspokaja. Ja nie widzę znaków na niebie. Dla ojczyzny swej nie przewiduję bliskich, nadzwyczajnych, specjalnych nieszczęść. Ksiądz rektor zapowiada katastrofę: czy nadciąga ona z wewnątrz czy z zewnątrz?

— Niebezpieczeństwo jest wszędzie — odrzekł ksiądz Lantaigne. — A pan się śmieje.

— Nie mam wcale chęci do śmiechu — odrzekł pan Bergeret. — Mało mam do tego powodów na tym świecie, na tym globie zimnym, którego wszyscy mieszkańcy są albo śmieszni, albo wstrętnei. Ale nie sądzę, by jakiś potężny sąsiad zagrażał pokojowi i naszej niepodległości. Nie przeszkadzamy nikomu. Nie niepokoimy wszechświata. Jesteśmy rozsądni i umiarkowani. Naczelnicy naszego rządu nie mają, o ile wiem, nieumiarkowanych zamysłów, których wynik, zły lub dobry, zapewniłby nam potęgę lub zadecydował o naszej zgubie. Nie domagamy się hegemonii nad światem. Jesteśmy znośni dla Europy. To pomyślna nowość. Niech ksiądz się przyjrzy na wystawie w sklepie materiałów piśmiennych pani Fusillier portretom naszych mężów stanu. Czy choć jeden z nich wygląda na to, by miał rozpętać wojnę i pustoszyć świat? Ich inteligencja, równie jak ich władza, są umiarkowane. Nie mogą popełniać wielkich błędów. Dzięki Bogu, nie są wielkimi ludźmi; możemy więc spać spokojnie. Zresztą spostrzegam, że Europa, choć uzbrojona, nie jest wojownicza. Jest w wojnie wspaniałość, która dzisiaj już się nie

podobą. Dziś każemy się bić Turkom i Grekom. Są oni przedmiotem gry spekulacyjnej; stawia się na nich jak na konie lub koguty. Ale nikt się sam bić nie będzie. August Comte w 1840 roku zapowiadał koniec wojen. Proroctwo nie było, rzecz naturalna, dosłownie i ściśle prawdziwe. Ale być może, że wzrok tego wielkiego męża przenikał daleką przyszłość. Stan wojenny był stanem właściwym Europie feudalnej i monarchicznej. Feudalizm umarł, a starożytny despotyzm obalony został przez nowe siły. Pokój i wojna nie zależą dziś od absolutnych władców, lecz raczej od wielkich międzynarodowych finansów, potężniejszych niż mocarstwa. Finansjera europejska jest usposobiona pokojowo. Przynajmniej pewne jest, że nie lubi wojny dla wojny samej i dla uczucia rycerskości. Zresztą bezpłodna jej siła trwać będzie niedługo i zginie kiedyś w rewolucji robotniczej. Europa socjalistyczna będzie prawdopodobnie zwolenniczką pokoju, bo niewątpliwie będziemy mieli Europę socjalistyczną, księżę rektorze Lantaigne, jeśli socjalizmem nazwać można to zbliżające się niewiadome.

— Kochany panie — rzekł ksiądz Lantaigne — jedna tylko Europa jest możliwa, Europa chrześcijańska. Wojny będą zawsze. Pokój nie jest z tego świata. Obyśmy odzyskać mogli męstwo i wiarę naszych przodków! Jako bojownik Kościoła wojującego wiem, że walka będzie trwała do końca świata. I błagam Boga, podobnie jak Ajaks u waszego starego Homera, by walczyć w świetle dziennym. Nie przeraża mnie ani liczba, ani zwycięstwo naszych wrogów, lecz bezsilność i wahanie panujące w naszym własnym obozie. Kościół jest armią; smuci mnie, gdy widzę pustki i luki w jej froncie bojowym. Oburzam się, gdy widzę, jak niewierni wciskają się do jej szeregów i jak czciciele Złotego Cielca ofiarowują się na strażników sanktuarium. Ubolewam, patrząc na nawiązaną wkoło mnie walkę, walkę w ciemnościach sprzyjających nikczemnikom i zdrajcom. Niech się stanie wola boża! Pewien jestem ostatecznego triumfu, porażki zbrodni i błędów w dniu ostatnim, który będzie dniem sprawiedliwości i chwały!

Wstał, we wzroku jego była niewzruszona pewność. Ale jego ciężkie policzki zwisały. Duszę miał smutną. Nie bez powodu. Pod jego zwierzchnictwem seminarium zmierzało ku ruinie. Kasa miała deficyty. Rzeźnik Lafolie, któremu winien był dziesięć tysięcy dwieście trzydzieści jeden franków, upominał się o pieniądze i ksiądz Lantaigne cierpiał w swej dumie, przewidując upomnienia Jego Eminencji kardynała arcybiskupa. Mitra, ku której wyciągał rękę, zniknęła. Widział już, jak go wysyłają do jakiejś nędznej parafii wiejskiej. Zwracając się do pana Bergeret, rzekł:

— Straszne klęski grożą Francji w bliskiej przyszłości.

XIII

Pan Bergeret uczęszczał teraz do kawiarni; co wieczór spędzał godzinkę w kawiarni de la Comédie. Ogólnie miano mu to za złe. On tymczasem zażywał tam światła i ciepła niemałżeńskiego, czytał gazety i widział twarze ludzkie, widział ludzi, którzy mu źle nie życzyli. Czasem spotykał tam pana Goubin, swego ulubionego ucznia od czasu zdrady pana Roux. Pan Bergeret miał zawsze kogoś, kogo wołał od innych, bo estetyczna jego dusza lubiła wybierać. Wołał pana Goubin. Ale go nie kochał wcale. I istotnie nie był on miły; cienki, nikły, ubogi w ciało, włos i myśli, ze słabymi oczyma ukrytymi za szklami okularów, ze ściśniętymi wargami, miał wszystkie małostki, nogę i duszę panienki. Z tą powierzchownością, był ścisły i drobiazgowy. Do całej jego drobnej istoty przyłączone były ogromne, potężne uszy, jedyna obfitość tego ubogiego organizmu. Pan Goubin miał przyrodzony dar i kunszt słuchania. Pan Bergeret rozmawiał z panem Goubin przy dwóch kuflach piwa i brzęku kamieni domina, w które grano przy sąsiednich stolikach. O jedynastej profesor wychodził. Uczeń siedział za jego przykładem. I szli razem przez pusty plac Teatralny, przez ciemne ulice, aż do smutnej ulicy Tintelleries.

Szli tak pewnej nocy majowej. Powietrze, splukane ulewnym deszczem, było lekkie, świeże, pełne woni ziemi i liści. Na niebie, bez chmur i bez księżyca, zawieszane były w ciemnej głębi tysiączne kropelki światła białego jak diamenty, gdzieś tam migotały kropelki błękitne lub czerwone. Pan Bergeret, podnosząc oczy w niebo, przyglądał się gwiazdom. Dość dobrze rozpoznawał gwiazdozbiory. Z kapeluszem na tył głowy zsuniętym, z głową prostopadle zadartą, końcem laski ukazał zmęczonym oczom pana Goubin Bliźnięta i wyrecytował wiersz:

Albo gwiazdy Heleny pod twoim okrętem
Uciszą falę jońską,
Lub też na brzegach Paestum...

Potem nagle rzekł:

— Wie pan, panie Goubin, że otrzymujemy z Ameryki wiadomości o Wenus i że wiadomości te są niedobre?

Pan Goubin posłusznie zamierzał szukać Wenus na niebie, ale mistrz uprzedził go, że już zaszła.

— Piękna ta gwiazda — rzekł — jest piekłem lodu i ognia. Wiem o tym od samego Kamila Flammariona, który co miesiąc we wspaniałych artykułach poucza mnie o wszystkich nowościach na niebie. Wenus ciągle zwraca ku słońcu tę samą stronę swej tarczy, podobnie jak Księżyc ku ziemi. Tak zapewnia astronom z góry Hamiltona. Jeśli mu wierzyć, jedna z półkul Wenus jest rozpaloną pustynią, druga pustkowiem lodów i ciemności. I piękna ta pochodnia naszych ranków i wieczorów jest pełna ciszy i martwoty.

— Doprawdy? — rzekł Goubin.

— Taki jest pogląd w tym roku — odrzekł pan Bergeret. — Co do mnie, chcę przypuszczać, że życie, takie przynajmniej, jakie objawia się na Ziemi, ten stan, w jakim występuje substancja zorganizowana w roślinach i zwierzętach, jest skutkiem zaburzenia w gospodarstwie planety, produktem chorobliwym, trądem, czymś obrzydliwym, czego nie ma na gwieździe zdrowej i prawidłowo zbudowanej. Ta myśl podoba mi się i pociesza mnie, bo ostatecznie smutno jest pomyśleć, że wszystkie te słońca zapalone nad naszymi głowami ogrzewają planety równie nędzne jak nasza i że we wszechświecie do nieskończoności rozmnożyły się cierpienia i brzydota. Nie możemy mówić tu o planetach zależnych od Syriusza, Aldebarana, Altaira lub Węgi, o tych ciemnych pyłkach, które towarzyszyć by mogły ognistym kroplom rozsianym po niebie, bo o ich istnieniu nic nie wiemy; że są, przypuszczamy tylko na zasadzie analogii między naszym słońcem i innymi gwiazdami wszechświata. Ale gdy wytwarzamy sobie pojęcie o gwiazdach naszego układu, to nie znaczy, że życie rozpościera się tam w tych niecznych kształtach, jakie ogólnie przybiera na Ziemi. Nie można przypuszczać, że takie jak my istoty znajdują się w chaosie olbrzymów Saturna i Jowisza. Uran i Neptun nie mają ani światła, ani ciepła. Ten rozkład, który zwiemy życiem organicznym, nie może się tam wytworzyć. Również nieprawdopodobne jest, żeby objawiało się ono w pyłe gwiezdny rozsianym w eterze między orbitami Marsa i Jowisza, w pyłe, który jest tylko rozproszoną materią jakiejś planety. Mała sfera Merkurego, zdaje się, jest zbyt gorąca, by wytwarzać pleśń, jaką jest życie zwierzęce i roślinne. Księżyc jest światem martwym. Dowiadujemy się teraz, że temperatura Wenus nie nadaje się dla organizmów. Zatem w całym układzie planetarnym nie moglibyśmy wymyślić nic podobnego do człowieka, gdyby nie Mars, który na swoje nieszczęście jest nieco podobny do naszej planety. Posiada powietrze i wodę, ma więc, niestety, z czego wytwarzać takie jak my zwierzęta.

— Czy to prawda, że Mars jest podobno zamieszkały? — zapytał pan Goubin.

— Ta myśl nieraz korciła umysły ludzkie — odrzekł pan Bergeret. — Żle znamy postać tej planety. Wydaje się ona zmienna i nieustannie wzburzona. Widać na niej kanały, których pochodzenie i istota są nam nieznane. Nie jesteśmy więc pewni, czy ten sąsiedni świat jest trapiiony i zbiedzczyszczony istotami podobnymi do ludzi.

Pan Bergeret doszedł do bramy domu. Zatrzymał się i rzekł:

— Chcę wierzyć, że życie organiczne jest złem właściwym tylko naszej szkaradnej, małej planecie. Rozpaczliwe byłoby wierzyć, że istoty, które zjadają inne i same są zjadane, istnieją w całym nieskończonym wszechświecie.

XIV

Paryski fiakier pani Worms-Clavelin minął Porte Maillot przez najeżoną pikami bramę, u której drzemali zakurzeni poborcy rogatkowi i ogorzałe kwiaciarki. Fiakier minął na prawo Avenue de la Révolte, której niskie, zapleśniałe, na czerwono malowane szynki i nędzne altanki zwrócone są ku kapliczce świętego Ferdynanda, przycupniętej u krawędzi

Obraz świata

Zło, Obraz świata

fosy, porosłej wiałą i wydeptaną trawą. Zapisał się potem w ulicę des Charles, smutną, wiecznie zakurzoną od tłuczenia kamieni, i wtoczył się w szerokie, cieniste aleje dawnego parku królewskiego, podzielonego teraz na małe posiadłości prywatne. Na ustronnej szosie, po której między dwoma rzędami klonów ciężko toczył się powóz, chwilami ciszę i samotność ożywiający cykliści. Jasno ubrani, pochyleni, głową tnąc powietrze, mknęli ruchem zwinnego zwierzęcia. Ich szybki bieg, podobny do spiesznego lotu wielkich ptaków, łatwość ich ruchów i sprawność zakreślanych krzywizn miały w sobie swoisty wdzięk i piękno. Między pniami drzew przydrożnych pani Worms-Clavelin dostrzegała przez sztachety trawniki, sadzawki, podjazdy, daszki w dość miernym guście. I marzyła o tym, żeby na stare lata móc zamieszkać w jednym z takich domów o jasnym tynku i łupkowym dachu, była bowiem rozsądna i umiarkowana w pragnieniach i czuła rodzące się w duszy zamięłowanie do kur i królików.

Tu i ówdzie w szerokich alejach wznosiły się duże budynki, kaplice, zakłady wychowawcze, przytuliska, domy zdrowia, kościół anglikański ze szczytem w stylu sztywnego gotyku i siedziby pobożności o cichej powadze, z krzyżem nad drzwiami i czarnym dzwonem, przy którym zwisałać łańcuszek. Potem fiaker zapisał się w niżej położoną i pustą okolicę zakładów ogrodniczych, gdzie szyby inspektów błyszczą w słońcu wzdłuż piaszczystych ścieżek lub nagle wystrzela śmieszny kiosk, zbudowany przez jakiegoś podmiejskiego architekta, czy też gliniane imitacje pni drzewnych — pomysł specjalisty dekoratora ogrodów. Czuć w tym Bas-Neuilly świeżość bliskiej rzeki, wyziewy wilgotnego gruntu, na którym niedawno jeszcze, jak utrzymują geologowie, stały wody; czuć opary błot, na których wiatr zginał sitowie zaledwie przed tysiącem czy tysiąc pięciuset laty.

Pani Worms-Clavelin wyjrzała przez okno: była blisko celu. Przed nią ukazywały się na końcu alei smukłe szczyty zasadzonych wzdłuż rzeki topoli. To znów widać było życie czynne i gorączkowe. Wysokie mury i dachy o wyrzynanych szczytach następowały po sobie bez przerwy. Fiaker zatrzymał się przed domem w stylu nowoczesnym, budowanym z widoczną oszczędnością, nawet ze skąpstwem, z krzywdą dla sztuki i wdzięku, a jednak porządnym i dość okazałym, opatrzonym mnóstwem wąskich okien, z których kilka, sądząc po kolorowych, w olów oprawnych szybach, było zapewne oknami kaplicy. Na tej fasadzie płaskiej i bez ozdób tradycja sztuki chrześcijańskiej i narodowej bardzo dyskretnie przypominała tylko struktura dachu: wybite w nim były trójkątne okienka zdobne w ornament w kształcie koniczyny. Na frontonie rzeźbiona ampula wyobrażała naczynie, w którym zawarta była krew Zbawiciela, uniesiona w rękawiczce przez Józefa z Arymatei. Było to godło Sióstr Krwi Przenajświętszej. Tę kongregację założyła w 1829 roku pani Maria Latreille. Państwo zatwierdziło ją w 1868 roku dzięki przychylnemu poparciu cesarzowej Eugenii. Siostry Krwi Przenajświętszej poświęciły się wychowywaniu dziewcząt.

Pani Worms-Clavelin wyskoczyła z fiakra, zadzwoniła do drzwi, które otwarły się ostrożnie, nieufnie, i weszła do rozmównicy, a jednocześnie siostra furtianka zawiadomiła przez tubę, że panna Clavelin ma zejść do pani Clavelin, swej matki. W rozmównicy były tylko wypychane włosiem krzesła. Na białej ścianie, w niszy, Najświętsza Panna, malowana pastelowymi tonami, nieco pretensjonalna, w długiej do ziemi szacie, otwierała litościwe dłonie. Pokój duży, zimny, biały, miał w sobie ciszę, porządek, prostotę. Czuło się w nim tajemną, niewidoczną siłę społeczną. Pani Worms-Clavelin z zadowoleniem wdychała powietrze tej poczekalni, powietrze wilgotne, przesycone mdłym zapachem kuchni. Spędziwszy dzieciństwo w krzykliwych szkołkach Montmartre, gdzie zamorusane atramentem i konfiturami dzieci raczą się do syta brzydkimi słowami i ordynarnymi gestami, żywiła niezmierny szacunek dla surowego wychowania arystokratycznego i religijnego. Ochrciła swą córkę, by Janinka mogła być przyjęta do dystyngowanego klasztoru. Myślała sobie: „Janinka będzie lepiej wychowana i będzie mogła lepiej wyjść za mąż”. Janinkę ochrciło w jedenastym roku życia, w wielkiej tajemnicy, gdyż u steru było wtedy ministerstwo radykalne. Później Republika i Kościół zbliżyły się wzajem, ale, aby nie gorszyć radykałów w departamencie, pani Worms-Clavelin ukrywała, że jej córka wychowuje się u zakonnic. Tajemnicę jednak podchwyciono i niejednokrotnie klerykalny dziennik departamentu umieszczał o tym wzmianki. Radca prefektury, pan Lacarelle, zakreślał te notatki niebieskim ołówkiem i podsuwał je prefektowi pod oczy. Prefekt czytał: „Czy prawdą jest, że Żyd-prześladowca, przez masonów postawiony na

czelę administracji okręgu dla zwalczania Boga wśród naszej wierzącej ludności, córkę swą wychowuje w klasztorze?”.

Pan Worms-Clavelin wrzesał ramionami i wrzucił dziennik do kosza. W dwa dni później, jak spodziewać się należało po przeczytaniu pierwszej wzmianki, redaktor katolicki umieścił następujące słowa:

„Zapytywałem tego Żyda, prefekta Worms-Clavelin, czy prawdą jest, że córkę swą każe wychowywać w klasztorze. Ten mason nie odpowiedział mi — nie bez przyczyny — dam więc sam odpowiedź na to zapytanie. Ten bezwstydnym Żyd kazał ochrzcić swą córkę i umieścił ją w katolickim zakładzie wychowawczym. Panna Worms-Clavelin wychowuje się u Sióstr Krwi Przenajświętszej w Neuilly-sur-Seine. Aż miło, jaka szczerość u tych zuchów! Wychowanie świeckie, ateistyczne, zabójcze — to dobre dla ludu, który ich żywi. Niech ludność wie, po której stronie są świętoszki!”

Pan Lacarelle, radca prefektury, zakreślał artykuł niebieskim ołówkiem i kładł rozłożoną gazetę na biurku prefekta, który rzucił ją do kosza. Pan Worms-Clavelin uprzedził dzienniki urzędowe, aby nie wszczynały polemiki. I drobna ta sprawa szła w zapomnienie, w bezdenne zapomnienie, w noc niepamięci, w którą po chwilowym rozgłosie pograżała się kolejno hańby i sławy, zasługi i skandale rządu. Pani Worms-Clavelin, mając na uwadze potęgę i bogactwo Kościoła, energicznie obstawała przy tym, żeby Janinkę oddać zakonnicom, które paniom wszczepiają zbawienne zasady i uczą je dobrych manier.

Pani Worms-Clavelin usiadła, skromnie kryjąc nogi pod suknią, jak błękitno-różowo-biała Madonna w niszy, i końcami palców trzymała za wstążeczkę pudełko czekoladek, które przyniosła dla Janinki. Duża dziewczynka wpadła jak wicher do rozmównicy, smukła w swej czarnej sukience, przepasanej czerwonym sznurem, odznaką klas średnich.

— Dzień dobry, mammo!

Pani Worms-Clavelin przyjrzała jej się z tkliwością macierzyńską, a także z nieobcym sobie instynktem handlarskim, przyciągnęła córkę do siebie, zajrzała w zęby, kazała się wyprostować, skontrolowała kibić, ramiona, plecy. Była zadowolona.

— Mój Boże! Jakaś ty duża! Takie masz długie ręce!

— Mammo, nie onieśmielaj mnie! Już i tak nie wiem, gdzie je podziąć!

Usiadła i złożyła czerwone ręce na kolanach. Odpowiadała uprzejmie, lecz ze znudzeniem na pytania zadawane jej przez matkę, a tyjące się zdrowia, zarządzeń higienicznych, zaleceń co do zażywania tranu.

— A ojciec?

Pani Worms-Clavelin zdziwiła się, że można pytać o jej męża. Nie była w stosunku do męża obojętna, ale nie wyobrażała sobie, żeby można było coś nowego powiedzieć o tym człowieku stałym, niewzruszonym, który nigdy nie chorował i nigdy nie robił i nie mówił nic szczególnego.

— Ojciec? Cóż mu się miało stać? Należymy do ważnych osobistości i nie mamy ochoty nic w tym zmieniać.

Pomyślała jednak, że trzeba by niedługo pomyśleć o jakim przyzwoitym wycofaniu się np. do Izby Skarbowej lub Rady Stanu. I piękne jej oczy zamglily się marzeniem.

Córka zapytała, o czym tak myśli.

— Myślę, że moglibyśmy kiedyś powrócić do Paryża. Lubię Paryż. Ale tu znaczylibyśmy tak mało!

— Przecież ojciec jest zdolny. Siostra Maria od Aniołów powiedziała to w klasie: „Panno Worms-Clavelin, ojciec pani wykazał wielkie zdolności administracyjne”.

Pani Worms-Clavelin potrząsnęła głową.

— Trzeba dużo pieniędzy, żeby na odpowiedniej stopie utrzymać dom w Paryżu.

— Ty, mamusiu, lubisz Paryż, ja lubię wieś.

— Nie znasz wsi, kochanie.

— Ależ, mammo, lubi się nie tylko to, co się zna!

— Jest trochę prawdy w tym, co mówisz.

— A, ty nie wiesz jeszcze, mammo! Dostałam nagrodę za wypracowanie z historii. Siostra Józefina powiedziała, że ja jedna potraktowałam temat gruntownie.

Pani Worms-Clavelin spytała miękko:

— Jaki to był temat?

— Sankcja pragmatyczna.

Pani Worms-Clavelin zapytała, teraz istotnie zdziwiona:

— Co to jest?

— To błąd Karola VII. To nawet jego najważniejszy błąd.

Pani Worms-Clavelin odpowiedź ta wydała się niejasna. Zadowolili się nią jednak, gdyż bynajmniej nie interesowała się historią średniowieczną. Ale Janinka, przejęta wypracowaniem, ciągnęła dalej poważnie:

— Tak, mam. To kapitalny⁴⁵ błąd tego panowania, to jasne naruszenie praw Stolicy Apostolskiej, to zbrodnica kradzież dziedzictwa świętego Piotra. Franciszek I na szczęście naprawił ten błąd... Ale, ale, wiesz, mam? Dowiedzieliśmy się, że guwernantka Alicji to dawna kokota...

Pani Worms-Clavelin z natarczywą energią zapowiedziała córce, żeby z towarzyszkami swymi nie czyniła podobnych odkryć. Rozgniewała się nawet:

— Jesteś po prostu śmieszna, Janinko, używasz pewnych wyrazów, nie zdając sobie sprawy...

Janinka zachowała tajemnicze milczenie, potem nagle dodała:

— Mam, muszę ci powiedzieć, że moje majtki są w okropnym stanie. Wiesz, nigdy nie troszczyłaś się zbyt o bieliznę! Nie robię ci z tego zarzutu; jedni lubią bieliznę, inni suknie lub klejnoty. Ty przepadasz za klejnotami. Ja za bielizną... A, jeszcze odprowadziłyśmy nowennę. Modliłam się szczerze za ciebie i za ojca, wiesz! Uzyskałam cztery tysiące dziewięćset trzydzieści siedem dni odpustu.

XV

— Jestem człowiekiem religijnym — mówił pan de Terremonde — ale słowa wyrzeczone przez ojca Ollivier⁴⁶ w kościele Notre-Dame uważam za niewłaściwe. Jest to zresztą powszechne mniemanie.

— Potępiasz go pan zapewne za to — odrzekł ksiądz Lantaigne — że katastrofę tłumaczył jako naukę daną przez Boga niedowiarstwu i pysze. Zarzucasz mu, że wskazał, jak naród, dotąd wybrany, teraz jest karcony za bunt i odstępstwa. Czyż miał się wyrzec wyjaśnienia tej tragedii?

— Należało zachować przyzwoitość — odparł pan de Terremonde. — Zwłaszcza obecność głowy państwa nakazywała pewną powściągliwość.

— Prawda — rzekł ksiądz Lantaigne — że duchowny ten wobec prezydenta i ministrów Republiki, wobec możnych i bogaczy, twórców lub współników naszych hańb i sromot, odważył się powiedzieć, że Francja sprzeniewierzyła się swemu wiekowemu posłannictwu, gdyż odwróciła się od chrześcijan mordowanych tysiącami i sprzyjać poczęła półksiężycowi kosztem krzyża. Odważył się powiedzieć, że naród, długo wierny, wygnał Boga ze swych szkół i zgromadzeń. Oto co mu pan za zbrodnię poczytuje, pan, panie de Terremonde, jeden z wodzów partii katolickiej w naszym departamencie.

Pan de Terremonde w odpowiedzi zapewnił o swym poświęceniu dla spraw religijnych. Ale trwał przy swym zdaniu. Przede wszystkim nie jest za Grekami, lecz raczej za Turkami, a przynajmniej za spokojem. Jest dużo katolików, którym chrześcijanie na Wschodzie są najzupełniej obojętni. Czyż trzeba było katolików tych obrażać w ich słusznych przekonaniach? Nikt nie jest obowiązany być filohellenem. Papież nim nie jest.

— Szanowny księże rektorze — dodał — słucham księdza zawsze z szacunkiem, ale obstać przy tym, że należało przemawiać bardziej pojednawczo w dniu żałoby i nadziei zarazem, nadziei, która zdawała się prowadzić do pojednania klas...

— I w czasie, kiedy kursy na giełdzie szły w górę, dając świadectwo mądrości Francji i Europy w sprawach wschodnich — dodał ze złośliwym uśmiechem pan Bergeret.

— Istotnie — odparł pan de Terremonde. — Musimy oszczędzać rząd, który zwalcza socjalistów, pod którym idee religijne i konserwatywne zrobiły niezaprzeczone postępy. Prefekt nasz, pan Worms-Clavelin, choć Żyd i mason, okazuje żywą troskliwość o interesy duchowieństwa. Pani Worms-Clavelin kazała ochrzcić swą córkę i umieściła ją

⁴⁵kapitalny — tu: najważniejszy. [przypis edytorski]

⁴⁶ojciec Ollivier (1835–1910) — głośny i modny w swoim czasie kaznodzieja; jego kazanie w katedrze Notre-Dame w Paryżu na temat pożaru w Bazarze ściągnęło nań burzę, gdyż dopatrzone w nim ataku na rząd; władze duchowne zabroniły mu wygłaszać kazania w Notre-Dame. [przypis redakcyjny]

w klasztorze w Paryżu, gdzie odbiera ona doskonale wychowanie. Wiem o tym z pewnością, bo panna Janina Clavelin jest w jednej klasie z moimi siostrzenicami, pannami d'Ansey. Pani Worms-Clavelin jest opiekunką kilku naszych instytucji filantropijnych i mimo swego pochodzenia i stanowiska nie tai sympatii arystokratycznych i religijnych.

— Chętnie panu wierzę — rzekł pan Bergeret. — W ogóle może pan śmiało twierdzić, że w obecnej chwili katolicyzm we Francji ma w plutokracji żydowskiej najsilniejszą podporę.

— Nie myli się pan bynajmniej — odparł pan de Terremonde. — Izraelici szczerze wspomagają instytucje katolickie... Ale w kazaniu ojca Ollivier najczęściej razi to, że niejako przypisuje on Bogu ideę i pomysł katastrofy. Słuchając go, można by sądzić, że sam Bóg podpalił Bazar⁴⁷. Moja ciotka d'Ansey wróciła z nabożeństwa oburzona. Nie pochwali chyba ksiądz rektor podobnych zwrotów, jestem tego pewien.

Ksiądz Lantaigne zazwyczaj nie wszczynął niebacznie dyskusji teologicznych z ludźmi świeckimi, niezdolnymi do podtrzymywania ich. Chociaż namiętnie lubił kontrowersje, jego obyczaje kapłańskie wzbraniały mu tego w tak błahych, jak ta, okazjach. Zachował więc milczenie, a panu de Terremonde odpowiedział pan Bergeret:

— Wolałby pan zapewne, żeby ten mnich wybaczył dobremu Bogu nieszczęście, które zdarzyło się przypadkowo na źle strzeżonym odcinku stworzenia, żeby Wszechmocnemu po katastrofie nadał smutną, skromną, skruszoną minę prefekta policji.

— Żartuje pan ze mnie — rzekł pan de Terremonde. — Ale czyż trzeba było mówić o ofiarach pokutnych i o aniele zagłady? To są pojęcia innego wieku.

— To są pojęcia chrześcijańskie — odrzekł pan Bergeret. — Ksiądz Lantaigne temu nie zaprzeczy.

Ponieważ ksiądz milczał, pan Bergeret mówił dalej.

— W książce, której doktrynę ksiądz Lantaigne pochwała, w znamienitych *Szkicach o obojętności religijnej*⁴⁸, wyłożona jest teoria ekspiacji; radzę panu to przeczytać. Zapamiętałem z niej jedno zdanie i mogę je dość wiernie przytoczyć: „Cięży nad nami — mówi Lamennais — konieczne, nieubłagane prawo, nie możemy usunąć się spod jego władzy: prawem tym jest ekspiacja, oś niewzruszona świata, około której biegą wszystkie tory ludzkości”.

— Bardzo dobrze — rzekł pan de Terremonde. — Ale czy możliwe jest, aby Bóg chciał tak strasznie dotknąć kobiety zacne i miłosierne, jak moja kuzynka Courtrai lub siostrzenice Laneaux i Felissay, tak okrutnie popalone w tym pożarze? Bóg nie jest ani okrutny, ani niesprawiedliwy.

Ksiądz Lantaigne poprawił brewiarz pod pachą i zabierał się do odejścia. Ale rozmyśliwszy się, obrócił się ku panu de Terremonde i podnosząc prawą rękę rzekł poważnie:

— Bóg nie był ani okrutny, ani niesprawiedliwy względem tych niewiast, z których uczynił hostie i podobizny świętej ofiary bez zmyzy. Ale skoro chrześcijanie sami zapomnieli nawet o znaczeniu ofiary, nawet o potrzebie cierpienia, skoro nie znają już najświętszych tajemnic wiary, dziś, by nie rozpaczać o ich zbawieniu, należy się spodziewać groźniejszych jeszcze znaków, straszniejszych napomnień, bardziej naglących ostrzeżeń! Żegnam pana, panie de Terremonde! Pozostawiam pana z panem Bergeret, który wprowadzie nie wyznaje żadnej religii, ale też nie popada w hańbiącą nędzę religii ułatwionej. Przy małym wysiłku inteligencji, nawet nie popartej sercem, igraszką dłań będzie pana pognać.

Rzekł i oddalił się pewnym, sztywnym krokiem.

— Co mu jest — zapytał pan de Terremonde, patrząc za księdzem. — Zdaje mi się, że ma żal do mnie. To człowiek godny szacunku. Ale ma ciężki charakter. Umysł jego gorzknije w ustawicznych klótniach. Poróżnił się z arcybiskupem, z profesorami seminarium, z połową duchowieństwa w diecezji. Bardzo wątpliwe, czy zostanie biskupem. I zaczynam wierzyć, że dla Kościoła i dla niego lepiej będzie, jeżeli zostanie na dotychczas-

Religia, Obyczaje, Bóg,
Ofiara

⁴⁷Bazar Dobroczynny — stworzona w roku 1855 instytucja filantropijna. W r. 1897, podczas przedstawienia kinematograficznego, wybuchł tam pożar. Wśród 1500 obecnych zaczęła się panika, 117 osób zginęło. [przypis redakcyjny]

⁴⁸*Szkice o obojętności religijnej* — dzieło księdza Félicité-Robert de Lamennais'ego (1782–1854). [przypis redakcyjny]

sowym stanowisku. Byłby to biskup niebezpieczny przez swą nietolerancję. Co za dziwna myśl: pochwałać kazanie ojca Ollivier!

— Ja również pochwalam to kazanie — rzekł pan Bergeret.

— To co innego — odrzekł pan de Terremonde. — Pan się tym bawi. Nie jest pan człowiekiem religijnym.

— Nie jestem religijny — odparł pan Bergeret. — Ale jestem teologiem.

— Ja, przeciwnie — rzekł pan de Terremonde — jestem religijny, ale nie jestem teologiem. I oburza mnie, gdy słyszę z ambony, że Bóg kazał nieszczęśliwym kobietom zginąć w płomieniach, by ukarać zbrodnie naszego kraju, który nie kroczy na czele Europy. Czy ojciec Ollivier myśli, że w obecnych warunkach łatwo nam kroczyć na czele Europy?

— Źle byłoby, gdyby tak sądził — rzekł pan Bergeret. — Ale pan, który jest, jak właśnie powiedziano, jednym z wodzów partii katolickiej w departamencie, pan powinien wiedzieć, że wasz Bóg niegdyś w wiekach biblijnych miał żywe upodobanie do ofiar w ludziach i że woń krwi była mu miła. Cieszył się rzezią i lubował w pogromach. Taki był charakter jego, panie de Terremonde. Był chciwy krwi, jak pan de Gromance, który, jak rok długi, stosownie do pory roku, strzelał sarny, kuropatwy, króliki, przepiórki, dzikie kaczkę, bażanty, cietrzewie i kukułki. Brał na ofiarę winnych i niewinnych, wojowników i dziewice. Zdaje się, że bardzo smakowała mu córka Jeftego.

— Myli się pan — rzekł pan de Terremonde. — Dano ją Bogu w ofierze. Ale to była ofiara bezkrwawa.

— Tak się to dziś mówi — rzekł pan Bergeret — przez wzgląd na waszą wrażliwość. Ale zarżnięto ją. Jehowa był szczególnie łasy na świeże mięso. Mały Joas, wychowany w świątyni, dobrze wiedział, w jaki sposób ten bóg lubił dzieci. Kiedy pocziwa Jozabet kładła mu na głowę opaskę królewską, zaniepokoił się niezmiernie i zapytał:

Czyż na ofiarę dzisiaj złożony,
Muszę, jak niegdyś córą Jeftego,
Śmiercią gniew Pana uciszyć⁴⁹?

W owych czasach Jehowa podobny był do swego rywala Chamosa⁵⁰: był dziki, okrutny, niesprawiedliwy. Mawiał: „Po trupach na drogach waszych poznać, żem Pan wasz!”. Niech pan się nie łudzi, panie de Terremonde. Jehowa, przeszedłszy od Żydów do chrześcijan, pozostał gwałtownikiem lubującym się w ludzkiej krwi. Nie przeczę, że teraz, u schyłku wieku, cokolwiek złagodniał i stoczył się nieco po pochyłości lekkiego zobojętnienia, po której staczamy się wszyscy. Przynajmniej przestał sypać groźbami i złorzeczeniami. W chwili obecnej zapowiada swe pomsty tylko przez usta panny Deniseau, której nikt nie słucha. Ale zasady jego są te same co dawniej. Jego system moralny nie uległ zasadniczej zmianie.

— Pan jest wielkim wrogiem naszej religii — rzekł pan de Terremonde.

— Bynajmniej — odrzekł pan Bergeret — ale widzę w niej, to prawda, pewne, że się tak wyrażę, szkopyły intelektualne i moralne. Znajduję w niej nawet okrucieństwa. Ale okrucieństwa te są stare, wyglądkowane przez wieki, utoczone jak kamyczki, zupełnie już stępione. Stały się prawie niewinne. Bardziej obawiałbym się religii nowej, ukształtowanej zbyt wyraźnie. Religia ta, choćby opierała się na najpiękniejszych, na najwyrozumialszych zasadach, funkcjonowałaby z początku z niedogodną surowością, z uciążliwą ścisłością. Wolę zardzewiałą nietolerancję niż wyostrzoną wyrozumiałość religijną. Wszystko zwążywszy, ksiądz Lantaigne nie ma racji ani ja nie mam racji, a pan ma rację, panie de Terremonde. Nad tą starą judeochrześcijańską religią przeszło tyle wieków namiętności ludzkich, tyle nienawiści i miłości ziemskich, tyle barbarzyńskich i wyrafinowanych cywilizacji, to surowych, to lubieżnych, to nienawistnych, to tolerancyjnych, to pokornych, to pysznych, rolniczych, sielskich, rycerskich, kupieckich, przemysłowych, oligarchicznych, arystokratycznych, demokratycznych, że teraz wszystko już jest wyglądkowane. Religie nie mają wpływu na obyczaje i są tym, czym obyczaje je uczynią...

⁴⁹ Czyż na ofiarę (...) uciszyć — cytat z tragedii Racine'a *Atalia* (akt IV, scena I). [przypis redakcyjny]

⁵⁰ Chamos a. Kemosz — wspominane w Biblii bóstwo Amonitów i Moabitów, które próbowano identyfikować z Baalem lub Molochem. [przypis redakcyjny]

Pani Bergeret nie cierpiała samotności i ciszy. Odkąd pan Bergeret nie mówił do niej i żył samotnie, mieszkanie przerażało ją jak grób; — wchodząc doń, bladła. Córki wniosłyby do domu przynajmniej ruch i gwar, tak potrzebny dla jej zdrowia, ale na jesieni, podczas epidemii tyfusowej, odesłała je do ciotki, panny Zoé Bergeret w Arcachon, gdzie przebyły zimę i skąd ojciec nie myślał ich odwoływać w obecnych warunkach. Pani Bergeret była kobietą oddaną całkowicie życiu rodzinnemu. Cudzołóstwo było dla niej tylko wykwi-tem pożycia małżeńskiego, odbłaskiem jej ogniska domowego. Popęłiła je tyleż z dumy matrony, co i z popędów ciała w pełni rozkwitu. Sądziła zawsze, że jej stosunek fizyczny z młodym panem Roux pozostanie ukrytą mieszczańską rozrywką, cudzołóstwem umiarkowanym, które uwarunkowane jest przez stan małżeński, nieodłączne od niego i potwierdza dostojność owej instytucji, którą ceni opinia, uświęcona przez Kościół, i która zapewnia kobiecie bezpieczeństwo osobiste i stanowisko społeczne. Pani Bergeret była małżonką chrześcijańską. Wiedziała, że małżeństwo jest sakramentem, którego trwale i dostojne skutki nie mogą być zniweczone przez błąd taki jak ten, który popełniła; błąd wielki, to prawda, ale możliwy do wybaczenia i odpuszczenia. Nie osądzając nawet swego czynu bardzo jasno, czuła, że występki jej był błahy, prosty, bez złej myśli, bez tej namiętności, która dopiero nadaje błędom wielkość zbrodni i gubi winowajcę. Czuła, że nie była wielką zbrodniarką, lecz że raczej nie miała tym razem szczęścia.

Panu Bergeret podobała się praca, która zajmowała jego umysł nie przyczyniając mu niepokoju i wzburzenia. Doświadczał prawdziwej rozkoszy, kiedy kreślił na cienkich kartonikach drobne i równe linie swego pisma, będące obrazem i świadectwem prawości intelektualnej, jakiej wymaga filologia. W tej radości umysłu uczestniczyły również i jego zmysły, tak dalece bowiem jest prawdą, że dostępne ludziom rozkosze są różnorodniejsze, niż pospolicie o tym się sądzi. Toteż pan Bergeret zażywał cichej rozkoszy, pisząc następujące zdanie:

„Servius sądzi, że Wergiliusz napisał *Attolli malos* zamiast *Attolli vela*; objaśnia to tym, że: *cum navigarent, non est dubium, quod olim erexerant arbores*⁵¹. Ascencjusz przychylił się do opinii Serviusa, zapominając lub nie wiedząc o tym, że na morzu w pewnych okolicznościach opuszcza się maszty statków. Jeśli stan morza był taki, że maszty...”

Pan Bergeret był w tym miejscu swej pracy, gdy Eufemia, otwierając drzwi z trzaskiem towarzyszącym wszystkim jej ruchom, przyszła powtórzyć panu uprzejme słowa pani:

— Pani pyta się, jakie pan chce jeść jajka.

Pan Bergeret w odpowiedzi grzecznie poprosił Eufemię, żeby wyszła, i pisał dalej: „...mogły być narażone na złamanie, spuszczano je wyjmując z ramy, w której pień ich był osadzony...”

Eufemia tkwiła przy drzwiach jak słup, a pan Bergeret dopisał na kartce:

„Kładziono je na rufie, na belce poprzecznej lub koźle”.

— Proszę pana, pani kazała też powiedzieć, że jajka są od Trécula.

— *Una omnes fecere pedem*⁵².

Położył pióro i nagle przejął go smutek. Spostrzegł w tej chwili całą daremność swej pracy. Na swe nieszczęście był dość inteligentny, by znać swą mierność, która chwilami ukazywała mu się na stole między segregatorem a kałamarzem jako osóbką małą, chuda i bez wdzięku. W niej to poznawał siebie i nie lubił się bynajmniej. Chciałby był myśl własną widzieć w postaci nimfy o pełnych biodrach. A ukazywała mu się ona w swym właściwym, nikłym, niepowabnym kształcie. Cierpiał nad tym, bo był subtelny i kochał piękno myśli.

„Panie Bergeret — mówił sobie — jesteś profesorem średniej miary, jesteś inteligentnym, prowincjonalnym wykładowcą uniwersyteckim, humanistą miernym, trzymającym się bezpłodnych osobliwości filologii, jesteś obcy prawdziwej wiedzy lingwistycznej, którą obejmują tylko umysły szerokie, potężne, prosto zmierzające do celu. Panie Bergeret, nie

⁵¹*Attolli malos* zamiast *Attolli vela* (...) *cum navigarent, non est dubium, quod olim erexerant arbores* (łac.) — „Wzniesć maszty” zamiast „wzniesć żagle”... [bo] „skoro płynęli, to niewątpliwie podnieśli uprzednio maszty”. [przypis redakcyjny]

⁵²*Una omnes fecere pedem* (łac.) — wszyscy razem napięli żagiel. (Wergiliusz, *Eneida*, ks. V, w. 830). [przypis redakcyjny]

jestes uczonym, niezdolny jestes ani rozpoznawać, ani klasyfikować zjawisk językowych. Michał Bréal⁵³ nigdy nie wypowie twego lekceważonego nazwiska. Umrzesz bez sławy, a pochwały ludzkie nie będą nigdy pieściły twoich uszu”.

— Proszę pana, proszę pana — natarczywym głosem powtórzyła Eufemia — proszę mi odpowiedzieć. Nie mam czasu czekać. Mam robotę. Pani się pyta, jakie pan chce jeść jajka. Wzięłam je od Trécua. Są świeże, dziś zniesione.

Pan Bergeret, nie odwracając głowy, odpowiedział służącej z nielitościwym spokojem:

— Proszę cię, idź sobie precz i nie wchodź do mego gabinetu, dopóki cię nie zawołam.

I profesor nadzwyczajny wydziału humanistycznego znów popadł w zadumę.

„Szczęśliwy Torquet, nasz dziekan! Szczęśliwy Leterrier, nasz rektor! Żadna nieufność względem siebie, żadna niedyskretna wątpliwość nie mącą ich harmonijnego ducha. Podobni są do starca Mésange, który umiłowany był przez nieśmiertelne boginie, skoro przeżył trzy pokolenia ludzkie i dostał się do Collège de France i do Akademii, niczego nie nauczawszy się od błogosławionych lat swego niewinnego dzieciństwa, a język grecki umiejąc zawsze tak samo jak wtedy, gdy miał lat piętnaście. Zmarł u schyłku tego wieku, wertując jeszcze w swej głowie idee mitologiczne, opiewane w rymach nad jego kołyską przez poetów pierwszego Cesarstwa. Ale ja, z umysłem tak wątłym, jak ów hellenista o imieniu i mózgu ptasim⁵⁴, ja, równie niezdolny do metody i inwencji jak dziekan Torquet i rektor Leterrier, ja, nędznie i próżno tylko igrający słowami, czemuż boleśnie odczuwam swą niezdolność i śmieszną próżność moich przedsięwzięć? Czyżby to było oznaką intelektualnego szlachectwa, znakiem wyższości mej na polu idei ogólnych? Ten *Virgilius nauticus*, z którego powodu osądzam się i potępiam, czyż doprawdy jest moim dziełem, owocem mego umysłu? Nie jestże to praca narzucona memu ubóstwu przez chciwego księgarza do spółki z pretensjonalnymi profesorami, którzy chcą niby wyzwolić wiedzę francuską spod niemieckiej opieki, wznawiają dawną lekką, błahą manierę i narzucają mi igraszki filologiczne w guście 1820 roku? Niech ciężar tej winy spadnie na nich, nie na mnie! Nie zapal do wiedzy, ale chęć zysku kazały mi podjąć się pracy około tego *Virgiliusa nauticusa*, nad którym pracuję trzy lata i za którego otrzymam pięćset franków, mianowicie dwieście pięćdziesiąt przy złożeniu rękopisu i dwieście pięćdziesiąt w chwili wydania tomu zawierającego moją pracę. Chciałem ukończyć wstrętne pragnienie złota. Zgrzeszyłem nie umysłem, lecz charakterem. To zaś zupełnie co innego!”

Tak pan Bergeret wiódł korowód swych lotnych myśli. Eufemia, która nie opuściła swego miejsca przy drzwiach, zawołała po raz trzeci:

— Proszę pana, proszę pana...

Tu głos uwiązł jej w gardle zduszony łkaniem.

Pan Bergeret spojrział wreszcie na nią i ujrzał łzy ściekające po pulchnych, czerwonych i błyszczących policzkach dziewczyny. Eufemia próbowała przemówić; z krtani jej wychodził dźwięk chropawy jak głos rogu, którym wieczorami zwołują się pastuszkowie w jej wiosce rodzinnej. Białe i pulchne, poznaczone różowymi śladami zadrapań, do łokcia gołe ramiona podniosła do twarzy i ogorzałymi rękoma zakryła oczy. Łkania wstrząsały jej wąską, zapadłą piersią i brzuchem zbyt wielkim na skutek choroby gruźliczej, którą przeszła w dzieciństwie i która zniekształciła jej postać. Potem opuściła ramiona, ręce schowała pod fartuch, zdusiła westchnienie i jak tylko słowa zdołały przejść jej przez gardło, krzyknęła szorstko:

— Nie mogę już żyć w tym domu! Nie, nie mogę! To nie jest życie. Wolę odejść niż patrzeć na to, co tu widzę!

Było tyleż złości, co i bólu w jej głosie; patrzyła na pana Bergeret gniewnymi oczyma.

Doprawdy, postępowanie pana oburzało ją. Nie miała w swym sercu wielkiej czułości dla pani Bergeret, która niedawno jeszcze, w dniach dumy i powodzenia, wymyślała jej i upokarzała ją, i nieraz nie dawała mięsa. Wiedziała o winie swej pani i nie myślała, jak pani Dellion i inne panie z miasta, że pani Bergeret jest niewinna. Wraz z odźwierną, roznosicielką chleba i służącą pana Ravanaud znała najdrobniejsze szczegóły tajemnych miłości swej pani z panem Roux. Wiedziała o nich przed panem Bergeret. Nie pochwałała ich zgół. Przeciwnie, potępiała je surowo. Wiedząc, jak się to dzieje, nie widziała nic

⁵³Michel Bréal (1832–1915) — lingwista, profesor w Collège de France i członek Akademii Napisów, zajmował się zwłaszcza studiami nad mitologią i gramatyką porównawczą. [przypis redakcyjny]

⁵⁴ów hellenista o imieniu i mózgu ptasim — *mésange* znaczy: sikora. [przypis redakcyjny]

złego w tym, że na przykład dziewczyna, która jest przecież panią swej osoby, bierze sobie kochanka. Niewiele brakowało, żeby do tego doszło pewnej nocy, po tańcach, nad brzegiem rowu, gdzie z bliska przyparł ją chłopak, chcąc się zabawić. Wiedziała, że wypadek łatwo może się przytrafić. Ale podobne postępowanie u kobiety zamężnej, w poważniejszym wieku, matki dzieciom, oburzało ją. Zwierzyła się któregoś ranka piekarce, że brzydzi się panią. Co do niej samej, nie lubi tego i gdyby tylko ona jedna była na świecie do płodzenia dzieci, świat, mawiała, prędko by się skończył. Jeżeli pani inaczej myśli, może do tego wziąć męża. Eufemia uważała, że pani popełniła wielki, brzydki grzech, ale nie rozumiała, jak można nie odpuścić winy, nawet poważnej, jak można jej nie przebaczyć. W dzieciństwie swym, zanim poszła na służbę do państwa, pracowała z rodzicami w winnicy i w polu. Widziała, jak słońce spalało grona w kwiecie, jak grad w kilka minut zbijał zboża na polu, a następnego roku ojciec, matka, starsi bracia znów hodowali latorośl winną, zasiewali zagony. I to życie cierpliwe i naturalne nauczyło ją, że na tym świecie, to palącym, to mroźnym, to złym, to dobrym, nie ma nic niepowetowanego i że tak jak przebacza się ziemi, należy przebaczać mężowi i niewieście.

Tak postępowali ludzie u nich na wsi, ludzie, którzy przecie nie są mniej warci od ludzi z miasta. Kiedy żona Roberteta, wysoka Leokadia, kupiła parę szelek parobkowi, by zrobić z nią, jak ona chciała, by jej zrobiono, nie była dość ostrożna i Robertet rzecz spostrzegł. Zdyszał kochanków we właściwej chwili i tak sumiennie zbił żonę harapem⁵⁵, że jej raz na zawsze odeszła dalsza ochota. Odtąd Leokadia jest jedną z najporządniejszych kobiet w okolicy, tego mąż nie może jej zarzucić. Toteż trzeba iść prosto do celu, jak Robertet, który wie, jak postępować, i umie rządzić bydłem i ludźmi.

Często bita przez swego zanego ojca, sama prostaczka i brutalna, Eufemia rozumiała gwałtowność i zgodziłaby się na to, by pan Bergeret połamał na grzbiecie swej żony obie szczotki do zamiatania, z których jednej brakowało połowy szczeciny, a w drugiej było jej tyle, co na dłoni. Ta szczotka owiązana ścierką służyła do mycia podłóg w kuchni. Ale że profesor zachowywał długą i milczącą urazę, tego już młoda chłopka nie pojmowała i uważała, że jest to obrzydliwe, przeciwne naturze, wprost szatańskie. Młoda Eufemia tym silniej odczuwała winę pana Bergeret, że postępowanie jego zwiększało i mąciło robotę. Trzeba było raz usłużyć panu Bergeret, który nie chciał jadać z panią, drugi raz — pani Bergeret. Choć pan Bergeret uporczywie ignorował jej istnienie, nie obywała się przecież bez pożywienia. „Jak w oberży” — wzdychała młoda Eufemia. Pani Bergeret nie otrzymywała już pieniędzy od pana Bergeret, więc mówiła do niej: „Obliczysz wydatki z panem”. Eufemia z drżeniem przynosiła wieczorem książeczkę panu, który, nie mogąc nastarczyć zwiększającym się wydatkom, odsyłał ją władczym gestem. Odchodziła przygnębiona przeszkodami przewyższającymi jej rozum. Żyjąc w takich warunkach, traciła wesołość: nie słychać już było w kuchni jej śmiechu i śpiewu, którym towarzyszył stuk rondli, skwierczenie tłuszczu rozlanego na blachę, głuchy huk mięsa siekanego na stole wraz z kawałkami palców. Nie miała już swych radości ani hałaśliwych smutków. Mawiała: „Ja tu zwariuję w tym domu”. Litowała się nad panią Bergeret. Pani ta była teraz dobra dla niej. Spędzały wieczory, siedząc razem pod lampą i zwierając się sobie nawzajem. Z sercem pełnym tych uczuć młoda Eufemia powiedziała panu Bergeret:

— Odchodzę; pan także jest złym człowiekiem. Chcę odejść.

I znowu zaczęła obficie wylewać łzy. Wyrzut ten nie rozgniewał pana Bergeret. Udał, że go nie słyszy. Był zbyt rozumny, by nie wybaczyć prostej dziewczynie tej śmiałości. W duchu uśmiechnął się nawet, albowiem w mrocznych głębiach swej duszy, pod pokrywą rozumnych myśli i pięknych maksym, chował ów instynkt pierwotny, właściwy nawet najłagodniejszym, najbardziej oświeconym ludziom, który każe im się radować, gdy ich ktoś weźmie za istoty dzikie, jak gdyby zdolność szkodenia i niszczenia była najcenniejszą cechą żyjących, ich główną cnotą i najwyższą dobrocią. Po zastanowieniu okazuje się to prawdą; życie utrzymuje się i wzmacnia tylko przez rozlew krwi, toteż najlepsi są ci, co najwięcej mordują. Ci, którzy dzięki właściwościom rasy i pożywienia najsilniejsze zadają ciosy, uznani są za szlachetnych, podobają się kobietom, które pragną zawsze wybierać najsilniejszych i nie potrafią oddzielić w umyśle swym siły zapładniającej od siły niszcycielskiej, są one bowiem istotnie nierozdzielnie związane w przyrodzie. Toteż w medyta-

⁵⁵harap — bicz. [przypis edytorski]

cyjnym swym umyśle, gdy młoda Eufemia głosem gminnym jak bajka Ezopa powiedziała panu Bergeret, że jest złym człowiekiem, zdało mu się, że słyszy szmer pochlebny, który przedłużając prostą przemowę służącej mówi mu: „Wiedz, Lucjanie Bergeret, że jesteś złym w zwykłym znaczeniu tego słowa, czyli zdolnym szkodzić i niszczyć; jesteś w pełni życia, w stanie zdolnym do obrony, w drodze do podbojów. Wiedz, że na swój sposób jesteś olbrzymem, potworem, ludożercą, człowiekiem strasznym”. Ale że skłonny był do wątpienia i nie chciał brać sądów ludzkich bez badania, począł sam siebie badać, chcąc upewnić się, czy jest istotnie taki, jak mówiła Eufemia. Z pierwszego wejrzenia na swą wewnętrzną istotę stwierdził, że, ogólnie wzięwszy, nie jest zły, że przeciwnie, jest człowiekiem litościwym, czułym na cierpienia innych, że sprzyja nieszczęśliwym, miłuje bliźnich, że chciałby spełniać wszystkie ich żądania, wszystkie życzenia zarówno dozwolone, jak i zdrożne, bo miłości do rodu ludzkiego nie zamykał w granicach systemu moralnego i troszczył się o wszelkie niedole. Za niewinne uważał wszystko to, co nie szkodzi nikomu. Toteż w duszy jego było więcej pobłażania, niż pozwalają na to prawa, zwyczaje i rozliczne wierzenia ludów. Tak więc, przyjrzawszy się sobie, przekonał się, że nie jest zły, i zawstydził się. Przykro mu było, iż musi przyznać się do owych wzgardzonych zalet umysłu, które życiu siły nie przydają. Przy pomocy doskonałej metody szukał jednak dalej, czy w jakichś okolicznościach nie utracił swej zwykłej dobroduszości charakteru i pokojowego usposobienia właśnie względem pani Bergeret. I przekonał się wkrótce, że właśnie przy tej sposobności postąpił sprzecznie z ogólnymi swymi zasadami i uczuciami, że zachowanie jego wykazywało na tym punkcie godne uwagi osobliwości, z których zanotował najdziwniejsze.

„Osobliwość główna: udaję, że uważam ją za występłą, i zachowuję się względem niej, jak gdybym istotnie myślał tak pospolicie. Podczas gdy ona w sumieniu swoim uważa się za winną przez to, że cudzołożyła z panem Roux, moim uczniem, ja uważam to cudzołóstwo za rzecz niewinną, jako że nikomu nie zaszkodziło. Pani Bergeret jest moralniejsza ode mnie. Lecz mając się za winną, przebacza sobie. Ja zaś, który nie uważam jej za winną, nie przebaczam jej. Myśl moja względem niej jest niemoralna i łagodna, postępowanie moje zaś moralne i okrutne. Potępiam bez litości nie jej czyn, który według mego zdania jest tylko śmieszny i niestosowny, lecz ją samą, winną nie tego, co zrobiła, lecz tego, że jest tym, czym jest. Młoda Eufemia ma rację: jestem złym człowiekiem”.

Zgodził się na to i snując nowe myśli, mówił sobie dalej:

„Jestem zły, bo działałem. Nie potrzebowałem tego doświadczenia, by przekonać się, że nie ma czynów niewinnych, że działać — znaczy szkodzić lub niszczyć. Gdy zacząłem działać, stałem się istotą złoczynią”.

Nie bez racji przemawiał do siebie w ten sposób, gdyż spełniał czyn systematyczny, ciągle, stały, który polegał na tym, by odjąć pani Bergeret wszystkie dobra niezbędne dla jej prostackiego człowieczeństwa, dla jej zmysłu rodzinnego, dla jej natury towarzyskiej, uczynić przez to jej życie nieznośnym i ostatecznie z korzeniem wyrwać z domu niemiłą, natrętą małżonkę, która swą zdradą przyniosła mu nieocenione korzyści.

Wyzyskiwał to położenie. Dzieło swoje spełniał z energią zadziwiającą u człowieka o słabym charakterze. Bo pan Bergeret bywał zazwyczaj chwiejny i bez woli. Ale w tym wypadku pchała go jakaś żądza, jakiś Eros niepokonany. Żądze bowiem, silniejsze od woli, stworzyły świat i utrzymują go dalej. Pana Bergeret w jego przedsięwzięciu prowadziła niewysłowiona żądza, by nie widzieć więcej pani Bergeret. I to czyste, jasne pożądanie, którego nie mąciła żadna nienawiść, miało w sobie radosną gwałtowność miłości.

Tymczasem młoda Eufemia czekała na odpowiedź pana, czekała, żeby zwrócił się do niej choćby z gniewnymi słowami. Podobna w tym była do pani Bergeret, swej chlebowdawczyni: milczenie było dla niej straszniejsze niż obelgi i wymysły.

Wreszcie pan Bergeret przemówił. Rzekł głosem spokojnym:

— Odprawiam cię. Za tydzień opuścisz ten dom.

Młoda Eufemia odpowiedziała tylko przejmującym, zwierzęcym krzykiem. Chwilę stała bez ruchu. Potem ogłupiała, bolesna, smutna poszła do kuchni; ujrzała znów rondle powyginane w jej dzielnych rękach niby zbroje w bitwach; krzesło, którego wyplatane siedzenie było porwane bez szkody dla niej, bo biedna dziewczyna nie miała czasu na nim siadać; wodociąg, z którego woda, niejednokrotnie, wyciekając w nocy przez niezamknięty kran, zalewała cały dom; zlew z wiecznie zatkany odpływem; stół posiekany tasakiem;

blachę całą przepaloną; czarną czeluść na węgiel; półki ozdobione wycinanym papierem; pudełko z pastą do butów i butelkę z wodą siarczaną. I wśród tych pomników swego ciężkiego żywota zapłakała gorzko.

Następnego dnia, który był dniem targowym, pan Bergeret udał się bardzo rano do pana Deniseau, utrzymującego na placu Św. Eksuperego biuro stręczenia służby domowej. W niskiej sali zastał dwadzieścia wiejskich dziewcząt. Jedne przysadziste, czerwone, pulchne, inne wysokie, chude, żółte, różniące się wzrostem i twarzą, lecz jednakie w niepokojnym wyrazie oczu, wszystkie widziały bowiem swój własny los w każdym otwierającym drzwi przechodniu. Pan Bergeret przyjrzał się chwilę całemu asortymentowi sług do wynajęcia. Potem przeszedł do kancelarii przybranej kalendarzami, gdzie za biurkiem założonym wybrudzonymi rejestrami i starymi podkowami, służącymi za przycisk do papierów, królował sam pan Deniseau. Zażądał służącej, ale musiał widocznie wymagać wielkich zalet, gdyż po dziesięciu minutach rozmowy wyszedł zniechęcony.

Jednakże przechodząc powtórnie przez salę, spostrzegł w ciemnym kącie istotę, której nie widział poprzednio. Była to długa, wąska postać bez płci i wieku, zakończona głową kościstą i łysą, z czołem jak ogromna kula, spoczywającym na nosie krótkim, z którego widać było tylko nozdrza. Otwarte usta pozwalały widzieć zęby wielkie jak u konia, pod zwisającą dolną wargą nie miała podbródka. Stała w swoim kącie nieruchoma; nie rozglądała się, wiedząc może, że niełatwo jej przyjdzie dostać służbę, że inne kandydatki wcześniej znajdują amatorów, ale była zadowolona z siebie i spokojna, ubrana jak kobiety z południowych, nisko położonych okolic, gdzie panują febry. Żdźbła słomy tkwiły w jej szydełkowym, wełnianym kapturze.

Pan Bergeret długo przyglądał jej się z ponurym podziwem. W końcu, wskazując ją panu Deniseau, rzekł:

- Ta, zdaje mi się, jest odpowiednia.
- Maria? — zapytał zdziwiony Deniseau.
- Tak, ta właśnie — odpowiedział pan Bergeret.

XVII

Archiwista Mazure, otrzymawszy wreszcie palmy akademickie, zaczął zapatrywać się na rząd z życzliwą wyrozumiałością. Że jednak oburzanie się na kogokolwiek było dlań koniecznością nieodzowną, zwrócił swą złość przeciwko klerykałom i mówił o zdradzieckich knowaniach biskupów. Spotkawszy pewnego ranka pana Bergeret na placu Św. Eksuperego, ostrzegł go przed niebezpieczeństwem klerykalizmu.

— Nie mogą — rzekł — obalić Republiki, proboszcze chcą nią zawładnąć.

— Jest to dążenie wszystkich partii — odrzekł pan Bergeret — jest to naturalny wynik naszych instytucji demokratycznych, bo demokracja opiera się właśnie na walce partii, wynikającej z tego, że uczucia samego ludu są podzielone tak jak i jego interesy.

— Ale — rzekł pan Mazure — nie można tego tolerować, aby klerykałowie pod maską wolności oszukiwali wyborców.

Na to pan Bergeret odpowiedział:

— Wszystkie stronnictwa odsunięte od rządów powołują się na wolność, gdyż wzmocnienia ona opozycję i osłabia władzę. Dla tej samej przyczyny stronnictwo rządzące ukrótka wolność, jeśli może. W imię wszechwładnego ludu wydaje prawa tyrańskie. Bo nie ma ustawy, która by zabezpieczała wolność przed zamachami wszechwładzy narodowej. Despotyzm demokratyczny w teorii nie ma granic. W praktyce, zważywszy tylko chwilę obecną, uważam, że jest umiarkowany. Dano nam „zbrodnicze prawa”. Ale nie są one stosowane.

— Panie Bergeret — rzekł archiwista — czy chce pan posłuchać dobrej rady? Jest pan republikaninem; niech pan nie godzi w swych przyjaciół. Jeśli nie będziemy się mieli na baczności, wpadniemy znów pod rządy klechów. Reakcja robi przerażające postępy. Biali są zawsze białymi, błękitni zawsze błękitnymi, jak mówił Napoleon. Pan jest z błękitnych, panie Bergeret. Partia klerykalna nie przebaczy panu, że nazwał pan Joannę d’Arc „maskotą”. (Ja sam z trudem wybaczam to panu, bo Joanna d’Arc i Danton to moje dwa bożyszcza). Jest pan człowiekiem wolnomyslnym. Niech pan broni wraz z nami społe-

Obyczaje, Historia, Religia

czeństwa świeckiego! Połączmy się! Tylko jedność pozwoli nam zwyciężyć. Interes wyższy wymaga zwalczania klerykalizmu.

— Widzę w tym przede wszystkim interes stronnictwa — odrzekł pan Bergeret. — Gdybym miał należeć do jakiejś partii, z konieczności wstąpiłbym do waszej, gdyż jest to jedyna partia, której mógłbym służyć bez zbytejnej obłudy. Ale na szczęście nic mnie do tego nie zmusza i nie mam ochoty wejść do jakiejś przegródki politycznej. Prawdę mówiąc, obojętne mi są wasze sprzeczki, bo czuję ich bezużyteczność. To, co różni was od klerykałów, jest w gruncie rzeczy drobnostką. Gdyby oni po was doszli do władzy, nie zmieniłoby to położenia jednostek. A jedynie położenie jednostek jest ważne w państwie. Przekonania to tylko gra słów. Od klerykałów dzielą was tylko przekonania. Nie macie własnej nauki moralnej, która by się przeciwstawiała ich nauce. Nie istnieją bowiem we Francji z jednej strony: moralność religijna, z drugiej: moralność świecka. Ci, którzy udają, że je widzą, ludzą się pozorami. Wytłumaczę to panu w kilku słowach.

W każdej epoce istnieją powszednie obyczaje, które narzucają sposób myślenia wspólny wszystkim ludziom. Idee moralne nie są produktem rozmyślenia, lecz wynikiem zwyczaju. Kto się stosuje do tych idei, uchodzi za zacnego, kto je odrzuca, za nikczemnego człowieka, więc nikt nie śmie naruszyć ich jawnie. Są one bez zastrzeżeń przyjęte przez całe społeczeństwo, niezależnie od wierzeń religijnych i od przekonań filozoficznych. Ci, którzy chcą wprowadzić je w życie, nie popierają ich bardziej od tych, którzy nie stosują do nich swych czynów. Jedynie źródło tych idei może być sporne. Podczas gdy umysły tak zwane wolne w naturze samej znajdują reguły swego postępowania, dusze pobożne czerpią reguły postępowania z religii i okazuje się, że reguły te są bez mała jednakie. Nie dlatego, że są powszechne, zarazem boskie i naturalne, jak niektórym podoba się mówić, lecz przeciwnie, dlatego że są właściwe dla danego czasu i miejsca, zaczerpnięte z tych samych zwyczajów, wyprowadzone z tych samych przesądów. Każda epoka ma swoją moralność górującą, nie wynikającą ani z religii, ani z filozofii, lecz ze zwyczaju, z jedynej siły zdolnej połączyć ludzi w jednym uczuciu, bo wszystko, co podlega rozumowaniu, rozdziela ludzi; ludzkość istnieje tylko pod warunkiem, że nie będzie zastanawiała się nad tym, co jest zasadniczą podstawą jej istnienia. Moralność góruje nad wierzeniami, które podlegają sporom, podczas gdy ona nigdy nie jest przedmiotem sporu. I dlatego właśnie, że moralność jest sumą przesądów społeczeństwa, nie mogą w jednym miejscu i czasie istnieć dwie współzawodniczące z sobą moralności. Mógłbym tę prawdę poprzeć mnóstwem przykładów, ale nie ma bardziej znamiennego niż przykład cesarza Juliana, którego dzieła kiedyś trochę studiowałem. Julian, który sercem wytrwałym i duszą gorącą walczył w imię swych bogów, Julian, czciciel słońca, wyznawał wszystkie idee moralne chrześcijan. Jak oni gardził rozkoszą ciała i wychwalał skuteczność postu, który prowadzi człowieka do zbliżenia z bóstwem. Jak oni wyznawał doktrynę pokuty, wierzył w oczyszczającą moc cierpienia, kazał wgłębiać się w tajemnice, które tak jak u chrześcijan wynikały z pożądania czystości, wyrzeczeń i miłości boskiej. Słowem, jego neopoganizm podobny był moralnie do młodego chrystianizmu, jak brat do brata. Cóż w tym dziwnego? Oba kultury były bliźniaczymi dziećmi Rzymu i Wschodu. Oba odpowiadały tym samym zwyczajom ludzkim, tym samym głębokim instynktom azjatyckiego i łacińskiego świata. Dusze ich były jednakie. Różniły się jednak od siebie nazwą i językiem. Różnica ta wystarczyła, by stały się śmiertelnymi wrogami. Ludzie najczęściej kłócą się o słowa. Dla słów zabijają i najchętniej dają się zabijać.

Historycy z niepokojem zadają sobie pytanie, co by się stało z cywilizacją, gdyby cesarz-filozof odniósł nad Galilejczykiem zwycięstwo, na które zasłużył przez swą stałość i umiarkowanie. Niełatwa to rzecz odrobić historię! Jednak wydaje się prawdopodobne, że w takim razie politeizm, który za czasów Juliana sprowadzał się już do pewnego rodzaju monoteizmu, w następstwie uległby nowym zwyczajom dusz i przyswoiłby sobie dość wiernie te same pojęcia moralne, które widzimy w chrześcijaństwie. Niech pan się przyjrzy wielkim rewolucjonistom i powie, czy jest choć jeden, który by okazał pewną oryginalność, jeżeli chodzi o zasady moralne. Robespierre miał zawsze na cnotę te same poglądy, co jego nauczyciele, księża z Arras.

Pan jest wolnomyslicielem, panie Mazure, i uważa pan, że człowiek powinien szukać na tej planecie jak największej sumy szczęścia. Pan de Terremonde, katolik, wierzy, że jesteśmy na tym świecie w miejscu pokuty, by cierpieniem zdobyć żywot wiekuisty; i mi-

mo tej sprzeczności zasad macie jeden i drugi mniej więcej tę samą moralność: moralność bowiem jest niezależna od zasad.

— Kpi pan z ludzi — rzekł pan Mazure — i doprawdy mam ochotę zakląć jak szewc. Idee religijne, gdyby się nawet sam diabeł w to wmieszał, w znacznej mierze przyczyniają się do kształtowania idei moralnych. Mogę więc powiedzieć, że istnieje moralność chrześcijańska i że ją potępiam.

— Ależ, kochany panie — rzekł łagodnie profesor — jest tyleż moralności chrześcijańskich, ile chrystianizm przebył wieków i do ilu krajów się dostał. Religia, jak kameleon, przybiera barwę gruntu, na którym się znajduje. Moralność jedna dla każdego pokolenia, którego jedność ona sama tylko stanowi, zmienia się ciągle wraz ze zwyczajami i obyczajami, których jest uderzającym obrazem, jak gdyby powiększonym na ścianie odbiciem. Więc też i moralność katolików współczesnych, którzy tak się panu nie podobają, dziwnie podobna jest do pańskiej moralności, a przeciwnie, różni się niezmiernie od moralności katolika z czasów walk religijnych. Nie mówię już o chrześcijanach wieków apostoelskich, którzy panu de Terremonde wydali się istotami bardzo dziwnymi. Jeśli to możliwe, niech pan będzie sprawiedliwy i sumienny. Czym pańska moralność wolnomyślicielska różni się zasadniczo od moralności dzisiejszych pocziwców chodzących na mszę? Wyznają wprawdzie doktrynę ekspiacji, podstawę swej wiary, ale oburzają się równie jak pan, gdy doktrynę tę przedstawia im w sposób dobitny ich własni księża. Wierzą, że cierpienie jest dobre i miłe Bogu. Czy widział pan kiedy, żeby siadali na gwoździach? Wy głosicie swobodę wyznań. Oni poślubiają Żydówki i nie każą palić swych teściów. Czy macie choć jeden odmienny pogląd na stosunek wzajemny płci, na rodzinę, na małżeństwo, z tym może wyjątkiem, że wy pozwalacie na rozwód, nie zalecając go jednak? Oni wierzą, że kto pożąda kobiety, będzie potępiony. Czyż ich niewiasty noszą mniej wycięte suknie na obiadach i przyjęciach niż wasze? Czyż przez ich ubranie mniej widać, jak są zbudowane? Czy pamiętają, co powiedział Tertulian o szatach wdowich? Czyż noszą zasłony i zakrywają włosy? A wy, czyż nie zgadzacie się z ich sposobem zachowania się i manierami? Czy żądacie, aby chodziły nago, ponieważ nie wierzycie, że Ewa okryła się gałązką figową pod przekleństwem Jehowy? Jakież pojęcia przeciwstawiacie ich pojęciu o ojczyźnie, której służyć i którą bronić zalecają wam, jak gdyby ojczyzna ich nie była w niebiosach, o obowiązku służby wojskowej, której poddają się z zastrzeżeniem co do jednego punktu dyscypliny duchowej, którego *de facto* nie wykonują, o wojnie, którą, jak tylko zechcecie, prowadzić będą u waszego boku, choć ich Bóg nakazał im: „Nie zabijaj”.

Czy jest pan internacjonalistą, anarchistą, że chce pan odłączać się od nich w tych ważnych momentach życia? Cóż więc macie własnego? Nawet pojedynek, dla wytworności swojej, istnieje zarówno w ich, jak i w waszych obyczajach, choć nie jest ani w ich zasadach, skoro księża i królowie zakazali go, ani w waszych, gdyż na przekór prawdopodobieństwu powierza Bogu rozstrzygnięcie ludzkiego sporu. Czy nie macie tych samych pojęć moralnych o organizacji pracy, własności, o kapitale, o całej ekonomice dzisiejszego społeczeństwa, którego niesprawiedliwości znosicie jedni i drudzy z jednakową cierpliwością, jeśli sami nie cierpicie przez nie?

Musiałby pan być socjalistą, żeby było inaczej. A gdy pan będzie nim i oni bez wątpienia będą socjalistami. Tolerujecie krzywdy pozostałe z dawnego systemu, ilekroć są dla was korzystne. A wasi pozorni przeciwnicy przyjmują ze swej strony skutki rewolucji, jeśli chodzi o zagarnięcie majątku po jakimś dawnym nabywcy dóbr narodowych. Oni są za konkordatem, wy także; a więc tu nawet religia was łączy.

Wiara ich tak mało stanowi o ich uczuciach, że tak jak wy przywiązani są do życia, którym gardzić winni, i do dóbr swoich, które są przeszkodą do zbawienia.

Mając mniej więcej wasze obyczaje, mają też mniej więcej waszą moralność. Szykanujecie ich w dziedzinach, które interesują tylko politykomanów, a nie dotyczą wcale społeczeństwa, słusznie obojętnego i wobec was, i wobec nich. Wierni tym samym tradycjom, podlegli tym samym przesądom, pogrążeni w tych samych ciemnościach, pozeracie się wzajemnie jak kraby w jednym koszyku. Gdy się widzi wasze walki żab i szczurów, nie można się zapalać do waszego antyklerykalizmu.

Religia, Obyczaje, Historia

XVIII

Maria weszła do domu jak śmierć. Na jej widok pani Bergeret poznała, że czas jej minął.

Młoda Eufemia, która do swych państwa i do ich domu żywiła głębokie, bezwiedne i pewne, zupełnie niezależne od rozumu, po prostu psie przywiązanie, siedziała długo na dziurawym krześle, milcząca, nieruchoma, z twarzą zaczerwienioną. Nie płakała, ale usta miała jakby spieczone od gorączki. Pożegnała panią Bergeret z powagą duszy sielskiej i religijnej. Przez pięć lat swej służby znosiła obelżywą gwałtowność i sknerstwo pani, która żywiła ją nędznie, ona też ze swej strony miała wybuchy hardości i buntu i obgadywała panią z innymi sługami. Ale była chrześcijanką i w głębi duszy szanowała swych państwa jak ojca i matkę. Zachrypnięta z żalu rzekła:

— Żegnam panią. Będę Boga prosić za panią, żeby dał pani szczęście. Bardzo chciałabym pożegnać panienki.

Pani Bergeret czuła, że wraz z tą biedną dziewczyną i ona jest wypędzona z domu. Ale sądziła, że godność nakazuje jej ukryć wzruszenie.

— Idź, moje dziecko — rzekła — idź obrachować się z panem.

Pan Bergeret wypłacił jej zaślugi. Wolno porachowała całą sumę, po trzykroć rozpozynała rachunek, poruszając wargami jak w modlitwie. Sprawdziała pieniądze z niepokojem, że nie połapie się wśród tylu różnych monet; potem skromny ten fundusik, jedyny swój majątek, włożyła do kieszeni spodnicy, pod chustkę od nosa. I rękę jeszcze wsunęła do kieszeni. Skończywszy z tym, rzekła:

— Pan był zawsze dobry dla mnie. Życzę panu dużo szczęścia. Ale wypędza mnie pan.

— Uważasz mnie za złego człowieka — odrzekł pan Bergeret. — Ale jeśli rozstajesz się z tobą, moja dobra Eufemio, czynię to z żalem i dlatego, że tak trzeba było. Jeśli mogę ci być w czym pomocny, uczynię to bardzo chętnie.

Eufemia grzbietem ręki przetarła oczy, westchnęła i rzekła łagodnie, wylewając obfite łzy:

— Wszyscy tu byli dobrzy dla mnie.

Odeszła, jak najciszej zamykając drzwi za sobą.

I pan Bergeret ujrzał ją w wyobraźni u pośrednika Deniseau, w głębi sali, w białym czepcu, z niebieskim bawełnianym parasolem między kolanami, z wzrokiem niespokojnie na drzwi zwróconym, w posępnej gromadzie sług do najęcia.

Tymczasem Maria, dziewczka folwarczna, która dotąd chodziła tylko koło krów, zadziwiona i oglupiała u tych państwa przerażeniem równym temu, które wzbudzała, siedziała w kuchni, przyglądając się rondlom. Umiała gotować tylko zupę ze słoniną i rozumiała tylko gwarę wiejską. Nie miała nawet dobrych świadectw. Okazało się, że puszczała się z pastuchami i piła wódkę, nawet spirytus do palenia.

Pierwszą osobą, której drzwi otworzyła, był komandor Aspertini. W przejeździe przez miasto przychodził jak zwykle powitać swego przyjaciela pana Bergeret.

Musiła zapewne sprawić silne wrażenie na włoskim uczonym, gdyż zaraz po przywitaniach zaczął mówić o niej z tym zainteresowaniem, jakie wzbudza brzydota, gdy jest wielka i straszna.

— Służąca pańska, panie Bergeret — rzekł — przypomina mi tę wyrazistą postać, którą Giotto namalował na sklepieniu kościoła w Asyżu, gdy, idąc za natchnieniem sonetu Dantego, przedstawił Tę, której nikt drzwi nie otwiera z uśmiechem.

Skoro mowa o sztuce — dodał Włoch — czy widział pan mozaikowy portret Wergiliusza, który ziomkowie pańscy odnaleźli świeżo w Suzie w Algerze? Jest to Rzymianin o niskim i szerokim czole, o kwadratowej głowie, silnie rozwiniętych szczękach, w niczym nieprzypominający pięknego młodzieńca, którego pokazywano nam niegdyś. Popiersie, które długo uchodziło za portret poety, jest w rzeczywistości rzymską kopią greckiego oryginału z czwartego wieku, przedstawiającego młodego boga wielbionego w misteriach eleuzyjskich. Zdaje mi się, że pierwszy określiłem prawdziwy charakter tej postaci w notatkach moich o dziecięciu Triptolemie⁵⁶ Ale czy zna pan tego Wergiliusza z mozaiki, panie Bergeret?

⁵⁶*Dziecię Triptolem* — według legendy greckiej syn króla krainy Eleusis, któremu bogini Demeter, z wdzięczności za udzieloną jej w Eleusis gościnę, podarowała ziarna zbóż i którego nauczyla uprawy roli. [przypis redakcyjny]

— O ile sędzić można z fotografii, którą widziałem — odrzekł pan Bergeret — ta mozaika afrykańska może być kopią portretu, któremu nie brak było wyrazu. Ten portret, zdaje się, istotnie przedstawia Wergiliusza i możliwe, że jest to portret podobny. Wasi humaniści Odrodzenia, panie Aspertini, wyobrażali sobie autora *Eneidy* z obliczem mędrca. Stare weneckie wydania Dantego, które przeglądałem w naszej bibliotece, pełne są drzeworytów przedstawiających Wergiliusza z brodą filozofa. Później malowano go pięknym jak młody bóg. Teraz znów ma kwadratową szczękę i włosy przycięte nad czołem na kształt frędzli, według rzymskiej mody. Idea, dziełem jego w umysłach ludzkich wytworzona, nie mniejszej ulega zmianie. Wszystkie epoki literackie wyrabiały sobie o niej wyobrażenia odmienne. Nie mówiąc już o bajkach średniowiecznych o Wergiliuszu-czarowniku, pewne jest, że powody, dla których podziwiano Mantuańczyka, zmieniały się z wiekami. Macrobius⁵⁷ widział w tym poecie wyrocznię Cesarstwa, Dante i Petrarca cenili jego filozofię. Chateaubriand i Wiktor Hugo odnajdowali w nim zwiastuna chrystianizmu. Co do mnie, ja, jako kuglarz słów, widzę w jego dziełach tylko igraszki filologiczne. Pan, panie Aspertini, przyznaje mu rozległą znajomość starożytności rzymskich, i to jest może najtrwalsza wartość *Eneidy*. Do litery dawnych tekstów przyczepiamy idee własne. Każde pokolenie przeobraża na nowo dawne arcydzieła i udziela im niejako w ten sposób ruchomej nieśmiertelności. Kolega mój, Paweł Stapfer, wypowiedział w tej sprawie ciekawe myśli.

— Znakomite istotnie — odparł komandor Aspertini. — Ale na zmienność zapamiętanych ludzkich nie ma on tak rozpaczliwego poglądu, jak pan.

Tak ci dwaj zacni ludzie roztrząsali między sobą obrazy sławy i piękna, ozdobę życia.

— Co się stało, kochany panie — zapytał Aspertini — z tym żołnierzem łacinnikiem, którego poznałem u pana, z tym sympatycznym panem Roux, który sławę wojenną zdawał się oceniać wedle właściwej miary? Bo gardził rangą kaprała.

Pan Bergeret zwięźle odrzekł, że pan Roux powrócił do pułku.

— Za ostatniej mej bytności w tym mieście — rzekł komandor Aspertini — drugiego stycznia, jeśli się nie mylę, zastałem tego młodego uczonego na podwórzu biblioteki pod lipą. Rozmawiał z młodą odźwierną, która miała ucho czerwone. Jak panu wiadomo, jest to oznaką, iż słuchała go z przychylnym zmieszaniem. Niezmiernie ładna była ta delikatna różowa koncha, osadzona nad bielutką szyją. Udałem, że ich nie widzę, przez dyskrecję nie chciałem być w roli tego filozofa pitagorejskiego, który w Metaponcie przeszkadzał zakochanym. Młoda ta dziewczyna jest postacią bardzo wdzięczną: ma rude włosy, podobne do płomieni, białą delikatną cerę, lekko piegowaną, jakby od wewnątrz rozjaśnioną. Zauważył ją pan, panie Bergeret?

Pan Bergeret, który ją był dobrze zauważył i któremu bardzo się podobała, odpowiedział skinieniem głowy. Był zbyt porządnym człowiekiem, zbyt szanował swój stan i zbyt był dyskretny, żeby sobie na cośkolwiek pozwolić z młodą odźwierną. Ale delikatna cera, kształty szczupłe i wiotkie, wdzięczna postać tej dziewczyny nieraz podczas pracowitych studiów unosiły się przed jego oczyma znad pożółkłych kart Serviusa⁵⁸ lub Donata⁵⁹. Nazywała się Matylda; opowiadano, że lubi ładnych chłopców. Pan Bergeret był zazwyczaj pełen pobożania dla kochanków. Ale myśl, że pan Roux podoba się Matyldzie, była mu przykra.

— Było to wieczorem, po zamknięciu biblioteki — ciągnął dalej komandor Aspertini. — Przepisałem trzy niewydane listy Muratoriego, nienotowane w katalogu. Przechodząc przez podwórze, na którym ustawione są szczątki starożytnych pomników waszego miasta, ujrzałem pod lipą przy studni, niedaleko od galo-rzymskiej steli przewoźników, młodą odźwierną o złotych włosach, jak ze spuszczonego oczyma, kręcąc grube klucze naokoło palca, słucha słów pana Roux, pańskiego ucznia. To, co mówił do niej, nie różniło się prawie od tego, co mówił pasterce kóz pasterz Oaristys⁶⁰. I wynik tej rozmowy nie

⁵⁷Macrobius — Ambrosius Theodosius Macrobius (żył na przełomie wieku IV i V), erudyta i gramatyk rzymski; w dialogach *Saturnalia conviviorum libri septem* znajdują się komentarze do Wergiliusza. [przypis redakcyjny]

⁵⁸Servius, Maurus Honoratus — gramatyk łaciński, który pod koniec IV w. nauczał w Rzymie; jest on autorem cennego komentarza do Wergiliusza. [przypis redakcyjny]

⁵⁹Donatus, Aelius — gramatyk łaciński z IV w.; jego podręcznik był podstawą nauki o gramatyce w średniowieczu i w czasach Odrodzenia; napisał też niezachowany komentarz do Wergiliusza. [przypis redakcyjny]

⁶⁰Oaristys — tytuł idylli aleksandryjskiej, którą naśladował André Chénier. [przypis redakcyjny]

pozostawiał wątpliwości. Rozumiałem, że naznacza jej schadzkę. Zapewne dzięki wprawie, nabytej przy badaniu pomników sztuki starożytnej, przeniknąłem od razu znaczenie tej grupy.

Uśmiechnął się i dodał:

— Panie Bergeret, nie odczuwam wszystkich finezji, wszystkich odcieni waszego pięknego języka. Ale wyrazy: *dziewczyna*, *panna* nie zadowolają mnie, gdy określić mają istotę tak powabną, jak odzwierna waszej miejskiej biblioteki. Nie można użyć wyrazu *dziewica*, który zestarzał się i wypaczył; nawiasem mówiąc, szkoda, że się tak stało. Niezręcznie byłoby nazwać ją młodą osobą; uważam, że tylko nazwa nimfy jest dla niej stosowna. Ale proszę pana, panie Bergeret, nie powtarzaj tego, co tu o niej mówiłem, mogłoby to jej zaszkodzić. Nie trzeba, aby tajemnice te znane były merowi i bibliotekarzom. Byłbym szczerze zmartwiony, gdybym nawet mimowolnie wyrządził choć najmniejszą przykrość pańskiej nimfie.

„To prawda, że ładna jest ta moja nimfa” — pomyślał pan Bergeret.

Posmutniał i nie wiedział już dobrze w tej chwili, z jakiego powodu ma żal do pana Roux, czy za to, że podobał się odzwiernej biblioteki, czy też za to, że uwiódł panią Bergeret.

— Naród wasz — rzekł komandor Aspertini — doszedł do najwyższej kultury intelektualnej i moralnej. Ale z długiego okresu barbarzyństwa, w którym był pogrążony, pozostało mu pewne niezdecydowanie, pewna nieporadność w zapatrywaniu na sprawy miłości. We Włoszech miłość jest wszystkim dla kochanków, a niczym dla świata. Społeczeństwo nie zajmuje się tą sprawą, ważna jest tylko dla tych, którzy się kochają. Właściwe zrozumienie namiętności i rozkoszy miłosnej strzeże nas od obłudy i okrucieństwa.

Długo jeszcze komandor Aspertini roztrząsał ze swym francuskim przyjacielem różne kwestie moralności, polityki, sztuki, po czym wstał, by go pożegnać. W przedpokoju znów zobaczył Marię i rzekł do pana Bergeret:

— Niech mi pan nie bierze za złe tego, co mówiłem o pańskiej kucharce. Petrarka miał także służącą osobliwie brzydką.

XIX

Odkąd odebrał był zdetronizowanej pani Bergeret zarząd domu, pan Bergeret rządził sam i rządził źle. Co prawda, służąca Maria nie wykonywała jego rozkazów, gdyż ich nie rozumiała. Ale że działać trzeba, że działanie jest zasadniczym warunkiem życia, Maria działała, a duch podszeptował jej ciągle nieszczęśliwe pomysły i czyny szkodliwe. Niekiedy duch ten gasł w pijaństwie. Pewnego dnia, wypiwszy cały spirytus z lampki, leżała czterdzieści osiem godzin jak martwa na podłodze kuchennej. Przebudzenia jej bywały straszne. Każdy jej ruch wywoływał katastrofę. To, czego nikt by nie dokazał, jej się udawało; z taką siłą postawiła raz lichtarz na kominku, że pękła pod nim płyta marmurowa. Smażyła mięso na patelni z rozdzierającym skwierczeniem, przy trujących zapachach; nie można było nic jadać z tego, co podawała na stół.

Pani Bergeret, sama w małżeńskim komnacie, krzyczała z wściekłości i płakała z żalu nad ruiną swego domu. Nieszczęście jej przybierało kształty niespodziewane i dziwaczne, które zadziwiała jej pełną poprawności duszę. Nieszczęście to ciągle wzrastało. Od pana Bergeret, który tak niedawno jeszcze oddawał jej miesięczną pensję nienaruszoną, nie zatrzymując sobie nawet na papierosy, pieniędzy już nie otrzymywała. W dniach rozkosznych, gdy chciała się podobać panu Roux, wydała dużo na stroje, więcej jeszcze wydała później, w tym okresie burzliwym, kiedy chciała utrzymać swoją opinię i często składała wizyty damom z towarzystwa. Teraz zaczęły przychodzić od krawcowej i modniarki natarczywe upomnienia o pieniądze. Magazyn mód firmy Achard, nie traktując jej tak jak inne klientki, posyłał nawet pozwy, których widok w zdumienie wprawiał wieczorami córę rodu Pouilly. Wiedząc, że te niesłychane nieszczęścia są niespodziewanym, lecz pewnym następstwem jej winy, pojmowała doniosłość cudzołóstwa i ze wstydem przypominała sobie wszystko, co w młodości mówiono jej o tej nieporównanej, a właściwie jedynej zbrodni, przywiązany jest bowiem do niej wstyd, jakiego nie sprowadza ani zawiść, ani skąpstwo, ani okrucieństwo.

Przed położeniem się do łóżka, stojąc na dywaniku, odchyliła nocną koszulę i z brodą wciśniętą w szyję przyglądała się chwilę rozrośłym kształtom swych piersi i brzucha, które w skrócie ukazywały jej oczom, pod batystem, jak gdyby mlecznobiałe poduszki i poduszeczki, ozłoczone blaskiem lampy. Nie rozstrzygała, czy kształty te są istotnie piękne, bo nie pojmowała wdzięku nagości i rozumiała tylko piękno krawieckie. Nie wstydziła się swego ciała ani się nim nie pyszniła i nie odszukiwała w sobie wspomnień minionych rozkoszy zmysłowych. Odczuwała jedynie niepokój i zmieszanie, patrząc na to ciało, którego tajemne odruchy wywoływały tak znaczne skutki domowe i społeczne.

Zgadzała się, że czyn z natury drobny może mieć wielkość i doniosłość, gdyż była istotą religijną i moralną, i dość metafizyczną na to, by zgadzać się na absolutną wartość punktów przy grze w karty. Nie odczuwała wyrzutów, bo nie miała wyobraźni, bo o Bogu wyrobiła sobie pojęcie rozsądne i uważała, że jest dostatecznie ukarana. Nie miała zresztą nic przeciwko temu, by cześć kobiety umieszczano w miejscu, gdzie się ją kładzie zazwyczaj, i nie knuła bynajmniej potwornego zamyśłu obalenia moralności powszechnej i przyznania sobie samej skandalicznej niewinności; mimo to żyła niezadowolona i nie-spokojna i wśród kłopotów nie znajdowała spokoju ducha.

Kłopoty te niepokoiły ją swym tajemniczym, nieokreślonym trwaniem. Rozwijały się jak kłębek czerwonego sznurka zamkniętego w drewnianym pudełku za ladą pani Magloire, cukierniczki z placu Św. Eksuperego. Pani Magloire ciągnęła za sznureczek przesunięty przez dziurkę w pokrywie i wiązała niezliczone małe paczki. Pani Bergeret nie wiedziała, kiedy ujrzy koniec swych nieszczęść. Smutek i żal nadawały jej pewne piękno wewnętrzne. Rano przyglądała się powiększonej fotografii ojca, którego straciła w pierwszym roku swego małżeństwa. Przed portretem tym płakała, myśląc o dniach dzieciństwa, o białym welonie w dniu pierwszej komunii świętej, o spacerach niedzielnych, gdy z kuzynkami, dwiema pannami Pouilly od *Słownika*, szła na mleko do Tuileries, myślała o staruszce matce, żyjącej gdzieś daleko na drugim końcu Francji, w małym rodzinnym miasteczku na północy. Ojciec pani Bergeret, Wiktor Pouilly, dyrektor gimnazjum, autor cenionego wydania gramatyki Lhomonda⁶¹ miał wysokie pojęcie o swej godności społecznej i walorach umysłu. Ginąc w cieniu starszego brata, wielkiego Pouilly od *Słownika*, podległy zwierzchnościom uniwersyteckim, wynagradzał to sobie wobec reszty świata i pysznił się swym nazwiskiem, gramatyką i podagrą, która go mocno trapiła. Cała jego osoba wyrażała dostojność prawdziwego Pouilly. I portret jego zdawał się mówić córce: „Moje dziecko, nie wiem, nie chcę wiedzieć, co w twoim postępowaniu było niezupełnie poprawne. Wiedz, że twoje cierpienia pochodzą stąd, iż poślubiłaś człowieka niższego od siebie. Daro pochlebiałem sobie, że podniosę go do naszego poziomu. Ten Bergeret jest człowiekiem bez wychowania. Twą największą winą, źródłem twych nieszczęść jest małżeństwo, moja córko”. I pani Bergeret słuchała tej przemowy. Zawarta w niej mądrość i ojcowska dobroć podtrzymywały nieco jej słabnącą odwagę.

Powoli jednak ulegała losowi. Zaniechała oskarżycielskich wizyt, które przez swą monotonię przestały już budzić ogólną ciekawość. Zaczynano wierzyć, nawet u rektora, że to, co opowiadano w mieście o niej i o panu Roux, niezupełnie było bajką. Nudziła gospodarzy, była skompromitowana i dawano jej to odczuć. Zachowała jedynie sympatię pani Dellion, dla której była alegorycznym obrazem uciemiężonej cnoty. Ale pani Dellion należała do wyższego towarzystwa; żałowała jej, szanowała ją i podziwiała, ale nie przyjmowała u siebie. Pani Bergeret była zgębiona i osamotniona: bez męża, bez dzieci, bez domowego ogniska, bez pieniędzy.

Raz jeszcze spróbowała wejść na nowo w swe prawa domowe. Było to nazajutrz po dniu jeszcze smutniejszym, jeszcze boleśniejším od innych. Modniarka panna Róża i rzeźnik Lafolie upomnieli się u niej o pieniądze w sposób natarczywy i obelżywy, służącą Marię zdybała na kradzieży trzech franków siedemdziesięciu centymów, pozostawionych przez praczkę na kredensie w jadalnym pokoju. Pani Bergeret położyła się do łóżka smutna i przerażona i nie mogła zasnąć. Stawała się romantyczna z nadmiaru nieszczęścia i wyobrażała sobie, że Maria w cieniu nocy wlewa jej truciznę przygotowaną przez pana Bergeret. Świt rozegnał jej trwożne przywidzenia. Ubrała się starannie, po czym poważnie, cicho udała się do gabinetu pana Bergeret.

⁶¹Lhomond, Charles-François (1727–1794) — ksiądz, humanista i gramatyk francuski. [przypis redakcyjny]

Tak mało jej się tam spodziewano, że drzwi zastała otwarte.

— Lucjanie! Lucjanie! — przemówiła.

Powoliwała się na niewinne głowy córek. Prosiła, błagała, wypowiadała słuszne uwagi o opłakanym stanie domu, obiecywała być na przyszłość dobrą, wierną, oszczędną, uprzejmą. Ale pan Bergeret jej nie odpowiedział.

Uklękała, łkała, łamała ręce, tak niegdyś władcze. Nie raczył nic widzieć, nic słyszeć. Pouilly była na klęczkach u jego stóp, ale on wziął kapelusz i wyszedł. Wtedy ona podniosła się, pobiegła za nim z wyciągniętą pięścią, z rozchylonymi wargami i krzyknęła z przedpokoju:

— Nie kochałam cię nigdy, słyszysz? Nigdy, nawet kiedy wychodziłam za ciebie! Jesteś brzydki, śmieszny! Wiedzą w całym mieście, że jesteś gamajda... tak, gamajda!

Wyraz ten, który słyszała jedynie z ust Pouilly, autora *Słownika*, zmarłego od lat dwudziestu, nagle i cudownie przyszedł jej na myśl. Nie przypisywała mu żadnego ścisłego znaczenia, ale wydawał się jej niezmiernie obelżywy. Więc dalej krzyczała na schodach:

— Gamajda, gamajda!

Był to ostatni wysiłek małżonki. Dwa tygodnie później pani Bergeret, spokojna już i zdecydowana, stanęła przed panem Bergeret.

— Nie mogę wytrzymać dłużej — rzekła. — Chciałeś tego! Wracam do matki; przyślij mi tam Julcię. Zostawiam ci Paulinę...

Paulina, starsza córka, była podobna do ojca, jego też najwięcej kochała.

— Spodziewam się — dodała pani Bergeret — że swej córce, którą zatrzymam przy sobie, wyznaczysz odpowiednią pensję. Nie żądam nic dla siebie.

Słyszac te słowa i widząc ją w stanie, do jakiego przezornie i wytrwale ją doprowadził, pan Bergeret z trudem ukrył radość; bał się, by pani Bergeret nie dostrzegła jej i nie cofnęła tak milego dlań kroku.

Nie odrzekł nic, lecz skinął głową na znak zgody.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/manekin-trzciny>

Tekst opracowany na podstawie: Anatol France, *Historia współczesna*, wyd. Czytelnik, Warszawa 1956

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0215-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).